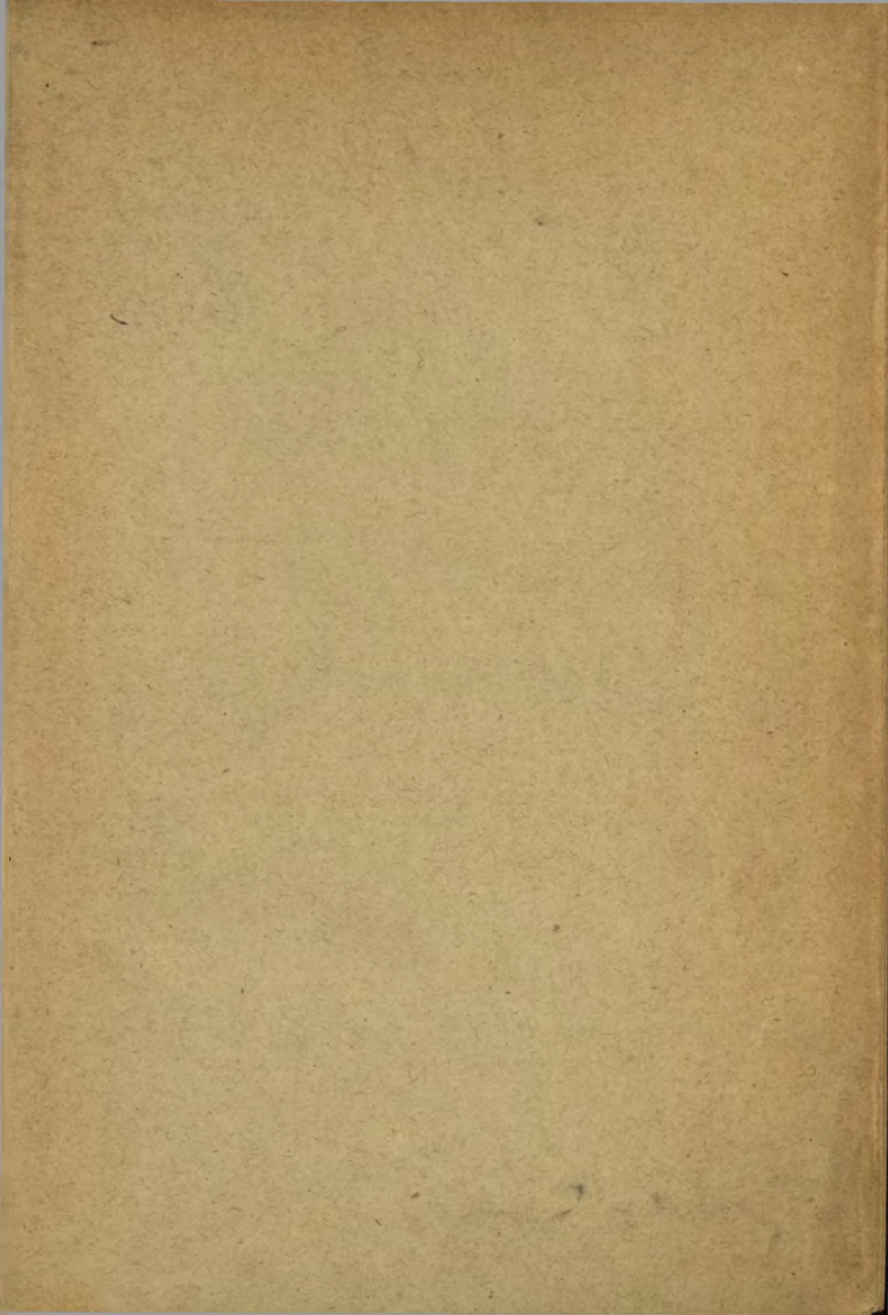
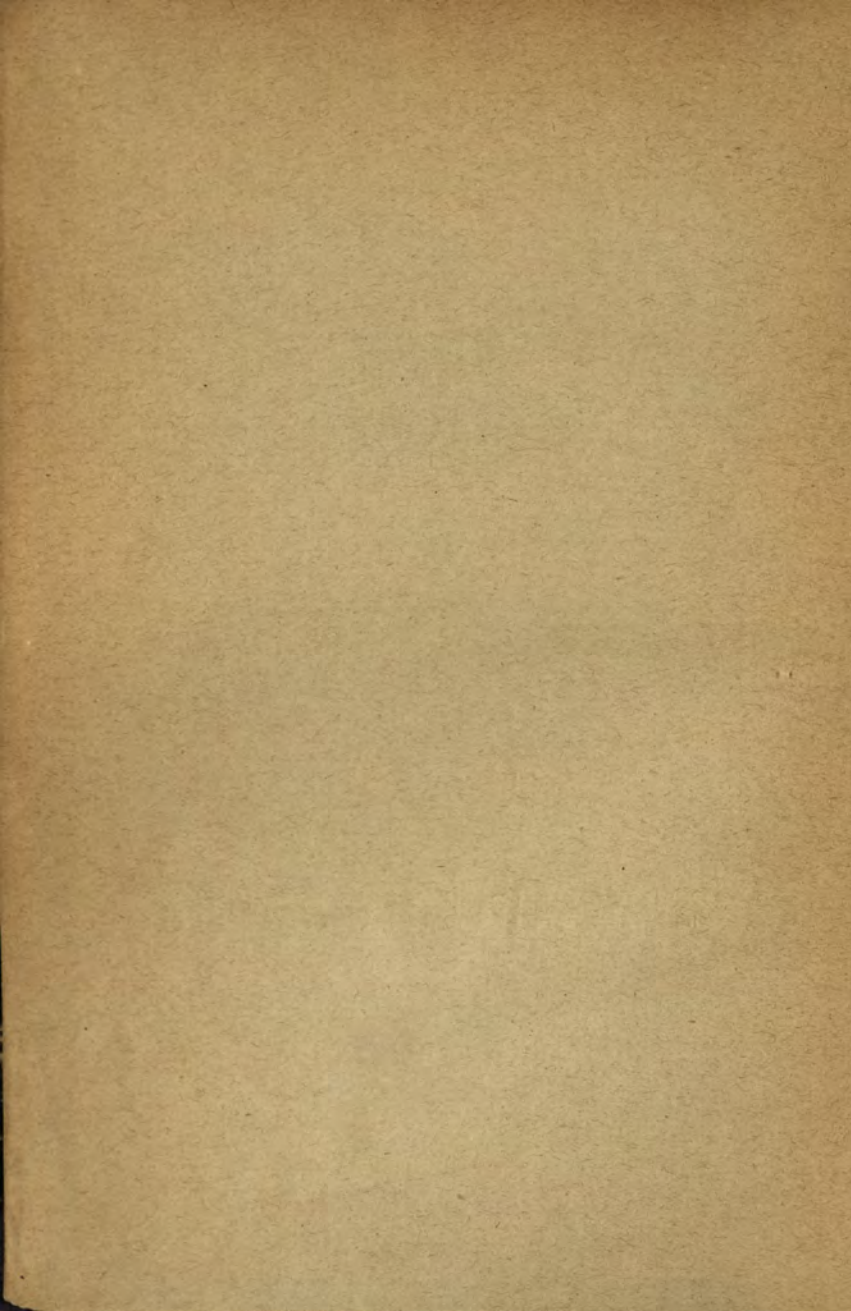


149 strom





B U D A
N A K A R C Z U N K U .

THE
LIBRARY

Egz. archiwalny IBL

Klemens Junosza.

B U D A
NA
KARCZUNKU.

POWIEŚĆ

Z życia szlachty zagonowej.

**INSTYTUT
BADAŃ I ESPERANTO PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-710 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

—
1897.



Дозволено Цензурою Варшава 18 Іюня 1896 г.

Вильна. Типографія п. ф. Іосифа Завадзкаго.
(Замк. пер. соб. домъ).

1291



I.

Droga szła pod górę, ciężka i piaszczysta; koń stapał powoli; z leniwie obracających się kół spadał drobny piasek.

Nad koniem unosiło się mnóstwo much, żądnych jego krwi; daremnie wstrząsał łbem, oganiał się ogonem, na białej sierści coraz przybywała smuga czerwona. Chłop usiłował odpędzić krwiożercze owady kłonicą, ale próżna robota: coraz nowe zastępy rzucały się na konia.

Po obu stronach drogi ciągnął się las, przerzedzony dosyć; zachodzące słońce napełniało go promieniami rzucanymi z ukosa, złocąc paprocie, trawę, mech, różnobarwne kwiatki leśne, czerwone poziomki. Drobne ptaszęta świegotały wśród gałęzi, dzieciół twardym dziobem kuł sosnę.

Gorąco było, pomimo że dzień już się kończył, duszno—chłop zdjął z siebie sukmanę, a jego starozakonny towarzysz rozpiął kamizelkę, trzeci podróżny, w białym kitlu płóciennym, obojętnie palił fajkę i rozglądał się dokoła.

— Ciężka droga — rzekł chłop, zsuwając się z wozu—trzeba koniowi ulżyć.

— Czekaście, ja też zlezę — odezwał się żyd — nogi mi zdrętwiały od siedzenia, pić mi się chce bardzo. Nie ma tu gdzie blisko wody?

— Zkądżeby tu być mogła. Za górą będzie.

— A ile jeszcze tej góry?

— Pierwszyczna wam tędy jechać?

— Na moje sumienie, nigdy tu jeszcze nie byłem.

— Dziwna rzecz.

— Nie trafiło się. Ja mieszkam w miasteczku o cztery mile ztąd, chodzę po wsiach, ale nie w tej okolicy. Pierwszy raz dziś wypadł mi tu interes, przysiadłem się do was i trochę jadę. Nie dziwujcie się, że pytam.

— A dokądże wy dążycie?

— Do Jastrzębia. Znacie wieś Jastrząb?

— Znam, znam. Dwie mile drogi jeszcze.

— Przecie podwieziecie mnie?

— Nie; ja zaraz za górą stanę, tam pan Siulc wysiądzie, a ja z powrotem do domu.

— Pan jest pan Szulc? — zapytał żydek jadącego.

— Jo.

— Pan Niemiec jest?

— Jo.

— Pewnie kolonista?

— Ne.

— Młynarz?

— Ne...

— E!—wtrącił chłop — jakże to wy, żydku, po świecie chodzicie, po jarmarkach bywacie, a nie wiadomo wam, kto jest pan Siulc. Cieśla to znaczny, w zeszłym roku stodołę w Zabimbrodzie na folwarku stawiał.

— Kościola też—bąknął Niemiec.

— Toć pamiętam, robiłem i ja przy panu Siulcu i mogę przyświadczyć, jako majster jest odpowiedzialny, porządny majster.

— Jo, jo...

— Kto to nie jest majster?—rzekł żyd — każdy ma swoje majsterstwo...

Chłop spojrzał na swego towarzysza z wyrazem powątpiewania. Chudy, mały żydzina, bynajmniej nie miał powierzchowności rzemieślnika; twarz jego blada, o wystających kościach policzkowych, pierś wąska, ręce drobne, świadczyły, że ich właściciel nie mógłby podźwignąć młota, ani topora.

— Co się tak patrzycie?

— A no, myślę sobie, jakie to wasze majsterstwo? Juści chybaście nie cieśla, nie kowal, nie stolarz...

— Nawet nie krawiec—dodał żyd.

— Tedy jakże?

— Ja jestem taki sobie majster, bez warsztatu, ale niechno mi wpadnie trochę pieniędzy do ręki, to obaczycie, jaki ja będę mechanik; niech się wszystkie majstry schowają.

Niemiec roześmiał się.

— Jo, jol...—rzekł. — Pieniądz jest ładny instrument.

— Juści prawda—dorzucił chłop—pieniądz dobra rzecz.

— Wy się na tem nie znacie, gospodarzu.

— Dlaczego?

— Bo tak jest. Gospodarz, jak nazbiera pieniędzy, to je zaraz w ziemię zakopie.

— A no, juści; ma trzymać na wierzchu, dla złodzieja?

— Wcale nie trzeba trzymać. Pieniądze nie lubią trzymania, one są jak ptaszki, im trzeba fruwać po świecie.

— Któż to was tak nauczył?

— Mądrzy ludzie, bardzo mądrzy ludzie; alboż u was ich brak? W naszym miasteczku jest dużo uczonych, takich uczonych, co ich każde słowo ma swoją wagę i znaczenie. Oni mają mądrość od ojców, a tamci ojcowie znów od swoich, to jest wypraktywana nauka. Oj, gospodarzu, wy mnie nie znacie...

— Zdaje mi się, że was już kiedyś widział, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie...

— Pewnie na jakim jarmarku.

— A toć właśnie! Teraz już wiem. Temu będzie trzy roki kupiliście odemnie pół korca grochu i daliście mi dwie złe dziesiątki.

— Fe, to nie może być. U mnie się to nigdy nie praktykuje.

— Nie trzeba się zapierać, bo ja pretensyi nie mam do was.

— Ktoby mógł mieć pretensyę?

— Ja nie mam, bo zaraz kupilem od waszego brata czapkę i te dwie dziesiątki...

— Daliście memu bratu?

— Ano, myślałem sobie: niech ta przy jednej familii zostaną...

— Jo... to dobra jest—rzekł Niemiec.

— Takim sposobem, gospodarzu — odezwał się żyd — wy pewnie wiecie, że ja się nazywam Icek Ufnal.

— Ano, teraz wiem.

— A wy zkąd jesteście?

— Ze wsi Grzędy...

— Jak was nazywają?

— Mikołaj Dąbek.

— Ja teraz widzę, że my się dobrze znamy. Pewnie nieraz spotykaliśmy się na jarmarkach, na targach. Ja bardzo kontent jestem, że znalazł starego znajomego; my się jeszcze nieraz spotkamy...

— Dlaczego nie. Powiadają, że góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem często...

— A żydek z gospodarzem jeszcze częściej...

Na górze ukazała się bryczka parokonna, po pochyłości konie biegły szybko; Niemca, chłopą i żyda zasłonił tuman kurzawy.

— Będziesz ty po śmierci chodził po bagnach i cmentarzach — mruknął chłop, patrząc na oddalającą się bryczkę.

— Co wy gadacie, Mikołaju—spytał Icek.

— Mówię, że będzie chodził.

— Jakim sposobem on może chodzić po śmierci?

— Takie jego prawo. Nie wiecie chyba, Icku, że to omentra... Mało to taki za żywota niedomierzy?

— Nu, niech go dyabli wezmą.

— Nie wezmą, bo musi chodzić i domierzać... Ja wiem, z kąd on jedzie; on tu za górą kolonie mierzył, grunt, który szlachta kupiła...

Wóz znalazł się na najwyższym punkcie wzgórza; dalej droga była lżejsza, twardsza, po łagodnej pochyłości ciągnęła się ku polom i łąkom rozrzuconym w nizinie.

Słońce zaszło już za las, niebo mieniło się barwami złota, seledynu, purpury, z łąk do-

latywał aromatyczny zapach skoszonego siana, wiatr zaczął wiać od rzeki i niósł chłód, tak bardzo upragniony po całodziennym skwarze i spiekocie. Na szerokiej przestrzeni pod lasem, wśród pni niewykarczowanych, bielily się świeżo obrobione belki, czerwieniły cegły, gdzieniegdzie wznosiły się żorawie tylko co wykopanych studzien, szalasy sklecone naprędce z desek i gałęzi, widać było kilka grubych klonów na wysokich kółkach.

Ludzie mijali się wśród tego obozowiska, krowy kołatały klekotkami, kilkanaście koni spętanych pasło się na ugorze.

Tu i owdzie rozpalone ogniska płonęły, a nad nimi białe słupy dymu wznosiły się ku górze. Słysząc było oddalony gwar, śmiech goniących się dzieci i donośny dziewczyny głos dziewczyny, śpiewającej o «ptaszku krogulaszku, co wysoko lata.»

Icek przypatrywał się bacznie temu widokowi i nie mógł zrozumieć, co się w dolinie dzieje.

— To cygany?—zapytał chłopca i nie czekając odpowiedzi, dodał: — Zkąd się wzięło

tyle tego lajdactwa? Tfy! Ja nie rozumiem, dlaczego nie zabronią im chodzić po świecie.

— Nie lubicie cyganów?

— Niech oni zginą! Czy mało złego zrobili dawnym żydom w Egipcie?

— Cygani?

— No, przecież to jedno pokolenie, to dzieci tamtych dawnych cyganów. Oni kazali żydom deptać glinę, robić cegłę, budować wielkie domy... a teraz co? Teraz żydki są bardzo porządni ludzie, kupcy, obywatele, szynkarze, a cygani włóczą się po świecie, konie kradną, albo w kryminalach siedzą. Niech oni wszyscy siedzą!

— Może to być, Icku, i prawda, co wy powiadacie— rzekł Mikołaj— ale owe ognie, co się tam palą, one szalasy, ono obozowisko — nie cygańskie jest.

— A czyje?

— Koloniści to wszystko, szlachta, grunt kupili, prócz tego po wyciętym lesie nowiny będą darli, a teraz oto siedziby sobie fundują.

— Nową wieś?

— Juści, że nie co. Sami robią i mająstrów zwożą. Właśnie pan Siulc do nich je-

dzie, jako cieśla... Będzie tam roboty niemało. Kilkanaście domów ma stanąć, a prócz tego stodoły, obory, chlewy, wszystko, co potrzeba..... Majstry zarobią dużo pieniędzy.

— Jakie majstry?—zapytał Icek.

— Toć wiadomo, jak przy budowie: cieśle, mularze, zduny, kowale, stolarze. No, ale mój żydku, bywajcie zdrowi. Nam droga do onych ogni, na lewo, wam zaś do Jastrzębia—wprost przed się.

— Ja z wami jadę.

— A po co?

— Po co? Ciekawy jestem. Ja w mojem życiu widziałem już dużo różnych wsi, bardzo dużo, ale to wszystko były stare, takie, co oddawna już są, ale nigdy nie miałem zdarzenia być świadkiem, jak się robi wieś z nowości. Niech raz zobaczę, co wam to przeszkadza?

— Jak chcecie.

— Przytem ja właśnie teraz przypomniałem sobie, że też jestem majstrem.

— Oho! majster od geld! — wtrącił Niemiec.

— Nie, nie, panie Szulc, prawdziwy majster od roboty.

— Toć samiście mówili, żeście nawet nie krawiec...

— Zapomniałem, że mam fach, śliczny fach, właśnie do budowania. Jeżeli ja nie przyłożę ręki do domu, to taki dom wcale nie będzie dom.

— Cóż to za fach?

— Ja jestem... szklarz!

Niemiec śmiechem wybuchnął.

— Majster, majster! — rzekł — aber gdzie pan Icek praktykował?

— Dziwne pytanie. Gdzie szklarz ma praktykować?—przy oknie. Pan Szulc myśli, że ja nie widziałem szyby, ani lufcika, że nie znam kitu, że nie wiem nic o dyamencie?... Nieboszczyk mój dziadzio szklarzem był, wujaszek też potrafił lufcik zreperować, mój szwagier tylko tem się trudni. W całej naszej familii taka zdolność jest; mały bachurek, to już bębni palcem po szybie, bo wie, że jeżeli kiedy weźmie się do majsterstwa, to napewno będzie szklarzem.

— A ile się teraz placi skrzyńka szkło?— zapytał cieśla.

— Rozmaicie, jak można wytargować; cza-

sem drożej, czasem taniej, jak do skrzynki. Różne szkło bywa.

— Ile zapłacił Icek ostatni skrzynka?

— Ach, pan chce, żebym ja to miał pamiętać. Zapisane jest u mnie w książce, ale ja nie mam jej z sobą, ona w domu. Zresztą ja sam tego szkła nie kupowałem.

— A kto?

— Moja żona. Oj, to jest jedyna kobieta do szkła! Jej ojciec też wielki znawca był na szkło.

— Szklarz?

— Nie, szynkarz. Alboż to nie szklarstwo? Szklarstwo, tylko wilgotne trochę, dobry fach.

Wóz toczył się szybko po pochyłości, koń, nie dręczony już przez muchy, biegł rażno; może go nęcił zapach świeżo skoszonego siana i nadzieja odpoczynku po ciężkiej drodze i dniu upalnym, dość, że Mikołaj musiał pilnie trzymać za lejce, aby tamować pośpiech.

— A dy nie leć, zatracony!— wołał — nie pali się, nie pilno...

Ickowi było bardzo pilno. Czuł on geszeft

w powietrzu, nęciło go miejsce nowe, świeże, zapewne jeszcze nie zajęte.

Zamówi się jako szklarz do roboty, podejmie wstawienia szyb we wszystkich nowych domach. Wprawdzie szklarzem nie jest, w życiu swoim ani jednej szyby nie wsta-
wił, ale ma rzeczywiście szwagra szklarza. Cóż łatwiejszego, jak zawiązać spółkę, spro-
wadzić tego fachowca — niech robi, niech kituje, niech zarobi. Icek weźmie tylko po-
rękawiczne, faktorne. Jego szyby nie nęcą; on chce w tej nowej wsi być... chce być tylko żydem. Żyd w każdej wsi potrzebny, idzie o to, aby się zaczepić. Icek zaczepi się, osiedli, zasiedzi mocno, a potem nie wpuści już nikogo; będzie mógł powiedzieć do każdego intruza:

— Idź do dyabła, ja tu jestem od począt-
ku samego, od założenia. Czy można mieć lepsze prawa?

Po wąskiej, świeżo wyrobionej drożynie, pełnej korzeni i piasków, stoczył się wóz na koczowisko nowych osiedleńców.

Wnet obstąpili go ludzie z szalasów.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy słowem, zgromadzili się, ciekawi, kto przybył.

Buda na karcz.

— Niech będzie pochwalony!...—rzekł Mi-kołaj.

— Na wieki!—odpowiedziało kilkadziesiąt głosów.—A, to pan Szulc!

— Pan Szulc! Witamy, witamy!

— Jo, ja Szulc—odrzekł Niemiec, z wozu schodząc.—Gdzie pan Wincenty?

— Zaraz nadejdzie. O, idzie już!

Zbliżył się do Niemca człowiek wysoki, poważny, z białymi wąsami i taką głową.

— Pan Wincenty?

— Jestem, jestem. Dobrze żeście przyjechali, panie Szulc, zaraz możemy zacząć mo-wę... o robocie.

— O pan Wincenty, ne, ne! Ja aber nie kot, żeby po nocy widział. Jutro jak świt robota, a teraz...

— Cóż teraz?

— Ja miał swój sznaps i swoja wurst; pan kazal gotować kartofel, ja zaraz jeść i spać.

— Schowajcie sobie, panie majstrze, wasz sznaps i co tam powiadacie; skoro jesteście u nas, nasze będziecie pili i jedli; taki tu obyczaj się praktykuje.

— No, gut...

— I wy, gospodarzu—rzekł zwracając się do Dąbka—nie powróćcie głodni... Puśćcie konia na ugór, do naszych, chłopcy go dopilnują, a wy się posilicie. Nie mamy jeszcze domów, ani kominów, ale w garnek jest co wsypać, a baby i na dworze, przy ognisku uważają...

Chłop rzekł:

— Dziękuję, a przytem życzę państwu na nowej posiadzialności: «Szczęść Boże!» — niech się chleb rodzi, dobytek mnoży; żyjcie sobie na tem miejscu we zdrowiu i szczęśliwości...

— Bóg zapłać za dobre słowo.

Icek wnet się odezwał:

— Państwo myślą, że ja nie winszuję? Ja też winszuję: niech państwo mają dużo pieniędzy—to najlepszy interes jest.

— Dziękujemy! A ty żydku, co za jeden jesteś i czego żądasz?

— Ja jestem Icek Ufnal...

— No?...

— Trochę szklarz...

— To dobrze; szklarza nam trzeba.

— Ja to wiedziałem...

— A no, gdzie dom, tam i okna potrzebne.

— Ja mogę, choćby zaraz.

— Powoli, do jutra, pogadamy... Będziesz nocował?

— Ojoj!...

— Ale czym cię pożywić?

— O co kłopot? Chleb mam swój, a jeżeli państwo dacie kieliszek gorzałki, to będzie bardzo fajn kolacya.

— Dobrze.

— Jutro o tem szkłe?

— Jutro... Teraz noc krótka, a snu potrzeba.

Przed największym szalasem, na dwóch beczkach położono deskę i na tym improwizowanym stole zastawiono jedzenie. Zasiadła przy nim rodzina Wincentego, Szulc, zaproszono też Mikołaja.

Rozmowa nie szła, wszyscy byli senni.

Icek między szalaszami myszkował, usiłując wybadywać, stosunek jakiś zawiązać, ale zbywano go krótko. Po całodziennej ciężkiej pracy ochoty do gawędy nie ma, oczy się kleją, głowy szukają oparcia, wyczerpa-

nie i znużenie robi swoje, organizm domaga się snu.

Ledwie przed największym szalasem naczyńia ze stołu sprzątnięto, rozległ się dźwięczny, srebrzysty głos kobiecy i zaintonował «Wszystkie nasze dzienne sprawy...» Z głosem tym połączyły się grube basy i tenory mężczyzn, soprany kobiet, piskliwe dyszkanty dzieci i zabrzmiał chór uroczysty, poważny, rozlegał się nad łąkami, po rosie, powtarzał echem w pobliskim lesie...

W chwilę później nastąpiła cisza; z łąk zaczęły się podnosić białawe opary, na niebie mrgały gwiazdy, w dolinie czerwieniły się pogasające ogniska...





II.

Mrok nocny rozpraszał się powoli, opadała mgła, gwiazdy bladły coraz bardziej, aż wreszcie zniknęły zupełnie z horyzontu. Na wschodniej stronie niebo przybierało barwy coraz jaśniejsze, złotawe, różowe, ptaki zaczęły się budzić i świegotać.

Letnia noc kończyła swoje krótkie istnienie, a zapowiadał się dzień długi, gorący, upalny.

Słońce nie weszło jeszcze, ale było już widno i cała okolica rysowała się wyraźnie. Widać było pola pokryte zbożem, łąkę, rzekę, dużą przestrzeń poleśną, na której sterczały pnie ściętych drzew, a dalej las sosnowy.

Na łąkach wznosiły się kopice świeżo skoszonego siana, na nowinie gdzieniegdzie chwiały się cienkie sosenki, niewiedzieć jakim cudem ocalone od siekiery, a na polach, a raczej na miedzach, stały grusze dzikie, przysadziste, rozrośnięte szeroko. Na nowinie wznosiły się budy słomiane i szalasy z gałęzi, stały porzucone bezwładnie wozy i gospodarskie narzędzia, bielili się świeżo obrobione belki, czerwieniła cegła ułożona w sześciany.

Icek Ufnal przebudził się bardzo wczesnie, najwcześniej ze wszystkich ludzi, przepędzających noc w tem obozowisku.

Nie bardzo wygodny miał nocleg; pod gołem niebem i na gołej ziemi budziły go ciągle szmery nocy letniej, a bardziej jeszcze przeszkadzały mu spać myśli własne...

A teraz dużo ich było i tak rozmaitych!

Nowa wieś, nowe kolonie, nowi ludzie, nowe potrzeby, nowe stosunki, świeży grosz., Byle go tylko złapać, byle wziąć się do rzeczy umiejętnie, zręcznie, nie po fuszersku.

Dlaczego po fuszersku?... Bywa to czasem, ale Icek jest człowiek wypraktykowany, nie dzisiejszy, więc nie sfuszeruje, tylko musi

wpierw rozpatrzyć się dobrze w sytuacji, poznać ludzi, wiedzieć, z kim będzie miał do czynienia.

Podniósłszy się z ziemi, Icek poszedł do rzeki; umył ręce i zwróciwszy się w stronę wschodu, odmówił krótką modlitwę; następnie wszedł na wzgórze, z którego całą płaszczyznę doskonale mógł okiem objąć. Usiadł na kamieniu i zapalił fajkę, patrzył i kombinował.

Sądząc z ilości szalásów, ze stosów nagromadzonego drzewa, zmiarkował, że powstanie kilkanaście, może nawet dwadzieścia nowych osad, będzie to więc już wioska, nie nadto duża, ale też i niezbyt mała. Zachodzi pytanie, czy bogata?

I na to odpowiedź nie trudna; kto kupuje grunt, kto stawia budowle, ten biednym nie jest, a choćby nie posiadał kapitału, to już przez to samo, że ma grunt i gospodarstwo, jest odpowiedzialny i można z nim handlować.

W ogóle Icek przyszedł do przekonania, że tu będzie można coś zrobić i postanowił poznać wszystkich kolonistów i ich potrzeby.

Tak, czy owak, trzeba zacząć od początku, innego sposobu nie ma.

Niebawem na karczowisku ruch się zaczął. Kobiety rozpałały ogniska, biegły z konewkami po wodę, doily; mężczyźni szykowali wozy, ostrzyli kosy, niektórzy zaś wzięli się do obrabiania drzewa. Słysząc było nawoływania, gwar, łoskot siekier; tracze piłowali grube kłocę.

Icek zeszedł z góry, na drodze spotkał chłopą, z którym wczoraj przyjechał.

— A co to—rzekł chłop—jeszczeście tu?

— Jeszcze.

— Mielście świtem iść do Jastrzębia?

— Jastrząb nie ucieknie, zabawię tu jeszcze parę godzin...

— A może chcecie wracać do domu, to podwożę.

— Dziękuję, mam jeszcze różne interesa.

— Ha, jak wasza wola.

Chłop pojechał dalej, Icek zaś wkrótce znalazł się wśród szalasów i zbliżył się do gromadki ludzi, wśród której w blado-niebieskim spencerku stał pan Szulc.

— Dzień dobry, panie majster — rzekł Icek.



— Dobry...

— Będziemy mieli dużo roboty.

— Jo.

Jeden z gromady, mężczyzna wysoki, barczysty, z ponurem wejrzeniem, zapytał Icka:

— A ty co za jeden?

— Ja majster.

— Cieśla?

— Trochę szklarz.

— To jeszcze czas na ciebie. Odejdź i nie przeszkadzaj.

— Ja insze rzeczy też potrafię.

— Idź.

— Co brakuje, mogę sprowadzić, co potrzeba, dostarczyć. Każdy interes potrafię załatwić jednej chwili, w jednej minucie.

Ponury człowiek nic nie odrzekł, tylko zmarszczył brwi i z groźnym wejrzeniem i z wyciągniętą ręką posunął się ku Ickowi.

— Franciszku! — odezwał się Wincenty — daj pokój, a ty, żydku — dodał — odejdź i zaczekaj gdzie na uboczu. Skoro będziesz potrzebny, zawołamy cię, teraz nie przeszkadzaj nam naradzać się z majstrem.

Icek odszedł i aby nie tracić czasu, udał się do szalasów, w przekonaniu, że potrafi

wkraść się w łaski kobiet. W tej chwili gotów był zostać na poczekaniu kramarzem, przekupniem towarów łokciowych, czem kto chce. Wprawdzie nie miał przy sobie towarów, ale to mała rzecz; może się podjąć dostawy i nazajutrz przyjechać z pełną skrzynią najrozmaitszych przedmiotów.

Koloniści otoczyli Szulca i rozpoczęły się narady; przechodzili z miejsca na miejsce, oglądali i mierzyli place, przeznaczone pod budowę, obliczali ilość potrzebnych materiałów.

Cieśla sprzeczał się, odchodził, znowuż powracał, klócił się z kolonistami, wreszcie, po długim targu, Wincenty doprowadził do zgody.

Szulc podjął się postawić domy według wymagań właścicieli; domy porządne, na urząd, według wszelkiej formy, z ganeczkami na słupach, z okienicami, żeby zdaleka można było poznać że to nie chłopskie chaty, lecz dworki. Szulc podjął się sprowadzić stolarza i zduna, wskazał, gdzie można dostać robotników do siekiery, gdyż pomoc miejscowa nie była wystarczająca.

Aby czasu nie tracić, wzięto się zaraz do roboty z temi siłami, jakie były na miejscu. Szulc zrzucił z siebie spencer, wydobyl z za cholewy składany łokieć i wielki ołówek cie-sielski i zaczął odmierzać podwaliny dla pierwszego domu.

Postanowiono jednozgodnie, że przede-wszystkiem ma stanąć dom dla Wincentego. I nie mogło być inaczej; Wincenty bowiem był w gromadzie najglówniejsza osoba, gło-wacz i pieniądze i latami najstarszy i w sprawach różnych, procesach, wypraktyko-wany i taki jakiś zawsze poważny i spokoj-ny, że go każdy słuchał i szanował. On to właśnie kupno ziemi, na której się teraz ma-ją osiedlić, do skutku doprowadził, on po-kierował sprzedażą gruntów na dawnej sie-dzibie, on u adwokatów, regentów, w hypo-tece, długi czas strawił, aby wszystko do-brze zakończyć, aby kupno było bezpieczne, pewne jak mur, niewzruszone.

Oczywiście, że takiemu należało się pierw-szeństwo, bo go każdy za głowę uważał, a chociaż znajdował się w gromadzie jeden i drugi taki, co na przewagę Wincentego krzy-wem okiem spoglądał, jednak odzywać się

z tem głośno nie śmiał, bo wiedział, że parcia nie znajdzie, że go wszyscy wyśmieją i zakraczą.

Ludzie wiejscy, rolnicy, zawsze na ziemię są chciwi i każdy radby jej jak najwięcej posiadać, ale w owym czasie prawdziwa gorączka kupna gruntów panowała. Dość było słówko szepnąć, że jaki folwark jest do nabycia, wnet kupcy, jak muchy do miodu, spieszyli i brali ziemię na działki, prawie nie targując się, byle tylko ją posiąść. W tym właśnie czasie ruszył się Wincenty i pół wioski rodzinnej wyprowadził za sobą.

Trafił się do kupna duży folwark, Wincenty porozumiał się ze swoimi i jeszcze z jednym szaraczkiem, który na handlu końmi dobre pieniądze zrobił i folwark ten kupili.

Koniarz wziął dwór z zabudowaniami i dwanaście włók przyległych, kolonistom dostała się reszta: pola, łąka, nowiny poleśne i lasu kawałek.

Musieli się całkiem z nowego budować i zagospodarowywać.

Na poprzednią swą własność, na ziemię, porozrzucaną długimi, wąskimi zagonami

w rodzinnej wiosce Sakowie, wnet nabywców znaleźli w osobach swoich najbliższych sąsiadów. Sprzedali więc je, porzucili stare swoje śmiecie i poszli za Wincentym doraabiać się na nowem i na większem.

Każdy z kolonistów Sakowski się nazywał, ale tylko w metryce i urzędowych dowodach, w życiu sąsiedzkiem, prywatnem, pod przydomkami ich znano, a te przydomki, z ojca na syna przechodząc, prawie nazwiskami rodowemi się stały.

Wincenty naprzykład Wąsalem był zwany; podobno dziadek jego, dla wielkich wąsów, jakimi się odznaczał, to przezwisko otrzymał i tak już przy rodzie pozostało. Nie przejdzie już ono w dalsze pokolenia, gdyż jedyny syn Wincentego umarł i pozostała po nim tylko córka Hanusia. To dziecko, po śmierci matki, która niedługo męża swego przeżyła, wzięli do siebie Wincentowie.

Hanusia chowała się szczęśliwie, rosła i wyrosła na śliczną dziewczynę. Dla jej urody, dobroci, a wreszcie dla majątku, jaki kiedyś w przyszłości po dziadku odziedziczyć miała, nie brakło jej konkurentów, ale

ku wielkiemu zmartwieniu dziadka i babki, Hanka nie chciała nawet słuchać o kawalerach; mówiła, że jej dobrze w domu i że nie ma czego się śpieszyć. Były czasem z tego powodu sprzeczki; Wincentowa gderała, Wincenty gniewał się, ale dziewczyna zawsze potrafiła znaleźć sposób ułagodzenia staruszków i wszystko zostawało do jakiegoś czasu po dawnemu.

Na nowej siedzibie Hanka spokojniejszą i bardziej swobodną się czuła, przypuszczając nie bez racji, że dziadek, zajęty interesami gromady i urządzeniem nowego gospodarstwa, nie będzie miał czasu myśleć o jej małżeństwie. Zresztą, gdzieżby wyprawił wesele? W szalasie—nie, a zanim nowy dom stanie, zanim się wszystko do porządku doprowadzi, dużo jeszcze wody w rzece upłynie...

Z piosnką na ustach, wesoła, uśmiechnięta, wybiegła przed szalas, przysłoniła dłonią mądre oczy, bo je raził jasny blask słoneczny i patrzyła przez chwilę w stronę lasu.

Tam w oddaleniu, wśród pni, na wzgórzu, odosobniona od ogólnego koczowiska, stała buda, sklecona z gałęzi sosnowych, przed

nią przy ognisku, z którego dym wznosił się słupkiem białawym do góry, uwijała się kobieta.

Hanka zarzuciła chusteczkę na głowę i szybkim krokiem udała się ku wzgórzu. W parę chwil później, zmęczona trochę, zarumieniona, znalazła się przy ognisku.

— Hanusia! — zawołała staruszka — tyżes to, kochanie!

— Czyżbyście nie poznali mnie, pani Józefowa?

— Oczy moje coraz gorzej widzą—rzekła starowina — o zmroku nic już nie widzę, a przy blasku, kiedy słońce świeci, to mi się każda rzecz mieni.

— Moja droga, złota pani Józefowa, ja tu przybiegłam, żeby wam dać znać.

— Co takiego?

— Cieśla jest, domy będą stawiali...

— To i cóż?

— No, kiedy jest, to niechby i dla pani zarządził, jak co zrobić.

— Dziękuję ci, kochaneczko, za twoją pamięć i serce dobre, ale ja domu stawiać nie będę...

— A jakże będzie?

— Jak Bóg da.

— Przecież bez dachu nad głową nie sposób.

— Musi się obejść.

— Moja droga pani!...

— Siadaj, kochaneczko, ot, choćby na tym pieńku, wszystko ci powiem. Chaty nie postawię, bo nie mam za co. Wszystko, co tylko miałam ze sprzedaży części mojej w Sakowie—poszło na kupno gruntu.

— Nie ma się o co frasować, ja poproszę, to dziadzio pani pomoże.

— Bóg zapłać. Ja wiem, że Wincenty-by pomógł, bo dobry człowiek, ale choćbym miała za co, to bez Jasia budowli stawiać nie będę. Moje gospodarstwo na tym świecie niedługie, jemu zaś do życia; niech buduje sam, jak mu będzie lepiej i dogodniej.

— Zawsze... Ach, mój Boże, ja nie wiem! Lato zbiegnie ani się obejrzeć kiedy, nastanie jesień, chłód, deszcze, a pani zdrowia nie ma.

— Jaś przyjedzie, to zaradzi.

— A jeżeli nie przyjedzie?

— To dopóki będzie można, tu posiedzę, a gdy zima zaskoczy, na komorne do sąsia-Buda na karcz.

dów, albo do miasta się wyniosę; ale ja mam takie przecucie, że on przyjdzie, przyjdzie do ziemi swojej własnej, do matki rodzonej, przyjdzie i do...

— Do kogo jeszcze? — spytała z uśmiechem.

— Wiesz ty dobrze... Ale, bodajże... Jakaż pamięć moja! Od wczoraj wypatruję ciebie, chciałam już iść do was, a zobaczywszy cię, zapomniałam! Oj, głowa, głowa! I ty chcesz, żebym ja swoim rozumem dom synowi stawiała! Toż ja mam list.

— List?

— Wątarek Franciszek wczoraj w mieście był i z poczty mi przywiózł...

— Od kogo? — zapytała dziewczyna, a gorący rumieniec oblał jej ładną twarzyczkę.

— Od kogo? A kogóż ja mam, prócz niego na świecie? Ktoby inny do mnie mógł pisywać? Zadrżałam, gdy mi to pismo oddano. Ogarnęła mnie ciekawość i niepokój. Bóg wie, co się z chłopakiem dzieje...

— A cóż pisze, pani Józefowa kochana, cóż on pisze?

— To też, powiadam ci, Haniu, że ręce mi drżały, nogi się trzęsły podemną. Nara-

zie nie mogłam znaleźć okularów; zdawało mi się, że je schowała do skrzyni... Nie ma! Nareszcie znalazły się w książce do nabożeństwa. Biorę je copędzej, chcę czytać... nie mogę, nie dojrzę... Zapłakałam gorzko. Myślałam do ciebie pójść, nie miałam siły, chciałam Franke posłać, ale gdzież tam! Zapędziła się za krową, co się zbłąkała w lesie, a gdy wróciła, było już późno. Trzeba było do rana czekać. Właśnie chciałam powlec się do was, aż tu ciebie mi Bóg przysłał. Z radości, żeś przyszła, zapomniałam o liście. Taka to moja stara głowa, Hanusiu. Jego ja kocham i ciebie kocham; może jego więcej, bo on mi syn, a może ciebie więcej, boś ty taka serdeczna...

— Moja droga matusiu! — rzekła dziewczyna, całując pomarszczone ręce staruszki— moja droga!...

— No, masz ten list, przeczytaj mi go... Mój Boże, ja cię nauczyłam czytać, a teraz mam za to nagrodę; ja cię zawsze nazywałam mojem oczkiem — i naprawdę oko mi zastępujesz.

Dziewczyna czytała głośno:

— «Kochana matko moja! Donosiłem po-

przednio, że za parę miesięcy już powrócę do was, matko, i nie opuszczę was więcej. I byłbym już pewnie z wami, ale Pan Bóg zrządził inaczej. Miałem wypadek, spadłem ze znacznej wysokości, zламаłem nogę.

— Mój Boże!—zawołała dziewczyna, przerywając czytanie.

— Dalej, dalej!—rzekła staruszka surowo, prawie z gniewem—ma co złego być, niech odrazu będzie... Czytaj!

— ...złamałem nogę i wzięli mnie do szpitala, gdzie zapewne kilka tygodni, a może i ze dwa miesiące przeleżę. Nie martw się, matusiu, doktor obiecuje, że wrócę do zdrowia i będę znów zdalny do roboty, jak i przed wypadkiem. W Bogu nadzieja. Nie martw się też, że mi tu źle lub że mi czego brakuje. Nie, mam na wszystko, z zarobku zaoszczędziłem trochę pieniędzy i nawet tobie, matko, przyślę, bo na nowem gospodarstwie wydatków nie brak. Znam ja ten kawałek ziemi, co nam z podziału kupionego gruntu wypadł, dla innych on niełakomy, ale dla nas będzie dobry i aby ci tylko, matko, Bóg użyczył zdrowia, to zobaczysz co się z niego zrobi. Całuję twoje ręce, moja droga

matko, ukłony załączam dla wszystkich dobrych znajomych i sąsiadów naszych, a najbardziej dla Hanusi. Napiszcie do mnie parę słów; dla chorego, to najlepsze lekarstwo, wiedzieć, że jest ktoś przychylny, co o nim myśli i za jego wyzdrowienie się modli. A o mnie nie bójcie się, doktor mówił, że będzie dobrze. Bywajcie zdrowi, matusiu.

Wasz przywiązany syn

Jan.»

— Już?—zapytała staruszka.

— Już wszystko—odrzekła Hania.

— Żeby nie tak daleko, pojechałabym do niego... pilnowałabym, nie odstępując, bez przerwy — ale taki kawał drogi za Warszawą, pod pruską granicą, gdzież sposób?

— Prawda, prawda!

— Stara, chora, niewidząca, może zamarłabym gdzie na drodze, a przecież serce wyrywa się. Rozumiesz, to Hanusiu.

— Rozumiem — odrzekła z westchnieniem—rozumiem...

Dwie duże, ciężkie łzy stoczyły się po jej twarzy, ale niedostrzegła ich zmartwiona matka. Ona nic bo nie widziała w tej chwili, tylko jakąś daleką, daleką przestrzeń.

akiś zupełnie obcy, cudzy dom, a w tym domu swego cierpiącego syna.

— Hanusiu — odezwała się cichym, stłumionym głosem—Hanusiu.

— Słucham, jestem tu.

— Idź ty, kochanie moje, do domu, idź, może tam babka cię potrzebuje, może dziadek szuka.

— Wypędzacie mnie?

— Nie, ale on pisał, że dla chorego najlepsze lekarstwo, gdy się kto modli o jego wyzdrowienie.

— Idę, zostańcie z Bogiem, pani Józefowa.

— Przyjdź jutro, kochaneczko, teraz ja muszę być sama... przed obrazem Pocieszycielki strapionych.





III.

W dość znacznej odległości od tymczasowych siedzib kolonistów, za lasem, nad samym prawie brzegiem rzeki, znajdował się dwór z ogrodem i folwark, nabyty przy parcelacyi, wraz z większą przestrzenią gruntu, przez zamożnego szaraczka, który się na handlu końmi sporego grosza dorobił.

Była to niegdyś ładna rezydencya; dom obszerny, na wysokiej podmurówce, z dużemi weneckimi oknami, z gankiem i pięterkiem; przed domem rozciągał się dziedziniec szeroki, z klombami i trawnikiem, za domem zaś był ogród, w części dziki, w części owocowy, ozdobiony aleją grabów, ciągnącą się dokoła całego ogrodu, wzdłuż parkanu.

Z tej alei, po łagodnej pochyłości wzgórza, schodziło się do rzeki.

Zarówno dom, jak i ogród świadczyły, że niegdyś mieszkali tu ludzie zamożni, dbający o wygodę i porządek, ślady tego pozostały jeszcze, ale w ogóle znać było, że przeszedł po nad tą siedzibą duch zniszczenia i upadku.

Kilka szyb stłuczonych zakleiono papierem, na dziedzińcu trzoda ryła trawniki, a na sztachetach, tuż koło domu, suszyła się bielizna, wisiały garnki, dzieżki od mleka, skopki i różne statki gospodarskie.

Brama od ogrodu była otwarta na oścież; jedna jej połowa, wyrwana z zawias, leżała na ziemi, druga ledwie się na jednym haku trzymając, podobnego oczekiwała losu. Kury, kaczki, prosięta wchodziły swobodnie i niszczyły resztki kwiatów na rabatach, żrebaki pasły się na ślicznie kiedyś utrzymanych gazonach.

Folwark też dość dziwnie wyglądał; zabudowania obszerne, jak dla wielkiego majątku, zawiłekie były dla siedmiowłókowego gospodarstwa, a materiał budowlany miał taką wartość w oczach kolonistów, że po-

stanowili podzielić się nim w naturze. Rozebrano więc ogromne stodoły, obory, owczarnie i szopy, wywieziono drzewo i cegłę, a na folwarku pozostały zabudowania ucięte, skrócone do jednej trzeciej lub jednej czwartej części poprzedniej długości.

Dziwny sprawiały widok te poobcinane budynki, połatane tarcicami, gałęzmi sośniny, słomą. Przestrzeń pomiędzy nimi zwiększyła się, drzewa mające stanowić ochronę od ognia, znalazły się odosobnione, ogólna symetria zniknęła, a zrujnowany i połamany parkan dopełniał obrazu zniszczenia. Na miejscu stodoł były twarde klepiska, na miejscu obór i owczarni kupy mierzwy, poprószonej słomą, wszędzie pełno gruzów, rumowiska, wiórów, potłuczonej cegły, powyważanych z fundamentów kamieni.

Przykry to widok był, sprawiał wrażenie pustki, ruiny, cmentarzyska. Oczywiście chwilowem to tylko być miało, przejściem do nowej formy życia, do innych sposobów pracy, przez innych robotników podjętej.

We dworze osiedlił się nowy właściciel, pan Gerwazy. Nazwisko miał takie, jak i wszyscy koloniści z Sakowa, ale znano go

pod przydomkiem Talara, a jako człowieka bogatego, przez grzeczność Talarowskim nazwano. Jakże-bo prostym talarem ma być człowiek, liczący w swoim majątku, jak fama niosła, dwadzieścia kilka, a może nawet i trzydzieści tysięcy rubli. Tak przynajmniej ludzie twierdzili.

Dawniej takich w rzędzie krociowych pieniądze stawiano, a chociaż obecnie pojęcia o krociach uległy pewnej reformie, jednak urok bogactwa, choćby niezbyt wielkiego, istnieć nie przestał, zwłaszcza dla tych, co sami posiadają niewiele.

Gerwazy przyszedł do fortuny własną tylko zabiegiwością i sprytem; po rodzicach dostał niewiele: trzecią część biednego gospodarstwa, kilkanaście długich i wązkich zagonków, odpowiedni dział z zabudowań i dobytku. Żona mu też fortuny wielkiej nie wniosła w posagu, gdyż wówczas, kiedy powziął zamiar wejścia w związki małżeńskie, nie miał jeszcze majątku i do wielkich partyj nie mógł być zaliczony, a tem samem o bogate panny konkurować. Wziął dziewczynę ładną i tęgą, podług upodobania i wyboru serca, ale z posagiem bagatelnym: kil-

kaset rubli, kilka zagonków, trochę rucho-
mości, dwie krowy—dobrali się wszakże obo-
je, jak w korcu maku i zaraz z początku
wieść im się dobrze zaczęło.

Ona gospodarstwo prowadziła sama, on po
jarmarkach się włóczył; konie kupował,
sprzedawał, zamieniał i doskonale na tym
handlu wychodził, kapitał podwajał i po-
trajał, a zakres działalności swej wciąż roz-
szerzał.

Dzieci im się nie wiodły; z sześcioroga
tylko jeden chłopak przy życiu pozostał; in-
ne pomarły, zaledwie od ziemi odrósłszy.

Jedynak był dumą i nadzieją rodziców,
zwłaszcza matki; on też stał się głównym
powodem kupienia folwarku i przyjęcia u-
działu w parcelacyi.

— Tak nie może być — mówiła pani
Gerwazowa do męża—na małej cząsteczce
szlacheckiej nasz Adaś się nie wyda i nie
do tego on jest, żeby sochę dźwigał i za
broną chodził.

— A do czegoż taki wiskus? — mruknął
Gerwazy, który oponował żonie z zasady,
choć w gruncie rzeczy zupełnie jej zda-
nie podzielał. — Co on lepszego odemnie?

— Nie do tego się mówi, żeby co lepszego miał być, ale ty wiesz sam, że kiedyś był w jego latach, musiałeś głową kręcić i pracować.

— To i on niech pracuje.

— On bogaty.

— Nie on, tylko ja. Ja i ty — dodał po chwili.

— Do trumny majątku nie weźmiemy, a milej ci będzie widzieć, że twoje dziecko jest w lepszym stanie. Już ja dużo, dużo, nad tem myślałam.

— Ciekawość, co też wymyśliłaś?

— Tobie się zdaje, że kobieca głowa, to nic. Możesz ty mieć swój rozum do koni, a ja mam swój do dziecka.

— Ciekawość, ciekawość...

— Tylko tak sobie nie dworuj; ja wiem, co mówię. Nasz syn nie może tak pozostać, jak teraz. Dwadzieścia cztery lat chłopcu na Boże narodzenie minęło, żenić mu się czas.

— Oho!

— Nie chciałbyś to wnuków doczekać—co?

— Tak mi z wnukami, jak i bez—odrzekł Gerwazy.

— To nieprawda.

— Skoro mówię...

— Ale tak nie myślisz; wiem, że co innego masz w głowie. Zresztą, zawsze na świecie taki porządek był i ty go nie odmienisz. Kto się żeni, pragnie dzieci; kto wychowa dzieci, prosi Boga o wnuki. Żebyś ty sto rozumów miał, żebyś tysiące jarmarków obejrzał i nie wiem jak mądrował, to nic inszego nie wymądrujesz, tylko, że trzeba Adamka ożenić.

— A no, wreszcie, niechby tam. Juści kiedyś musi to się stać.

— Źle, że się dotychczas nie stało.

— Nie wspominałaś nigdy, że ci tak pilno babką zostać.

— Jakiś ty dziwny, Gerwazy, jakże miałam wspominać? Dąkądże to nasz Adaś przyprowadziłby żonę? Do tej marnej chałupy, w której gromadą siedzimy, jak żydy, z parobkiem, z dziewczkami, z dobytkiem. Nasza synowa inszej wygody potrzebuje.

— Jeszcze jej nie znasz, a już wiesz, jakiej wygody zażąda.

— Nie znam, ale wiem, jakąbym chciała mieć.

— E! co grymasić, niechby jej tylko dobry posag dali, to może być jaka chcąc.

— A właśnie, że nie. Adaś jest bogaty i może nie patrzeć koniecznie na posag, tylko podług upodobania osoby.

— O, o!...

— Ma się rozumieć. Nasz syn jest edukowany, w szkole był, mundur nosił.

— Juści nosił, bo nosił, ale tak mu się chciało uczyć, jak żydowi orać.

— Zawsze trzy klasy skończył, a ty nic.

— Bo ja nie miałem takiego ojca, żeby wikt za mnie opłacał i odzienie mi sprawiał.

— On, dzięki Bogu, miał i skoro jest edukowany, to i według małżeństwa musi mieć osobę edukowaną.

— Aha! może jeszcze z fortepianem?

— Dlaczego nie?

— I może, żeby po francusku...

— A cóżby to przeszkadzało?

— Pewnie; ona zacznie szwargotać, a ja będę z tobą jak na niemieckim kazaniu. Taka może nas dyfamować, brzydkie słowo powiedzieć, a my będziemy się cieszyli, że to politycznie i z edukacją. Ot, wybij sobie

to z głowy, bo i twój kochany Adaś tyle rozumie po francusku, ile ja po turecku.

— Właśnie, że rozumie.

— A ty z kąd wiesz?

— Bo wiem, on jest taki zdatny, że każdą rzecz zna.

— No, no...

— Sprzeczasz się ze mną tylko dla przekory, ale sam miarkujesz, że trzeba coś zrobić.

— Może. A cóżbyś ty chciała?

— Dwór mieć swój, folwark, żeby było po pańsku.

— Alboś to nie pani na swoich śmieciach?

— A cóż mnie? Jaby tu do śmierci siedziała, ale dla dziecka. On panicz, jemu trzeba innego posiedzenia, obejścia, innej mody. Folwark kupmy.

— Gdzie go szukać? Ja nie czasowy, swego muszę pilnować.

— Już się nie frasuj, ja znajdę, a prawdę mówiąc, już znalazłam.

— Gdzie?

— Wincenty kolonistów zbiera, na wielki majątek się rzucają, akurat dla nas byłby

dwór z folwarkiem i jakie dziesięć włók gruntu, a dla nich reszta. Pójdźno do Wincentego, pogadaj z nim.

— Gdzie mnie na takie duże gospodarstwo? Kto się niem zajmie, kto zarządzi?

— Adaś.

— Też znawca!

— Właśnie, że znawca. Rozważ sobie dobrze, a zresztą cóż ci szkodzi? Kupić, nie kupić, potargować wolno... przymusu nie ma.

Dotąd Gerwazemu dokuczala, dotąd przy-
naglała go, aż poszedł i rozmówił się z Wincentym.

Ponieważ warunki kupna były dogodne, a sama myśl posiadania folwarku, chociaż nie przyznawał się do tego, wydawała się szlachcicowi ponętną i lechtała jego próżność, przystąpił do spółki i stał się właścicielem ziemi i owego dworu i folwarku, po nad którym przeszedł duch zniszczenia.

Nie żałował Gerwazy wydatku i kupna; po biednej chacie w Sakowie, dwór nowo nabyty wydawał mu się pałacem, tak w nim było przestronno i obszernie.

Gerwazowa, jako doskonała gospodyni,

postanowiła zużytkować pokoje, aby pustką nie stały; zapelniła je tedy beczkami, workami, skrzyniami wszelkiego rodzaju i byłaby niezawodnie cały dom zamieniła na spiżarnię i ogromny skład rupieci, gdyby nie opozycya Adasia, który powiedział wręcz matce, że to niepolitycznie, że u wielkich państwa jest zupełnie inna praktyka.

Zawstydzona kobieta tłómaczyła się przed synem, że to jest tylko tymczasowo i przyrzekła, że skoro tylko wyporzadzony zostanie lamus i spiżarnia, to pokoje będą uprzątnięte, zamiecione i urządzone według wskazówek Adasia.

— Ty, moje dziecko — mówiła — znasz świat i modę, rządz-że więc i dysponuj, jak ma być. Ja kobiecina swego chowu, na tem się nie rozumiem. Niech wszystko będzie ładnie i dobrze, a ty sobie pannę piękną upatrz, żeń się i w tych pokojach szczęśliwie mieszkaj.

Chłopak nic na to nie odpowiedział, nacisnął czapkę na głowę i wybiegł na dziedziniec.

Gerwazy, był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, barczysty, twarz miał kolo-

Buda na karcz.

ru ceglatego, opaloną od słońca, tylko czoło białe, jak słoniowa kość. Oczy niewielkie, żwawe, bystro spoglądały z pod brwi gęstych, czarnych, wąsy były równo przystrzyżone nad wargą, żeby nie przeszkadzały w jedzeniu. Włosy miał trochę szpakowate, głowę nosił wysoko, w każdym jego ruchu, w każdym geście, znać było pewność siebie i przeświadczenie o swoim rozumie, wyższości i bogactwie.

Ubierał się nie z waszecia, ale zupełnie po miejsku. Na codzień, na podróże, włóczenie się po jarmarkach, na targi, używał butów z wysokimi cholewami, kozucha i burki z kapturem, ale w święto nosił krochmalone gorsy, kołnierze i mankiety, nie zapominał o jaskrawym krawacie i szpilce z koralową główką. Miał czarny garnitur, kamasze, kapelusz kastorowy, porządne palto, w razie niepogody kalosze i parasol. Używał okularów w talmigoldowej oprawie, miał «porte-cigarre» skórzane i tabakierkę srebrną.

Zona jego do elegancyi przyzwyczaić się nie mogła; żwawa i ruchliwa kobiecina w zwykłym domowym wełniaku i w chustce na

ramionach, traciła wszelką swobodę ruchów w sukni, przez krawca zrobionej, żenował ją kapelusz na głowie, nabawiały kłopotu rękawiczki, a parasolki nie potrafiła otworzyć. Trudno ją było namówić do wyjazdu, jeżeli wyjazd połączony był z koniecznością ubrania się w «cudaki», tylko w niedziele i święta to czyniła, jedynie z pobożności, gdyż nie opuszczała nigdy sumy i kazania.

Synek był wielki elegant, marzył tylko o tem, ażeby się stroić, bawić i używać wszelkich przyjemności życia. Krawcy miasteczkowi nie mogli mu dogodzić ani krojem, ani gatunkiem materiału. Gniewał się na nich, przeklinał, przyrzekał, że nigdy w życiu nie da im nic do roboty, że pojedzie do Warszawy umyślnie tylko po to, aby się w elegancką garderobę zaopatrzyć — ale po niejakiem czasie znowu odwiedzał Judkę lub Abrama i nowe zamówienia robił.

Judka, człowiek doświadczony i znający stosunki swoich klientów, uśmiechał się do młodego człowieka, prosił go siedzieć, pokazywał próbki materiałów, wreszcie brał miarę.

— Ny—mówił—ja wiedziałem, że pan do

mnie przyjdzie, że pan nie będzie szukał warszawskich majstrów.

— To już ostatni raz... A jeżeli Judka sfuszeruje, ubrania nie wezmę. Szukajcie kogo, żeby je kupił.

— Panicz powiedział killkanaście słów, a w tych słowach trzy omyłki.

— Jakie omyłki? Co znów?

— Pierwsza omyłka, że Judka sfuszeruje. Panicz wie dobrze, że to się nigdy nie zdarza, bo Judka jest majster i dla pierwszych panów szyje. W zeszłym tygodniu przerabiałem szlafrok. Jak pan myśli: czyj to był szlafrok?

— A licho go wie!

— Za przeproszeniem, to był hrabiowski szlafrok! Pana starszego hrabiego z Oblazłówka. A jak panicz myśli, jaki to był szlafrok?

— No przecież Judka mówił—hrabiowski.

— Nietylko hrabiowski, ale i aksamitny też był. Ha, ha! śliczne odzienie, śliczny kawalek roboty! Jak go przerobiłem! Nie chwale się, ale stanik od damskiej sukni nie może tak być dopasowany do damy, jak ten szlafrok był dopasowany do swojego hra-

biego. Hrabia w nim tak wygląda jakby go kto ułął z aksamitu! No, to widzi pan, że Judka nie jest fuszer. Druga omyłka w tem, że panicz ubrania nie weźmie. O to ja się nie boję.

— Bo nie wezmę, jeżeli będzie źle leżało.

— A w czem panicz będzie chodził?

— Moja w tem głowa.

— Z przeproszeniem, ale głowa nie jest krawiec i ubrania nie zrobi. Trzecia omyłka w tem, że panicz powiedział: ostatni raz.

— Ma się rozumieć.

— Oj, oj, żebyśmy tak oba mieli szczęście, jak przed tym ostatnim razem było dużo ostatnich razów i jak po tym ostatnim razie jeszcze będą ostatnie razy.

— Warszawa nie za morzem.

— I to prawda, ale czy tam są porządni krawcy?

— Juści lepsi niż tu.

— Co panicz mówi? Oni są fuszery, oni nie umieją ludzi szanować, liczą drogo i chcą mieć pieniądze zaraz, na stół. Czy oni wiedzą, że panicz jest pana Talarowskiego synek, że u takiej osoby mieć pieniądze, a

w banku mieć pieniądze, to wszystko jedno jest; czy oni co wiedzą? Panicz powiada: ładny krój. Niech nasze wrogi będą tak skrojone! Warszawski krawiec umie tylko wykroić komu kieszeń, a my jesteśmy delikatni ludzie i wiemy, jak komu dogodzić i ile pokredytować.

Ten ostatni argument był bardzo ważny, gdyż Gerwazy pieniędzy synkowi dawał nie wiele, o oszczędności zaś i potrzebie szanowania grosza mówił bardzo dużo, a chłopak zasad tych nie podzielał, rwał się do życia i jego przyjemności, wiedział, że jest synem bogatego ojca i chciał imponować ludziom, rzucać pieniądze.

Z biedniejszymi rówieśnikami swymi we wsi wdawać się nie lubił, pracy z nimi nie podzielał, nie stanął tak, jak oni, do kosy, sierpa lub cepa, nie chodził za pługiem, nocą z końmi na pastwisko nie jeździł, uważając się za wyższego pod względem stanowiska i rozumu. Natomiast lgnął do pisarzy, do kancelistów z miasteczka, lubił z nimi zabawiać się wesoło, w karty grać i kieliszki wychylać, a rozpacz ogarniała go na myśl, że pieniędzy dość na to nie posiada. Towa-

rzysze robili mu niekiedy przycinki, wspominając w rozmowie o skąpstwie, o bogatym biedaku, a każde takie ironiczne słówko, każdy złośliwy uśmiech wstrząsały nim, niby prąd elektryczny.

Bładł i czerwienił się naprzemian, zagryzał wargi aż do krwi i w takiej chwili gotów był bez namysłu ważyć się na wszystko, byle tylko zaimponować towarzyszom, byle im pokazać, że i on potrafi być rozrzutnym.

Przy braku zatrudnienia, przy zupełnej swobodzie, w chłopaku zaczęły kielkować, a następnie krzewić się zle ziarna, a nie było komu wykorzeniać tego chwastu, gdyż ojciec ciągle prawie po za domem przebywał, matka zaś kochała swego jedynaka do szaleństwa, patrzyła na niego, jak w obraz i miała to przekonanie, że cokolwiek Adaś robi — dobrze robi, że jako kawaler bogaty i edukowany powinien bywać w świecie i szukać lepszego towarzystwa, aniżeli to, jakie znaleźć można w cichej wiosce szlacheckiej, wśród pracowników pługą i kosy. Matka też radziła, i dość skutecznie nawet, na skąpstwo ojca. Miała ona w skrzyni, gdzie

ubranie chowała, na samym dnie, pod stosem szub, kożuchów, spódnic, płótna i drelichu własnego wyrobu, oszczędności z kobiecego gospodarstwa, przez długie lata zebrane—i kiedy tylko Adaś był smutny, kiedy użalał się na los, na niemożność zabawienia się i życia z ludźmi, głaskała go po głowie i mówiła: nie martw się, dziecko drogie—znikała w komorze.

Po długiej chwili, gdyż niełatwo było do tak ukrytego skarbu się dostać, powracała z paczką banknotów w ręku, uradowana, uśmiechnięta, na myśl, że Adaś rozweseli się i ożywi.

Chłopak czasem dziękował rodzicielce swej za pomoc, czasem nie, wymykał się z domu natychmiast i znikał, przepadał na cały dzień, czasem i na kilka.

Gdy się Gerwazy przeprowadził na nową siedzibę, gdy zamiast części czlacheckiej posiadał folwark, gdy zamieszkał we dworze, żona potrafiła mu wytłómaczyć, że Adaś, jako panicz, powinien mieć swego własnego konia i jeździć wierzchem, nie zaś trząść się na wozach lub na starej bryczce. Gerwazy z początku kręcił głową, ale

wkrótce przekonany, ustąpił żonie, machnął ręką i rzekł.

— Niech tam.

— Więc przyprowadzisz mężu, kupisz?

— No, no...

— Ale co porządnego, nie byle podjezdka lub hetkę. Przecież ty znawca na koni, potrafisz wybrać...

Gerwazy ramionami wzruszył.

— Ot, gadanie!... Czy ja się znam?... A któż u kaduka będzie znawca, jeżeli nie ja?

— Ale słuchajno.

— Czegóż jeszcze?

— Kup też i siodło porządne z całym przysposobieniem, jak należy.

— Eh! moja Tekluniu, prawdziwie to mówią, dać kurowi grzędę...

— Jakże bez siodła?

— Jest stare na górze.

— Grat!

— Nie gadaj, rzemień zdrowy, ani jednej sprzączki nie brak.

— Ileż to taki nowy statek może kosztować?— spytała.

— Juści kosztuje, darmo rymarz nie da.

— Bo widzisz, ja... chciałabym ze swojego. Też przecie bez grosza nie jestem.

— Ot, kobiece zażądanie! Jak się uprze, rób co chcesz.

— Ale kupisz, kupisz... Mnie obiecywałeś nową szubę, to wolej nie sprawiaj, mam w czem chodzić.

— No, no! — mruknął Gerwazy, fajkę zapalił i wyszedł przed dom.

W tydzień później przyproceedził z jarmarku siwego źrebca, na widok którego Adasiowi aż oczy zabłysły.

— No, co? — pytał Gerwazy z dumą. — Ładna sztuka, he?

— Śliczności!

— Ile wart, jak myślisz?

— Albo ja wiem...

— To mu się przypatrz. Czterolatek, z dobrej stajni. Tfu! jak ty konia oglądasz! Na łeb mu patrzy, znawca! Ty na nogi uważaj, na piersi, na krzyż, na lince go przepędź, obacz, jakie chody ma! Pod generałem mógłby chodzić, a harmatę toby w pojedynkę ciągnął. Weź go, daruję ci. Siodło nowe w bryce znajdziesz z trenzlą, z całym przyborem. Jeździj sobie, jeno trzymaj się do-

brze, bo choć z dobrego konia spaść nie żał, ale jakbyś kark skręcił, tobyś już nie mógł spaść drugi raz...

Rozgadał się, małowówny zwykle Gerwazy, bo konia dobrego przed sobą widział, z taniego kupna się pysznił, przypomniał mu się jarmark i żyd, który od ręki pięćdziesiąt rubli odstępnego mu dawał...

W godzinę później Adaś dosiadł żrebca i zaczął harcować po dziedzińcu. Matka patrzyła z dumą na swego jedynaka, a jednocześnie przejmowała ją obawa, aby go koń nie zrzucił.

— Nie bój się, Tekluniu, uspakajaj ją Gerwazy, alboż nie chłop dorosły, nie ma siły, czy co? A zresztą, chociażby i spadł, to nie do nieba poleci, jeno na ziemię gruchnie.

Obawa matki była próżna. Na hardym, niepokornym a gorącym koniu chłopak się trzymał nie sztuką, lecz siłą swoich mięśni.

W podskokach szalonych objechał kilkakrotnie dookoła dziedzińca, a potem zwrócił ku bramie, popuścił cugle i jak wicher popędził w stronę nowych kolonij.

Matka stała na ganku, Gerwazy, z fajeczką w ustach, na ławce przed domem usiadł.

— Ślicznie jeździ nasz chłopak! — rzekła kobieta.

— O! wielka sztuka! — odrzekł. — Ja stary, a też potrafię.

— Ty co innego, ty z maleńkości...

— Jakto co innego? Toć ojciec jego jestem!

— I panicz on — mówiła półgłosem — i edukowany i ładny... Prawda, Gerwazy?

— A juści... Tylko, że mu po łbie wiatr chodzi.





IV.

Fryderyk Szulc doskonale się sprawiał, pod jego kierunkiem robota szła szybko, majstrowie i robotnicy uwijali się żwawo, tak, że po kilku tygodniach już czerwieniły się kominy, a gonciarze pobijali dachy na nowych domostwach.

Od wczesnego ranka rozlegał się stuk siekier, toporów i młotów i trwał przez cały dzień, z małą przerwą na śniadanie i dwiema godzinami na obiad.

Nowi koloniści dbali o to, aby Szulc z głodu nie umarł, dbali tak dalece, że Niemiec wypasł się na wędzronkach, schabach i kartoflach. Było z początku trochę kłopotu z dostarczaniem piwa, bez którego Szulc

obejść się nie mógł, ale zaradził na to skutecznie Icek Ufnal, który odrazu, od pierwszego niemal dnia, zadomowił się wśród szlachty i umiał stać się niejako niezbędnym.

Kolonistom od budowania, od robót w polu, trudno się było oderwać, a różne potrzeby domagały się zaspokojenia. Naprzykład taki Wątopek, pracowity, jak mrówka, skąpy nadzwyczajnie, za nic na świecie nietylko dnia, ale godziny nawet nie chciałby zmarnować—a tu mu właśnie tabaki zabrakło.

Icek zaraz na to poradził i jeszcze przed wieczorem tabaki dostarczył. Michał Tebinka palacz był wielki, tytuniu potrzebował; Ignacy Domarad o mało się nie skręcił z powodu braku gontali do pobijania dachu; Andrzej Kołowrót w kłopotcie był, gdyż mu narazie gotówki zabrakło, Walenty Buława żelaza nagwałt potrzebował, a i kobiety również miały swoje troski. Jednej igły zarzuciły się gdzieś, druga nici wyszyła, trzeciej nowiuteńki garnek się stłukł. Icek na to wszystko był doktor. Nie czekał aż kto zażąda, lecz biegał od szalasu do szalasu, dowiadywał się, pytał.

— Sami państwo widzicie—mówił do Wincentego—że ja tu jestem potrzebny.

— Jak dziura w moście—mruknął ponury Wątopek.

— Ale tabaka była—odciął się Icek.

— No, raz...

— Ona jeszcze nieraz się przyda. Jegości nos musi mieć swoją wygodę.

— Do mego nosa ci nic.

— Panie Wincenty—rzekł Icek — ja chcę powiedzieć jedno słowo.

— No...

— Pozwólcie mi tu postawić budę, małą budę, ja jestem nieduży człowiek, moja familia też nie wielka.

— Pewnie gromada dzieci.

— Ile Pan Bóg dał.

— Pięcioro, sześcioro?

— Niech jegomość żartuje zdrów. Jest kilka.

— I na cóż ci buda?

— Będę tu siedział, będę' panom służył, co potrzeba, załatwię, przywiozę.

— Ha, możeby...

— Nawet bez urazy pana Wincentego i

wszystkich godnych dziedziców — ja jestem pokrzywdzony.

— W czym?

— Mnie się należy buda.

— A za co?

— Jakto za co? Czy Szulc nie ma budy?

— Bo on robi, on jest cieśla.

— Czy stolarze nie mają budy? Mularz, zdun, gonciarze... Wszyscy gonciarze mają, tylko ja nie.

— A cóżeś ty za majster?

— Aj, już pan Wincenty zapomniał? Przecież ja szklarz!

— Jeszcze na twoją robotę nie czas.

— Dlaczego nie ma być czas? Stolarze kończą ramy. Pan Szulc mówił, żebym przywiózł szkło. Ja już zakupiłem kilka skrzynek, zamówiłem dwóch czeladników, jak staniemy do roboty, to w parę dni we wszystkich oknach będą śliczne szybki.

— To jeszcze nie wiadomo, nie godziliśmy się, może będziesz żądał zadrogo, a my pieniądze na wyrzucenie nie mamy.

— Co jegomość powiada? Ja wezmę zadrogo? Ja żądam wielkiego zysku? Na moje sumienie — nie! Tylko, aby nie dołożyć,

aby handel szedł. No, jakże będzie z tą budą?

— Cóż ty się mnie o to pytasz. Ja tu nie wójt, ani nie rządca.

— Pan Wincenty był przecie główny majster od kupna gruntu, pan Wincenty jest najstarszy, pana Wincentego wszyscy słuchają.

— Może, ale w tym interesie co innego. Chcesz stawiać sobie budę, to stawiaj, jeżeli ci kto na swoim gruncie pozwoli.

— Dlaczego nie ma pozwolić? Przecie ja nie żądam pozwolenia darmo.

Skąpy i chciwy na grosz Wątopek zaczął słuchać uważnie, Icek zaś, spostrzegłszy to, mówił dalej:

— Wiadoma rzecz, że grunt musi przynosić dochód. Małe dziecko wie, że kto chce na cudzej ziemi siedzieć, musi opłacać czynsz. Panowie nie dostali ziemi za darmo.

— Kto dziś darmo chce dać?

— Panowie podobno nawet drogo zapłacili?

— Pewnie, że drogo.

— Teraz ziemia kosztuje i ludzie się łakomią i mają rację. To najlepszy interes, pewny, złodziej nie ukradnie.

.Buda na karcz.

— A jak przyjdzie nieurodzaj?

— Nie co rok przychodzi. Ja za plac pod moją budę zapłacę i płacić będę, czy urodzaj, czy nieurodzaj. Kto z panów weźmie mnie na swój grunt? W dwóch słowach może zgoda być. Dam pieniądze z góry za cały kwartał, za pół roku...

— A za rok dasz?—zapytał Wątopek.

— Trochę ciężko, ale jeżeli koniecznie tak ma być, to niech ja stracę — dam. Ile pan Franciszek żąda?

— O! zaraz, ile żądam! Cóż to bułka za grosz? Taka rzecz namysłu potrzebuje, czasu...

— Owszem, ja dam i czasu. Ile jegomość żąda, godzinę? może dwie godziny?

— Przyjdź-no dziś wieczór, po zachodzie słońca, to może się namyśle, a jeżeli nie zdąży; to pojutrze, albo może odłożmy do niedzieli.

— Proszę jegomości, ja zgodny człowiek, ze mną można i tak i tak... Ale jeżeli jegomość będzie mnie trzymał z namysleniem do nowego roku, to ja spróbuję pogadać z innymi panami. Oni też mają grunt, a

mnie wszystko jedno, czy temu płacić, czy tamtemu.

— No, no, przyjdź wieczór, jako się rzekło, po zachodzie słońca.

Icek stawił się punktualnie i przesiedział u szlachcica blisko do północy.

Był to jeden z najcięższych interesów, jakie Icek w życiu swem dokonał, gdyż szlachcic chciwy był i twardy, ale jakoś doszło do porozumienia.

Ponieważ umowa była zawarta na lat sześć, a czynsz za cały rok z góry zapłacony, przeto Icek zrobił słuszną uwagę, że buda musi być tak solidna, żeby przynajmniej przez sześć lat mogła istnieć; dalej, ponieważ w przeciągu sześciu lat dzierżawy będzie bezwątpienia sześć zim, i to prawdopodobnie ciężkich, przeto buda musi być zaopatrzona w piec i komin; dalej, ponieważ ze względu na bezpieczeństwo od ognia nie można w bliskości pieca i komina trzymać drzewa opałowego, a ze względu higieny i wygody nie wypada mieszkać pod jednym dachem z końmi, krową i dwiema kozami— przeto, obok głównej budy, musi być jedna lub dwie małe budki na pomieszczenie drze-

wa i zwierząt domowych. Dodał też Icek, że przy najnędniejszej budzie musi być kawalek ziemi, któryby w części służył za podwórko, w części zaś mógł być użyty na ogród pod kartofle.

— Ehe! — zawołał Wątopek — przepraszam!...

— Nic nie szkodzi, ja się nie gniewam. Na taką osobę gniewać się?...

— Ale ty, kochanku, cyganisz?

— Fe! co też jegomość gada?

— Była mowa o budzie, a ty chcesz stawiać dom.

— Jaki dom? gdzie dom? Czy ja wyglądam na człowieka, który może mieć dom?

— Przecież z piecem.

— Jaki jegomość dziwny! Bez pieca mógłbym zmarznąć i nie zapłacić czynszu. Niech jegomość wierzy, że to nie będzie dom, tylko zwyczajna buda z kominem.

— Ale i obory ci się zachciewa i podwórka i ogrodu.

— To dla jegomości jeszcze lepiej.

— W czym?

— Mnie nie będzie trzeba siana dla konia i dla krowy, pastwiska latem, ja będę po-

trzebował owsa, sieczki, plew; do kogo ja po to wszystko pójdę? Do jegomości. Zapłacę za każdą rzecz pieniędzmi, towarem, trunkiem, czem jegomość zażąda. Będzie w moim budynku nawóz, na czyje pole? Na jegomości pole. Zabraknie jegomości pieniędzy, kto da? Icek da. Jeszcze źle? Mnie się zdaje, że bardzo dobrze, że jegomość powinien się cieszyć, skakać z radości, że się taki interes trafia.

Szlachcic tarł czoło, myślał, patrzył pożądliwie na rozłożone na stole banknoty, nareszcie zgarnął je i rzekł:

— No, niech cię! Buduj sobie, co chcesz.

Jeszcze porozumiano się co do niektórych szczegółów i umowa stanęła. Icek miał przy sobie papier, a że szlachcic był piśmienny, więc wystawił odpowiedni dowód i pokwitowanie.

— Widzi jegomość — mówił Icek — pismo nie koniecznie jest potrzebne. Od takiej osoby, jak pan Franciszek, wystarczy godne słowo, ale na wszelki wypadek...

— Pewnie — odrzekł Wątopek — gdybyś chciał cyganić, nie płacić tyle, co zgodzone, to musiałbym cię, kochanie, zapożywać,

a wiadoma rzecz, że do sądu zawsze lepiej iść z pismem, aniżeli z gębą.

— Lepiej nie wspominać o sądzie.

— Lepiej wspominać. Bez sądu żyć nie można; każdemu trafi się taka przygoda, że musi drugiego pozywać. My tu wszyscy w tem wypraktykowani, adwokatów nam nie trzeba, bo znamy kodeksy i prawo, jak swoje własne kieszenie.

— A gdzie się panowie tego uczyli?

— Alboż to się tego trzeba uczyć. Małoż to się każdy, dzieciakiem jeszcze będąc, nasłuchał, jak się nasi dziadowie, nasi ojcowie prawowali jedni z drugimi, wieś ze wsią, a i własna praktyka też coś znaczy.

— Jegomość dużo procesów miał?

— Niewiele, na starych śmieciach kilkanaście, te już wszystkie pokończone, a tu...

— Chyba jeszcze nie było przyczyny?

— Przyczyn było i dużo; nie ma dnia, żeby okazyi nie dał, ale teraz każdy cicho siedzi. Budowanie, zbiory, gospodarstwo przeszkadza, ale niechno domy już staną, stodoły się zapełnią, niech się kartofle wykopią, orka skończy — to wtenczas zacnie się taniec. Każdy zechce ulżyć sercu i co

ma do sąsiada to wywlecze, bo nikt nie chce swego darować i czy to szkody, czy obrazy, czy krzywdy będzie dochodził, precz, aż do ostatniej instancyi. I ty sobie, Icku, pamiętaj i zapisz, że my tacy ludzie, co swego nigdy nie darują. Z nami mores trzeba znać, uczciwe słowo dać, poszanowanie mieć, szkody nie robić, a w drogę nie wlażyć... bo...

— Bo co?

— Bo jak świadkowie są, to się pozywa do sądu, a jak nie ma świadków, to się pierze na kwaśne jabłko — i szukaj wiatru w polu! Mówię ci to przez życzliwość, żebyś czasem czego nie oberwał.

Icek, wysłuchawszy tej perory, pożegnał swego gospodarza i z energią wielką zabrał się do stawiania budy, a właściwie małego domu.

Materyał znalazł na miejscu, w resztkach, jakie pozostały kolonistom od budowy własnych domów, robotników zjednał sobie poczęstunkiem, przysługą i potrafił ich przekonać, że robota, jakiej od nich potrzebuje, nie jest właściwie robotą, lecz przysługą, którą się wyświadcza z grzeczności.

Icek przez życzliwość dostarcza robotnikom tytuń i trunki, dlaczegóżby oni, również przez grzeczność, nie mieli założyć podwalin, postawić ścian, zaciągnąć krokwi. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera, a wzajemna wymiana przyjacielskich usług jest, można powiedzieć, podwaliną świata.

Dom Icka stanął w bardzo krótkim czasie, pośpiesznie, albowiem budową jego kierował doskonały architekt w osobie... samego Icka.

Znal on gruntownie dwa rodzaje budownictwa, dwa style: kuczkowy i barakowy. W pierwszym wprawiał się corocznie na jesieni, gdy zbliżał się czas obchodzenia świąt szalasów; drugi styduował co pięć, sześć lat, gdy rodzinne jego miasteczko było nawiedzane przez pożar.

Takie fatum zawisło nad tym grodem, takie założenie, i to oddawna. Cztery, pięć lat upływało spokojnie, cicho, na piąty lub na szósty rok, wybuchał pożar i obracał w perzynę śliczne domki o niebieskich okienicach, sklepy z kosztownym towarem.

Takie katastrofy wydarzyły się zawsze w lecie, tak, że nieszczęśliwi pogorzelnicy, bez

narażenia zdrowia, mogli chwilowo obozować na świeżem powietrzu, dopóki nie otrzymali pieniędzy z fajerkasy i nie wyprosili u sąsiednich właścicieli lasów, za darmo lub po cenie niższej drzewa, na budowanie.

Wówczas przystępowali energicznie do stawiania nowych siedzib, w stylu barakowym, noszącym na sobie wszelkie cechy charakteru tymczasowości. Bo i rzeczywiście, jaki cel może mieć trwały, kapitalny budynek w mieście, nad którym wisi fatum?...

Icek niejednokrotnie już miał sposobność poznać wszelkie tajemnice tej architektury, o liniach krzywych, kątach nieprostych, drwiącej z pionu i wszelkiej symetrii. Wiadomości, poczerpnięte z praktyki, zastosował przy budowie własnej siedziby i miał przez to pośpiech, elegancję i taniość.

Zadebiutował też szczęśliwie jako majster szklarski. Szwagier jego, prawdziwy szklarz, wprawiał szyby, Icek zaś, w charakterze przyncypała, dysponował, podawał kit, zbierał kawałki szkła, a wieczorem po skończonej robocie, uskarżał się na wielkie zmęczenie.

Kiedy wśród kolonistów chwalono Szulca

i podziwiano pośpiech roboty, Icek wzruszał tylko ramionami.

— Moi panowie — mówił — ja się dziwię. Cóż Szulc? Zwyczajny cieśla, Niemiec, w czym jego zasługa? Mówicie, że przez niego macie skończone domy. Ta robota byłaby może dopiero w połowie, gdyby nie ja. Zabrakło gwoździ—kto przywiózł gwoździ? Zabrakło zawias, kto dostarczył zawiasy? Nie było szybrów, ani drzwiczek do pieców, kto przywiózł drzwiczki? Nie było szyb, kto wprawił szyby? Icek Ufnal. Na świecie nie ma sprawiedliwości, nie ma wcale. Icek za robił na pochwałę—chwałą Szulca. Icek zbudował wieś, chwałą cieślę, który tyle ma tylko rozumu, że potrafi belki wiązać i siekierą machać.

Icek sprowadził swoją rodzinę, przyjął kilku cichych współników, którzy bezpośrednio niby nie przyjmowali udziału w interesach—i rozpoczął życie bardzo ruchliwe i czynne.

Poznał wszystkich mieszkańców, ich potrzeby, słabostki i stan majątkowy, wiedział nietylko o tem, co kto potrzebuje, ale i co w przyszłości potrzebować może.

Zaciekawiał go bardzo ów najbogatszy szlachcic, który posiadał folwark za lasem. Mówiono, że ma dużo pieniędzy, że jest skąpy, że rzadko kiedy bywa w domu i że ma młodego syna, lubiącego się bawić.

Oddawna znana to rzecz, że synowie skąpych i bogatych ojców bywają częstokroć materiałem na bardzo eleganckich, wesołych i przyjemnych paniczów. Znać się z takim młodzieńcem jest dobra rzecz, wejść w bliskie z nim stosunki, jeszcze lepsza. Dlaczego? Okazywa trafić się może, a któż nie korzysta z okazji, jeżeli się mu nastręcza?

Okoliczności tak się złożyły, że Icek zabrał znajomość z młodym Talarowskim prędzej, niż przypuszczał.

Stało się to przypadkiem.

Icek powracał pieszo z miasteczka do domu; było to wieczorem, po zachodzie słońca, zmrok zapadał. Icek przyspieszał kroku, pilno mu było do domu, bo chciał wypocząć po trudach dnia.

Na drodze spotkał człowieka, który prowadził za cugle konia i pochyliwszy głowę,

pilnie patrzył na ziemię, jak gdyby szukając czegoś.

Icek poznał młodego kawalera z folwarku; skłonił mu się grzecznie i chciał go minąć, lecz ten zatrzymał go słowami:

— Mój żydku, nie znalazłeś ty czego na drodze?

— Czy pan co zgubił?

— Ja się pytam, czyś nie znalazł?

— Co ja mogłem znaleźć? Choćby co leżało, nie zobaczyłbym, teraz wieczór, a moje oczy nie są bardzo doskonałe.

— A mnie się zdaje, że to akurat w tem miejscu...

— Co pan zgubił? Niech pan powie, jak ta rzecz wyglądała; ja pomogę szukać, pomogę bez żadnej pretensyi, bo dlaczego nie poratować kogo w potrzebie i zmartwieniu. Co to było?

— A no, widzisz tak: jechałem tędy przed dwiewa godzinami, na koniu, na tym samym, którego prowadzę. Jechałem bardzo prędko i z kieszeni wypadł mi woreczek z pieniędzmi.

— Woreczek?

— Skórzany, dość duży, czarny, z pod-

wójnem zamknięciem. Za koloniami dopiero spostrzegłem, że go nie mam.

— Dużo w nim było?

— Nie wiele ale zawsze szkoda. Pięćdziesiąt kilka rubli.

— Pan powiada, że to nie wiele? Niejeden w całym swoim majątku nie ma tyle. To ładny grosz!

— Jak dla kogo.

— No, no, ja miarkuję. Dla pana to może znaczyć tyle, co mucha...

— Nie tak szkoda, jak niewygoda. Pomóż szukać—znależne dobre dam.

— A może on gdzieindziej wypadł?

— Jestem prawie pewny, że tu.

Icek pochylił się i pilnie patrzył na drogę, rozgrzebywał piasek kijem i mówił:

— Ja wiem, jaka to przykrość; sam miałem raz nieszczęście, zgubiłem kilkanaście groszy... Kto znalazł, niech je wychoruje! Kilkanaście groszy, nie majątek, ale w tamtej chwili były mi one bardzo potrzebne. Przyszedłem do domu z pustymi rękami, nie miałem co dać żonie na obiad. Może pan miarkować jakie ładne przemówienie usłyszałem. Dobrze, że nie stracił oka! Je-

den znajomy krawiec poratował mnie w tem zdarzeniu... Pan, taki bogaty kawaler, zapewne nie rozumie tej przykrości...

— Właśnie, jak w tym wypadku — rozumiem. Te pieniądze są mi bardzo potrzebne, a innych narazie nie mam.

— Nie może być?

— Mówię ci.

— Panicz bogaty...

— Zkąd można to wiedzieć?

— Wiem. Alboż cała okolica panicza nie zna?

— A swoją drogą przez ten wypadek znajduję się w niemałym kłopotcie i zrobisz mi wielką grzeczność, jeżeli pomożesz szukać.

— Ja szukam, ja z całej siły szukam, ale jakoś nie widzę, żeby co leżało.

Szli ciągle, Adam po jednej, Icek po drugiej stronie drogi, schodzili się na środku, rozchodzili ku rowom. Noc tymczasem zapadała szybko, robiło się szaro, coraz szarzej, wreszcie ogarnęła ziemię ciemność. Można jeszcze widzieć kształty człowieka lub konia, ale mały przedmiot, leżący na ziemi, stanowczo już był przed wzrokiem ludzkim ukryty.

Icek nie dawał za wygraną, szukał jeszcze za pomocą laski, potem nagle zatrzymał się i rzekł:

— Mnie się zdaje, że próżny nasz zachód. Ludzie przejeżdżają tędy, może kto za dnia zobaczył i znalazł, a może kołem od wozu wgniótł w piasek! Teraz ciemno, niech panicz jedzie do domu... albo niech panicz tu zaczeka, a ja skoczę do domu, przyniosę kawalek latarni...

— Et, na co się to zda!

— To może jutro raniutko, jak tylko dzień się zacznie.

— Przepadło... Co ja teraz zrobię?

— Z czem?

— Mówiłem, że pieniądze są mi bardzo potrzebne, a innych narazie nie mam.

— Oj, żeby pan nigdy nie znalazł większego kłopotu!

— Tak ci się zdaje, któż mi poradzi?

— W tem nieszczęściu panicz miał też i szczęście, w złem zdarzeniu dobre zdarzenie.

— Co ty pleciesz?

— Na moje sumienie! Panicz zgubił woreczek, to prawda; ale panicz znalazł zaraz

Icka, który, więcej wart, aniżeli kilka takich woreczków, Ja pana poratuję i poradzę. Ile paniczowi potrzeba? Tyle, ile pan zgubił, czy może trochę więcej?

Adaś miał zaproszenie na dzień jutrzejszy, oczekiwał go preferans w miasteczku, kolacya, a potem dyabełek. Ojca w domu nie było, matka dała kilkadziesiąt rubli i trzeba takiego zdarzenia, żeby zgubić. Nie spodziewana propozycya Icka nie mogła przyjść bardziej w porę.

— Słuchaj-no—rzekł—czy naprawdę mówisz, czy bałamucisz?

— Miałbym żartować.

— To dawaj.

— Tu, na drodze, po nocy? Ja nie mam przy sobie pieniędzy.

— Więc jakże?

— Jutro rano, choćby najraniej, ja mogę być u pana na folwarku.

— Nie, nie chcę tak, trzeba gdzieindziej.

— Owszem, dlaczego nie? Może panicz przyjedzie do mnie na kolonie? Mam bardzo porządną stancyę.

— Także nijako. Plotki będą...

— Zkąd mają być plotki? Kto potrzebuje wiedzieć? Panicz może mieć inny interes, paniczowi może papierosów zabraknąć. Przecie wszyscy przychodzą do Icka... Ja będę czekał jutro cały dzień.

— No, dobrze, pamiętaj tylko, żebyś dotrzymał słowa i nie zdradził. To jest taka rzecz, o której nie potrzeba nikomu opowiadać.

Umówili się w kilku słowach, Adamek nie targował się o wynagrodzenie, umiał ocenić wartość przysługi, a Icek przyszedł do przekonania, że ma do czynienia z prawdziwym paniczem, nie dbającym o drobne groszowe rachunki.

Nazajutrz o szarym świcie, kiedy zaledwie wierzchołki drzew wynurzały się z ciemności, Icek już wstał; włożył na siebie grubą kapotę, ścisnął biodra pasem wełnianym i tak, zabezpieczony od porannego chłodu, wyszedł z domu i przez ścieżkę wydeptaną na nowinie, pomiędzy sterczącymi pniami, udał się ku drodze, na której wczoraj miał tak miłe spotkanie.

Wrony, kracząc, zrywały się z drzew,
Buda na karcz.

śmiecuchy na drodze czubiły się o znalezione ziarnko, powoli zaczynał się dzień, a z nim życie i walka.

Gdy nad kominami nowych domostw zaczęły się unosić pasma białawego dymu, gdy żórawie studienne zaskrzypiały, Icek był już na drodze i pilnie, bacznie, całą siłą wzroku wpatrywał się w jej szarą powierzchnię. Szedł pochylony, jak żniwiarz nad zagonem, szukał, posuwając się naprzód krok za krokiem.

Czy znalazł? Nie chwalił się z tem, bo był to człowiek, który w pewnych wypadkach, za czczą chlubą i za rozgłosem nie gonił, owszem, z wzorową skromnością ich unikał, ale w parę godzin po wyjściu powrócił do domu wesoły, uśmiechnięty, najmłodszą córeczkę pogłaskał pod brodę, a najstarszemu synkowi dał dwa grosze.

Potem zajrzał do szafy, sprawdził, czy jest w niej papier i pióro, wziął kałamarz, podniósł go do góry, spojrział pod światło, a zobaczywszy, że atrament zagęsty, dolał do niego trochę piwa.

Uczyniwszy te przygotowania, usiadł przy

stole, zjadł skromne śniadanie i półgłosem nucić zaczął smutną i pełną melancholii piosenkę.

Człowiek muzyczny bywa niekiedy w takim usposobieniu, że przed odegraniem pięknej kompozycji lubi nucić rozmaite preludya.





V.

Józefowa usiadła przed swoim szalaszem, który w przewidywaniu chłodów jesiennych, zabezpieczyła, jak mogła, gałęzmi sośniny, zaopatrzyła w drzwi, zamykające wejście jako tako.

Tymczasem to wszystko. Syn przyjedzie, gospodarstwo obejmie, siedzibę lepszą obmyśli.

Na szczęście, jesień jest piękna, jak rzadko, słońce uśmiecha się pogodnie, liście, na opadnięciu już prawie, mieniają się różnymi barwami; są pomarańczowe, złociste, żółte, niektóre prawie czerwone; w powietrzu snuje się delikatna przędza, biała, jedwabista, o srebrnym połysku, czepia się krzaków,

drzew, ciągnie po polach, zawadza o rżysko, o trawy, rozrzuca się na nich i rozkłada. Jest jeszcze ciepło, ludzie chodzą do lasu zbierać rydze, w wielkiej obfitości rosnące, bydło znajduje jeszcze pożywienie na pastwiskach, orać można, doprawiać ziemię, jak kto chce, mróz nie przeszkadza.

Józefowa siedzi przed szaląsem; chciałaby pójść, rydzów trochę nazbierać, ale nie może, ciężko jej wstać, na nogi niemoc jakaś przyszła, krzyż boli.

Usiadła na pniu i myśli, czy też jeszcze syna swego zobaczy, czy doczeka jego przybycia? Smutne dumania ją opanowały. Przebiega pamięcią dzieje swego życia, wspomina młodość, męża, syna, zatrzymuje się dłużej nad niektórymi momentami i czasem się uśmiechnie, czasem znów mimowoli łza napłynie do oczów.

W młodości wczesnej utraciwszy rodziców, poszła do służby. Znalazła miejsce w domu zamożnym i u bardzo zacnych ludzi; dbano o nią, pozwolono się uczyć razem z panienkami.

Przez kilka lat to trwało, dziewczyna nauczyła się biegle czytać, pisać i rachować,

dowiedziała się trochę o świecie, o historii. Więcej za wychowanicę, za towarzyszkę córek swoich pracodawców, aniżeli za służącą uważana, przeżyła kilkanaście lat w ich domu.

Gdy panny powychodziły za mąż, pani zatrzymała ją nadal przy sobie, gdyż nie mogła się bez swojej Elżbietki obejść, a jako osoba chora i wiekowa, potrzebowała ciągłego dozoru i opieki, a nikt tak jej nie dogodził, jak panna Elżbieta.

O przyszłości, o wyjściu za mąż, dziewczyna nie myślała nigdy; nie przychodziło jej też do głowy, aby miejsce pobytu zmienić i o inne się starać. Pewna była, że w tym domu, w którym upływały najpiękniejsze lata jej młodości, przy swojej dobrej pani do końca życia przebędzie — ale stało się inaczej.

Poznał ją oficjalista z tegoż samego majątku, niedawno na służbę przyjęty, poznał i oświadczył się o jej rękę. Miała już wówczas panna Elżbieta około trzydziestu lat życia, ale była jeszcze bardzo przystojna, prawie ładna.

Gdy jej ów konkurent zamiary i uczucia swe wyznał, słuchać nie chciała, ale sama pani zaczęła ją namawiać.

— Gdzie się podziejesz po mojej śmierci— mówiła — w służbę pójdiesz, Bóg wie, na jakich ludzi trafisz, jak ci będzie, a zresztą, czyż masz do końca życia w obowiązku, u starych ludzi pozostawać, czy będziesz w stanie pracować ciągle, co zrobisz na wypadek choroby lub niedoleżnej starości? Lepiej za mąż idź, kiedy się uczciwy człowiek trafia, będziesz przynajmniej u siebie, będziesz miała przyjaciela i opiekuna, który o wszystkich twoich potrzebach pomyśli. Nie wahaj się, idź za moją radą. Dla mnie byłoby lepiej mieć cię przy sobie, ale kiedy możesz lepszy los znaleźć, ja go ci zawiązywać nie chcę, błogosławieństwo na nową drogę życia ci daję, no, i o wyprawę się nie kłopotcz. To już moja rzecz.

Pod wpływem perswazyi dobrej pani, Elżbietka zdecydowała się nareszcie i za mąż wyszła.

Józef pochodził z ubogiej szlachty zagonowej, przez kilka lat po ożenieniu się pozostawał jeszcze w obowiązku, ale gdy oj-

ciec jego umarł i gospodarstwo zostawił, młodzi małżonkowie osiedli na swoim.

Była to mała częśćka szlachecka, domek, zabudowania, trochę gruntu, kilkanaście sztuk inwentarza; nie majątek, tyle jednak, że można było wyżyć przy pracy.

Elżbietka przywiązała się do męża, który był dla niej dobry i łagodny. Dzieci przez długi czas nie mieli i dopiero po dziesięciu latach pożycia urodził im się syn, Jaś, ku wielkiej pociesze i radości.

Radość krótko trwała, w półtora roku po przybyciu na świat syna, Józef umarł.

Wdowa została z małym dzieckiem, gospodarstwem, kłopotami i nadwątlonem zdrowiem.

Nie opuściła jednak rąk, syn stał się dla niej jedynym celem jej życia. Pracowała, jak mrówka, a gdy chłopiec podrośł, zaczęła go uczyć wieczorami i szczupły zapas swoich wiadomości najsumienniej włożyła mu w głowę.

Pragnęła większej dla niego nauki, gdyż chłopiec był zdolny i pojętny, pragnęła do szkół publicznych go oddać, lecz małe go-

spodarstwo nie starczyło na koszta i trzeba było myśli tej się wyrzec.

Swoją drogą chłopiec, ciekawy z natury, lubił czytać, starał się o książki, a gdy mu się udało dostać jaką, to już treści jej nie zapomniał. Było to dorywcze, bezładne, przypadkowe kształcenie się—ale było i Jaś wśród rówieśników swoich wybitnie się i czystością mowy i inteligencją wyróżniał.

Wnuczka Wincentego Wąsala bardzo często zaglądała do domku Józefowej, a widząc, że się Jaś uczy, zapragnęła również zapoznać się z książką. Wdowa przystała na to z wielką chęcią, a Wincentemu myśl, że jego wnuczka potrafi kiedyś czytać na książce, list napisać, rachunek zrobić, tak pochlebiała, że ofiarował Józefowej jałówkę dla okazania swej wdzięczności, oraz zapowiedział, żeby w każdym kłopotcie, w każdym interesie do niego się udawać, jak do rodzzonego ojca.

Czas uchodził. Hanusia wyrosła na śliczną dziewczeczkę, Jaś na dorodnego chłopaka, Wdowa cieszyła się nadzieją, że syn gospodarstwo obejmie i samodzielnie pracować zacznie. Będą razem, a później on się ożeni

pomyślnie, weźmie jaką dobrą dziewczynę, dom rozweseli się, powiększy i będzie dobrze, będzie starość cicha, pełna pociechy. Aliści syn co innego miał w głowie.

— Co ja tu, mamó, będę robił—rzekł do niej—i czego się dorobię na tych zagonach? Pozwólcie mi odejść w świat, między ludzi, niech ja co zobaczę, niech się czego pożytecznego nauczę, a gdy powrócę, otoczę was, matko, wszelką opieką, najtroskliwszem staraniem i nie rozstaniemy się nigdy.

Przykro było matce to słyszeć, ciężko na myśl długiej rozłąki, ale syn tak wymownie tłómaczył, że to rzecz konieczna, a tylko chwilowa, że w przyszłości opłaci się, że matka, przekonana, ustąpiła.

Józefowa przypomina sobie ostatni wieczór przed odejściem Jasia.

Tak samo była jesień pogodna, liście z drzewa opadały, biała przędza ciągnęła się po rżyskach... Przyszła wtenczas i Hanusia, smutna była, miała oczy zaczerwienione, jak od płaczu, nie śmiała się jak zwykle.

Siedzieli we troje i rozmawiali długo, do samej nocy; potem Hanusia odeszła do domu, a na drugi dzień raniutko, ledwie że

się niebo zarumieniło na wschodzie, matka odprowadziła syna na wieś, do figury, tam ucałowała go i pobłogosławiła na drogę.

Chłopak poszedł wprost przed siebie, poszedł śmiałym, równym krokiem, a matka uknęła u stóp krzyża i długo, serdecznie modliła się na intencję, aby Bóg jedynaka jej strzegł i od wszelkich złych przygód ratował.

Trzy lata od tego czasu minęło, samej jednej kobiecie smutno było, ale pocieszała ją Hania.

Ona umiała tak mile przemówić, rozweselić, zabawić, że na bladych ustach staruszki nieraz pokazywał się uśmiech, że zapomniała na chwilę o swem osamotnieniu sierocem.

Widząc Hanię obok siebie, Józefowa miała zwykle złudzenie, że i jej Jaś niedaleko się znajduje; że tylko patrzeć, kiedy wejdzie uśmiechnięty, wesóły, i uboga stacyjka napelni się zaraz gwarem wesołości młodzieńczej. Oczywiście złudzenie szybko mijało.

Bardziej realną, rzeczywistą pociechę stanowiły listy od syna.

Przychodziły one niezbyt często, co dwa miesiące, czasem co trzy, a odczytywanie ich było dla stęsknionej matki uroczystością niemal.

Naprzód sama przebiegała treść pisma przez okulary, potem prosiła Hanusię o przeczytanie na głos, raz i jeszcze raz i znowuż sama wkładała okulary, aby się literom przypatrzeć, sprawdzić, czy nie ma jakiego dopisku, czy nie opuszczono czego w czytaniu.

List był przedmiotem długiej a najmilszej dla staruszki rozmowy, tłómaczono, komentowano wszelkie szczegóły w nim zawarte, poczem staruszka wkładała napowrót papier do koperty i chowała do skrzynki.

Częstokroć w święto, po południu, mając czas wolny, wydobywała paczkę z ukrycia i czytała list za listem, po kolei, odtwarzając sobie tym sposobem tak dobrze jej znane, a jednak tak zawsze dla niej ciekawe, dzieje pozadomowe swego jedynaka.

Z początku uczył się stolarstwa w Warszawie, później jeden pan namówił go do młyna. To zatrudnienie Janek upodobał sobie i pracował chętnie, majster go polubił,

nauczył wszystkiego, co tylko sam umiał i teraz Jaś, ten niegdyś mały Jaś, młynarzem jest, fach swój zna dobrze, we wszystkim rady sobie dawać może, z nowości potrafi młyn urządzić.

Byłby już powrócił do domu, gdyby nie wypadek i konieczne leżenie w szpitalu. Tę wiadomość matka gorzkiemi łzami oplakała, ale przecież ją Pan Bóg pocieszył; po smutnym liście nadszedł drugi, weselszy, donoszący, że kość się zrosła, kuracya jest na ukończeniu i że niedługo, niedługo...

Ach! żeby ta chwila prędzej nadeszła! Kilka razy dziennie wychodzi staruszka przed szalas i patrzy, czy jedynaka nie widać. Nieraz jej się zdaje, że już idzie, ale gdzie tam! — to nie on, kto inny, sąsiad lub robotnik wracający z pola.

Właśnie i teraz spoglądała; od kolonii biegnie ktoś szybko, to Hanusia.

— Nie ma go jeszcze Haniu!—woła matka zdaleka.

— Niech się pani nie martwi, przybędzie. Skoro napisał, że go niedługo obaczymy, to słowa dotrzyma. Alboż to jemu nie pilno do matki i do nowego gospodarstwa?

— Aj, to gospodarstwo nowe, to mój kłopot największy.

— Dla czego?

— Boję się... Może mu się nie spodoba, może zgani, powie, że zadrogo kupione, że dawne zatanie sprzedane. Czy ja wiem?

— E! proszę pani, toć tamto sprzedawał, a nowe kupował mój dziadzio, a on przecie znawca i człowiek uczciwy, nie dałby pani oszukać.

— Że uczciwy to uczciwy, a zaopiekował się mną, jak sierotą, niech mu Bóg wynagrodzi! Jabym sama rady nie dała, ja się na takich rzeczach nie znam, wszystko Wincenty robił za mnie, a jak byliśmy u rejen-ta, to mi palcem na papierze pokazał miejsce i rzekł: «Tu pani Józefowa podpisze i tu pani podpisze.» Podpisałam bez namysłu, bo wiem, że taki człowiek, jak twój dziadek, zdradą nie idzie.

— Więc czego pani się boi?

— Może się Jasiowi miejsce nie podoba, możeby insze wolał.

— Toć pisał, że wzgórze mu potrzebne, to je ma. Będzie kontent, niech się pani nie frasuje, aby tylko przyszedł już raz...

— Przyjdzie dziś lub najdalej jutro.

— Był list? — zapytała z żywością dziewczyna.

— Nie, ale takie mam przeczucie; śniło mi się... Wczoraj upiekłam chleba u Franciszkowej w nowym piecu, przysposobiłam, co mogłam, aby chłopak w swoim domu głodu nie cierpiał, niech wie, że ma za gospodynię rodzoną matkę. A cóż u was, moja Hanusiu, wczoraj nie byłaś.

— Nie mogłam.

— Wiem, wiem. Choć mało gdzie wychodzę i prawie ciągle tu siedzę, jak grzyb pod drzewem, ale czasem kto zajrzy i co powie. Podobno teraz częstych gości niewacie?

— A uczeplił się jeden i jeździ—odrzekła Hanka niechętnie.

— Któż to? Aha! czekaj, może ten na siwym koniu. Widziałam zdaleka, jak przez pola pędził, ale nie mogłam poznać kto?

— Adamek, Talarowskiego syn.

— Panicz, bogaty panicz; folwark teraz mają, a myślę, że i prócz folwarku w pieńdźdach fortuna jest. Starego Talara na tyśiące rachują.

— A niech go tam! Co mi do jego fortuny?

— Mówisz, że kilka razy już był?

— Trzy. Zawsze się o coś zamówi, dziadkowi pochlebia, chwali, że dom piękny, że porządek...

— Nie bez kozery to jest... Zapewne wpadłaś mu w oko.

— Jeszcze czego!

— Dawno go już nie widziałam, ale słyszę, że ładny, edukowany, do szkół go podobno posyłali.

— Dla mnie on ani ładny, ani miły; patrzeć na niego nie mogę. A jeszcze zaczepia, w oczy zagłada i plecie niewiadomo co? Wczoraj za rękę mnie chciał wiaść. Odepchnęłam go tak, aż się zatoczył i powiedziałam, że skoro jest dziedzicem na całym folwarku, to niech do dworów jeździ, a nam, prostym szlachciankom, niech da pokój.

Staruszka westchnęła.

— Moje dziecko—rzekła po chwili—jeżeli on co zamyśla...

— Ja nie chcę, żeby zamyślał, ja go nie chcę znać!

— Dziadek za nim będzie, babka także, bogactwo przeważy.

— Jakto przeważy?

— Przynaglać cię będą...

— Alboż to można do przysięgi przynaglić, albo można sprzedać człowieka, jak gęś na targu? Co mi po jego bogactwach! Z ła-ski dziadka i babki mam co jeść i w czym chodzić, a jeżeliby mi tego zabrakło, to ro-boty się nie zlekne, służbę znajdę gdziekol-wiek...

— Jednak, moje dziecko, przeciwko woli starszych trudno iść.

— Trudniej przeciw własnej woli i upo-dobaniu. Ja się nie poddam. Jeżeli przyna-glać będą, to dziadkowi i babce do nóg upadnę, może się zmiłują, a jeżeli nie, to... Ale co o tem mówić, on pewnie żenić się ze mną nie myśli.

— To pocóżby jeździł tak często?

— Nie wiem, ale gdyby żenienie się miał w głowie, to chybaby ojca swego i matkę uprosił, żeby do dziadka przyjechali. Cho-ciaż oni bogaci, ale dziadek od nich nie gor-szy. Z jednej wioski pochodzą i znają się od czasu, kiedy jeszcze bogactw, ani folwar-ku Talarowski nie miał, ale on teraz bardzo z góry patrzy i nie wiem, czyby mnie za synowę chciał. Na takie zbytki, jakie Ada-

mek wyrabia, mój posag byłby za mały... Ot, lepiej mówmy o czem innem moja droga pani...

— W głowie mi to jednak siedzi...

— Niech go tam! Oto, Bogu dziękować, jesień ładna, czas ciepły, a ja o panią Józefową byłam w strachu, że uziębnie w tym szalacie. Jaś będzie się krzywił, że dom nie postawiony.

— Niech już on sam o tem myśli.

— Milejby mu było zobaczyć matkę w wygodzie, aniżeli tak, jak na popasie. Dziadzio bardzo się dziwi, że pani Józefowa pomocy przyjąć nie chciała.

— Podziękowałam i jeszcze raz podziękuję, sama pójdę do niego, abym tylko trochę więcej siły miała.

— Ale na poświęcenie musi pani do nas przyjść—i z synem.

— Kiedyż to ma być?

— Za tydzień.

— To już Jaś będzie w domu.

— Z pewnością będzie.

— Gospodarze nasi chcą zaczynać z Bogiem, aby na nowem miejscu błogosławieństwo było.

— Bardzo, bardzo dobrze. Inaczej nie godzi się, nie można. Tak dziadkowie i ojcowie robili...

— A wieczorem tego dnia zabawa będzie, osiedliny, jako że cała wieś na nowem miejscu się osiedla.

— A tyś rada...

— Nie zapieram się — rada jestem. Całe lato zeszło, nie wiadomo po jakiemu. Były żniwa bez dorzynków, bez tańca, bo i gdzie? Każdy miał z budowlami zachód, a od łomotania siekier dotychczas jeszcze w głowie huczy. Młodzi się przymawiali, a starsi uradzili, że zabawa po poświęceniu ma być.

— A gdzie znajdziecie takie miejsce obszerne?

— U nas. Stancye duże, jest gdzie się obrócić. Babka nagotuje, napiecze, dziadek kupi półbeczek piwa, a jest też i miód ze starej siedziby.

— Koszt duży będzie.

— Eh, co tam! albo to dziadka nie stać, nie pożałuje. Gospodarze chcieli, żeby każdy się przyłożył do kosztu, ale dziadzio się rozgniewał. O! nasrożył się, aż strach było patrzeć i powiedział: «Kto na mój dom łaskaw,

mego chleba skosztuje, kto zaś chce jeść za pieniądze, niech idzie do żyda.» Jak dzia-
dzio to wyrzekł, już nie było mowy o
składce.

— Znam ja Wincentego dawno, dusza w
nim harda, potrafi się postawić, jak chce, a
nikomu wyprzedzić się nie da. Ciekawa też
jestem, czy Talar będzie?

— Po co?

— On przecież także z naszą kompanią
przyszedł, powinien więc do osiedlin na-
leżeć.

— Gdzieżby znów taki pan miał z nami
się wdawać? Młody wpadłby na tańce, bo
do zabawy wielki ochotnik, ale chyba bę-
dzie się bał.

— A czegożby się miał bać?

— Chłopcy nasi go nie lubią, bo stra-
sznie z góry patrzy i inszej sobie szuka
kompanii. Proszę pani, chciałam ja się o je-
dną rzecz zapytać.

— O co, kochanie?

— Czy jeżeli kto złamie nogę i potem
wyleczy się—może tańczyć?

— Nie wiem, moje dziecko, ale chyba
nie.

— O mój Boże, a z kimże ja będę tańczyła?

— Czekajno, ja sobie coś przypominam... Kiedy to było i gdzie? Aha, już wiem. Byłam jeszcze młodą dziewczyną, w obowiązku u tej dobrej pani, o której opowiadałam ci tyle razy. Były w tym dworze panny na wydaniu, więc też coraz goście, polowania, zabawy. Przyjeżdżał często jeden młody panicz z sąsiedztwa, o pannę Anielę starał się wtenczas i było takie zdarzenie, że spadł z konia i nogę złamał. Stało się to na dziedzińcu, przed pałacem. Ma się rozumieć, zanieśli go do gościnnych pokojów, położyli do łóżka, sprowadzili doktora, felczera; przez kilka tygodni nieborak cierpiał...

— I wyzdrowiał?

— A jakże, z początku chodził o kuli, jak kaleka, potem o kiju, potem o swojej mocy, a później, w jakieś pół roku może, ożenił się z panną Anielą i tańczył na swoim weselu...

— Ach, jak to dobrze!

— Pewnie, że mu źle nie było; miał żonę, jak malowanie, a w posagu dostał dwa

folwarki i pieniędzy nie pamiętam już ile, ale zapewne nie mało, gdyż ci państwo byli bardzo bogaci.

— Jak to się czasem dobrze składa — rzekła w zamyśleniu, jakby sama do siebie Anusia.

Przed wieczorem staruszka zaczęła się bardzo niepokoić, wychodziła przed szalas, znów wracała, brała wielką książkę do nabożeństwa, aby się pomodlić, to zatrudniała ręce jaką robotą, ale nic jej nie szło, każda rzecz wypadła z ręki.

— Już on idzie— mówiła do siebie — nie inaczej to jest; ja czuję, serce mi powiada: Jaś idzie. Trzy lata temu, w Sakowie, odprowadziłam go do figury, tu go znów powitam pod krzyżem. Daleko to i pod górę, ale może się zawlokę... Pan Jezus miłosierny da siłę. Matka Pocieszycielka ulituje się nademną i uprosi... Pójdę, niech się co chce dzieje, pójdę... Hanusi nie ma, to lepiej... Ona-by ze mną poszła, ona dobra, ale ludzie zarazby gadali. Lepiej sama i sprawiedliwiej. Ja matka, on mój, pierwsze powitanie do mnie należy. Jeszcze słońce dość

wysoko, za widoku na górę się wygramolę, pod krzyż. Inną drogą on nie przyjdzie, bo i nie ma innej do naszych kolonij. Od szosy do gościńca, a od gościńca, od góry, do nas. Pójdę, nie mogę tu dosiedzieć, coś mnie woła, coś ciągnie, pójdę!

Otuliła się chustką, wzięła kij dla podpory i poszła.

Po równinie stawiała kroki drobne, lecz spore, u stóp wzgórza stanęła, by wypocząć i tchu złapać.

Słońce było już nisko, prawie nad samym lasem; zachodziło w blaskach, w purpurze i złocie; wiatr od rzeki pociągał, chłodny, a po drodze zdmuchiwał z drzew liście, które drżąc w powietrzu, chwiały, ważyły się i cichym lotem, krzywemi liniami, niby duże motyle na kwiaty, padały na pożółkłą trawę, na szcztokowate rżysko, na świeże podorywki.

Staruszka, szepcząc pacierz, szła powoli pod górę, zatrzymując się coraz, przystając; nareszcie znalazła się na wierzchołku wzgórza, u stóp krzyża.

Był on poczerniały od deszczów, a może

i od westchnień ludzkich; nabożne ręce zawiesiły na nim obrazki, wieńce z czerwonej jarzębiny, na ziemi leżały zeschnięte różniane z bławatków, szczątki bukietów z dzikiej róży i astrów.

Józefowa uklękła i modliła się długo, z westchnieniami, ze łzami.

— Prowadź go Panie Wszechmogący — szeptała — prowadź! i przyprowadź! Niech Twojami drogami idzie, niech nie oddala się od nich, ani dla bogactwa, ani dla uciechy... Prowadź go Pocieszycielko strapionych i Opiekunko nasza, prowadź i przyprowadź do serca matczynego, aby mu był pociechą i radością...

Serdeczna długa modlitwa kochającej matki, rozplywała się w ciszy wieczornej, zmrok obejmował ziemię.

Na gościńcu ukazał się podróżny, z tłumoczkami na plecach, szedł szybkim krokiem, śpieszył się.

Ujrzawszy kobietę, klęczącą pod krzyżem, zatrzymał się przez chwilę i z okrzykiem: Matko! — zaczął całować jej pomarszczone, wychudłe i spracowane ręce.

— A widzisz, widzisz—mówiła staruszka, starając się zapanować nad wzruszeniem — ja wiedziałam, że przyjdiesz. Pan Jezus miłosierny przyprowadził cię nareszcie, na moją pociechę! Niechże ci się przypatrzę, dziecko. Takiś duży, taki ładny... Tylko zmizerowany trochę...

— Odżyję przy was, matusiu!...





VI.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Janek zabierał się do wyjścia.

— Tak ci pilno—rzekła matka tonem łagodnej wymówki—posiedziałbyś jeszcze trochę. Prawie nie widziałam cię dziś, ledwie się rozwidniło, pobiegłeś oglądać swoje ubogie dziedzictwo.

— A jakże, matusiu, to pierwsze; fortuna nasza maleńka, inny możeby na nią nie spojrział, ale ja myślę, że przy Boskiej pomocy będzie nam tu dobrze. Sam lepszego miejsca nie wybrałbym. Wzgórze doskonale, pole niezgorsze.

— A te pniaki, te pniaki, mój Jasiu, jak ty je wydobędziesz?

— Nie frasujcie się, matko, wykarczuje się i będzie śliczna nowina. Od czasu, kiedy odebrałem list od was z opisaniem, jak nasza kolonia wygląda...

— To Hanusia, pocziwota, pisała, ja tylko podpis swój położyłam.

— Ja jej pismo od pierwszego spojrzenia poznałem i wypowiedzieć nie mogę, jak wdzięczny jej jestem za te listy. Otóż, matko, gdym wyczytał, jak tu jest i co jest, tom wciąż tylko myślał, jak przystąpić do pracy, jak co urządzić, jakie budynki stawiać. Mieszkalibyście już, matusiu, we własnym domu, w wygodzie, ale nieszczęście się stało, musiałem leżeć tak długo... Trudno, taka była wola Boża. Przez cały czas w szpitalu was tylko miałem na myśli; nieraz przymknąłem oczy i zdawało mi się, że jestem tu, że widzę moją kochaną matkę, dobrych ludzi... Hanusię...

Staruszka westchnęła.

— No, matko droga, nie gniewajcie się, ja już pójdę. Trzeba znajomych przywitać, każdemu dobre słowo powiedzieć; kilka lat nie widziałem swojaków i znajomych. Po drugie, trzeba siedzibę na zimę obmyśleć,

w tej budzie ciężkoby było wytrzymać. Widzę domy nowe i wielkie, toż może który sąsiad jedną izdebkę nam odstąpi, a dobytek do swoich zabudowań przyjmie. Odkładać nie można, bo mrozy mogą zaskoczyć, śnieg spadnie i wtenczas będzie nierychło...

— Ha, prawda i to, dobrze mówisz, idźże tedy, a długo nie baw, prędko wracaj, bo chciałabym napatrzeć się na ciebie, mój synku.

Janek zabrał się do wyjścia; ubrany był skromnie, ale czyściutko, w szczelnie opiętym surducie wydawał się jeszcze wysmuklejszym, niż był w istocie. Twarz jego o rysach regularnych, spójrzenie śmiałe i bystre, skromność w ułożeniu, jednały mu odrazu sympatyę. Wyglądał trochę mizernie, a gęsto puszczający się zarost dodawał mu powagi.

Przedewszystkiem poszedł do Wincentego. Stary szlachcic siedział przy stole zamyślony, żona jego kręciła się po stancyi, Hanusia tylko co przybiegła z drugiej izby z jakimś zapytaniem do babki. Przybiegła wiadać od roboty, od komina, z rumieńcami na twarzy, z rękami obnażonemi po łokcie. Je-

szcze nie skończyła pytania, gdy młody dźwięczny głos odedrzwii wstrząsała całą jej istotą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!

— Na wieki! I pokój temu, kto to mówi—odrzekł Wincenty, a potem nagle zawołał: Janek!

— Janek!—powtórzyła Wincentowa.

A Hanusia, jakby skamieniała, nie mogła słowa przemówić. Zarumieniona, ze spuszczo-nemi oczami, starała się opanować ogarnia-jące ją wzruszenie.

— No, panie Janie—rzekł Wincenty—wi-tajże nam z podróży i siadaj.

Chłopiec odrzekł z wymówką:

— Nie czyńcież mi takiej krzywdy, panie Wincenty, bom na to nie zasłużył, zwaliście mnie dawniej po imieniu, zwijcie i teraz tak samo. Pana zostawmy za drzwiami, bo on tu niepotrzebny.

— Poczwiwie mówisz, chłopcze, urazić cię nie chciałem, ale widzisz młodzież teraz bywa rozmaita, znam takich coby się obra-zili, gdybym ich po imieniu chciał nazywać.

— We mnie odmiany żadnej nie masz, jaki wyszedłem, taki wróciłem i przychodzę was powitać z uszanowaniem dla siwego włosa i poczciwości waszej.

To rzekłszy, ucałował rękę Wincentego, Wincentowej i zanim się Anusia spostrzegła, i jej także. Dziewczyna tak się zmieszała, że nie wiedząc, jak odpowiedzieć, uciekła do drugiej stancyi.

— Dziękuję wam, panie Wincenty—mówił Janek — za przychyłność, za opiekę nad matką, za wszystko, coście dla nas zrobili, niech wam Bóg nagrodzi stokrotnie. Ubogim gościńcem nie wzgardzicie; nie dar to żaden, ale tylko znak, że miałem was w pamięci.

To rzekłszy, położył przed Wincentym dużą, malowaną ślicznie tabakierkę, a Wincentowej dał niewielki, ale bardzo ładny obrazek w ramach.

— Mam tu jeszcze—rzekł—książeczkę do nabożeństwa dla Hanusi, ale skoro wyszła, to niechże jej pani babka doręczy.

— I na coś ty, chłopcze, tyle kosztu ponosił—rzekł Wincenty. — Takie śliczności! Tabakiera, obraz, książka. Toć ona chyba

w aksamit oprawna i srebrem okowana, czy co?

— Nie patrzcie na dar, tylko na serce...

— Zanieś-że, Kasiu, dziewczynie książeczkę, niech się ucieszy, no, i niech podziękuje Jankowi za pamięć. I my ci dziękujemy, a teraz siadaj, mów, gdzieś bywał, z czem przychodzisz?

— Dużo do opowiadania nie mam: byłem w Warszawie, byłem też między Niemcami pod Gdańskiem, uczyłem się, zarabiałem trochę i wróciłem do matki i do swoich. Oto całe opowiadanie.

— Krótko i węzłowato, ale to dobrze. Kto mało mówi, dużo robi. Widziałeś swój grunt?

— Widziałem i dziękuję.

— Wzgórek dobry?

— W sam raz.

— Wiedziałem na co ci potrzebny, wiatru kupować nie będziesz. O pniaki na polu nie gniewaj się, musiałem ci wydzielić przy wzgórzu, a w jednym kawalku; zyskałeś na cenie, bo za wykarczowany płacili drożej.

— Wszystko dobrze, za wszystko Bóg za-

płać! Z piaskami ja sobie poradzę, nie będzie ich tu za rok.

— Pieniądzy matczynych jest u mnie z górą dwieście rubli, nie chciała ich brać do ręki. Jak umyśliliśmy gospodarstwa dawne sprzedać i nowe tu pokupować, przyszła do mnie i powiada: «Pójdę i ja za swoimi, że zaś kobieta jestem i na takich interesach nie znam się, proszę was, zastąpcie mnie we wszystkim. Co mam, do waszych rąk oddaję, stare sprzedajcie, nowe kupcie, a jak Jaś wróci, to z nim obrachunek zrobicie.» Tak się stało, jak żądała, a teraz, skoro przyszedłeś, obrachunek mogę zrobić. Co swoje zabierz, pieniądze leżą odłożone osobno.

— Nic pilnego, panie Wincenty.

— A może potrzebujesz?

— Nie.

— Masz?

— Nie pracowałem za darmo, płacili mi, a że i jeść dawali, więc mogłem odłożyć.

— No, dużo też przyniosłeś?

— Trochę.

— Ale ile?

— Blisko trzysta.

— To dobrze, bardzo dobrze, matka zapewne się cieszy?

— Właśnie proszę ja do pana Wincentego mam, bardzo wielką.

— Mów, co ci trzeba?

— Trzeba mi będzie dużo, a pierwsza rzecz, rady.

— Owszem, w każdej potrzebie.

— Bo to drzewo będę musiał kupować, majstrów godzić, robotników; jako młody, łatwo będę mógł być oszukany.

— Dobrze.

— Po drugie, chociaż pieniądze teraz mam, ale może mi na wszystko nie wystarczy.

— I to bajki. Przychodź do mnie, rada się znajdzie.

— Bardzo dziękuję, Bóg zapłać! Ale na to wszystko jeszcze czas; najpierwej muszę siedzibę na zimę znaleźć, bo na budowanie już nie czas...

— Chciałem zająć się i dom wam postawić, ale matka nie przystała na to.

— Wiem, wiem; to też teraz radbym, żeby nas kto na komorne przyjął.

— A no, to udaj się do Paliwody Domi-Buda na karcz.

nika; dwoje ich tylko, bezdzietni, a domisko mają duże; jedną połowę chętnie wam oddadzą, a i w budynkach dobytek wasz pomieszczą. Toć i tegoroczny zbiór z pola, ile na waszą część przypadło, Dominik do swojej stodoły na przechowanie zabrał.

— Aby do lata, wszystko do porządku doprowadzę.

— Daj ci Boże!

Hanusia weszła do izby, uspokojona już trochę.

— Dziękuję — rzekła — za książeczkę. Jeszcze, jak żyję, tak pięknej nie widziałam. Zawsze, modląc się, wspomnę o...

— O kim? — zapytał żartobliwie Wincenty.

— O panu Janie — szepnęła zarumieniona.

— Słyszałaś, że pana za drzwiami zostawił i nie chce do nas go wpuszczać, niechże ma, jak chce, po dawnemu.

— Owszem, dziadziu, i ja tak myślałam, tylko że mi śmiałości brakło... Trzy lata Jasia nie było. A babcia — dodała dziewczyna, chcąc zmienić przedmiot rozmowy — bardzo z obrazu kontenta. Święta Katarzyna na nim, prawda?

— Tak.

— Patronka jej—wtrącił Wincenty.

— Ja też umyślnie taki kupilem.

— Babcia teraz gwoździa szuka, bo nie chce, ażeby taki śliczny obraz leżał na stole.

— To prawda—rzekł Wincenty—nie godzi się, gwoźdź znajdziesz w szufladzie, w stoliku, weź młotek i przybij.

— Ja pomogę—odezwał się Janek — proszę tylko pokazać, gdzie ma obraz wisieć.

— Oto na tej ścianie, żeby kto wejdzie, zaraz ze drzwi mógł widzieć.

Janek wziął młotek, gwoźdź wbił i obraz zawiesił. Wszyscy uznali, że przyozdabia stancję doskonale.

Janek pożegnał Wincentego i jego żonę, chociaż zapraszano go, żeby został. Hanusia na samem odchodem szepnęła:

— Będę dziś u was.

Wprost ztamtąd udał się do Dominika. Ten szlachcic, mający przydomek Paliwoda, po dziadku podobno, gdyż sam bynajmniej na taki tytuł nie zasługiwał, był to człowieczek niedużego wzrostu, trochę przygarbiony, szczupły, twarz miał wygoloną sta-

rannie, mówiąc, składał ręce na piersiach i głowę na bok pochyłał.

Ujrawszy Janka w swych progach, za głowę się chwycił.

— Albo mnie oczy mylą, albo nieboszczyka Józefa syn!—zawołał.

— Tak, panie Dominiku, sąsiedzie nasz kochany, ten sam.

— A witajże, a siadajże! Gość w dom, Bóg w dom, a jeszcze taki gość! Ma się rozumieć, czem chata bogata, tem rada. Zaraz, kochaneczku, zaraz, niechno tylko moja baba przyjdzie, wnet coś postawi, bo i ja, widzisz, jestem tak dobrze, jak na czczo, a taką mam naturę, że gdy dobrego a kochanego przyjaciela zobaczę, to zaraz takie pragnienie mam, jak gdybym sześć śledzi zjadł i siódmego napoczał. Zaraz, zaraz, babiny mojej tylko patrzeć. Jakże, Janku kochany, z drogi? Wracasz nam zdrowy, mocny? Wypadek miałeś, jak słyszę, ale Bogu dziękować nie znać tego, wyglądasz nieźle, chodzisz dobrze...

— Tak, panie Dominiku, miałem złą przygodę, ale to przeszło, zapomniałem już o bólu.

— Ha, młodość to najlepszy doktor; młody wszystko przetrwa, zniesie, wytrzyma bez lekarstwa, dopiero jak stare lata przyjdą, o bieda! Doktor nawet nie pomoże, jak zawołają: «Pójdź Kuba do wójta!»

— Panie Dominiku — rzekł Janek — ja tu z powitaniem przyszedłem, z uszanowaniem do dawnego sąsiada i przyjaciela moich rodziców, jak też potrosze i z potrzebą...

— Aha, nie ma karesu bez interesu, a nawet i żydowie powiadają: «nyštu geld, nyštu kompliment» — ale powiedz-że, co ci potrzeba, z duszy serca wygodzę, bo co dziś tobie, mnie jutro, a w przygodzie każdego ratować potrzeba. Chcesz pieniędzy, owszem, dałbym i wygodził, ale pieniądze nie jestem; sprawę masz, poradziłbym z największą chęcią, ale wiesz, żem nie adwokat...

— Nie, panie Dominiku, pieniądze mam, spraw żadnych nie prowadzę, tylko chciałbym u was stancję do świętego Jana wynająć i z matką pod waszym dachem zamieszkać, dobytek też do swoich zabudowań możeby pan Dominik przyjął. Co będziecie żądali, zapłacę, jak wola wasza, zaraz, to zaraz; później, to później...

— Także mi gadaj Janeczku! Kąta ci będę żalował, kiedy oto, jak widzisz, domisko nowe i duże, jak stodoła! Sprowadzaj się z matusią, mieszkaćcie, jak długo chcecie. W obórce dla waszych krówek kąt odgradzę, w stajni dla konika także, bo insze bydłę to takie pożerne i chciwe, jak człowiek, drugiemu obrok wyjada. Co się tyczy zapłaty, to, mój Jasiu, zgodzimy się. Zapłacisz zaraz, nie dlatego, żebym cię przynaglił, ale widzisz, tak mnie już od małości uczyli: co masz wziąć jutro, weź dziś, a co masz płacić dziś, płac jutro. Ja sobie rozmiarkuję, ile mam żądać, ty jutro rano z pieniżkami przychodź, graty koło południa zniesiecie i niech będzie wam dobrze na tem miejscu. Weronika! — zawołał—Weronika! Gdzie ona się podziała?

Na to wołanie weszła kobieta niemłoda, wysoka, tęga, o wesołem spojrzeniu.

— Nie wiesz to, że gość w dom, Bóg w dom, że o suchej gębie dobrych przyjaciół nie przyjmują?

— Zkądże wiedzieć mogłam, że kto przyszedł, kiedy akuratnie w oborze byłam teraz... Ani się nie spodziewałam takich od-

wiedzin... Ależ odmienił się Janek, taki panielicz teraz, światowy, elegancki, niech się Talarowszczak schowa, choć na siwym koniu jeździ i po miasteczkach cuduje... Janek pewnie wie, że Talar folwark kupił, niby razem z nami, ale folwark dla siebie.

— Wiem, matka mówiła.

— Okrutnie dmie.

— A niechże sobie dmie, moja Weronisiu, niech dmie, jak cztery miechy kowalskie, bylebym ja głodny nie był, a przy twoim pośpiechu, to się nam z pewnością cygany przyśnią.

— Zaraz, zaraz wszystko będzie.

— I o tem, kobieto, wiedz, że trzeba na drugiej stronie stancję wyporządzić, bo pani Józefowa z synem do nas na pokomorne tymczasowo przechodzi.

— A doskonale! To się cieszę, będę miała dobrą sąsiadkę. Porozmawiajcie tu sobie, a ja się zakrzętnę.

— Panie Dominiku — rzekł Janek — ja odejść muszę, za poczęstunek dziękuję, zo-
stałbym, ale czasu nie mam...

Szlachcic kocim ruchem do drzwi przy-
skoczył i klucz w zamku przekręcił.

— Z Dominikiem, braciszku—rzekł—sztuka się nie uda. Drzwi zamknę, okienice zamknę, kółkami popodpieram, ciebie, kochane-czku, do stołu przywiążę, a nie puszczę! Próżne wymawianie, siadaj bracie i siedź, a szczerem sercem nie gardź... Nie codzień się okazya taka trafia. Jeżeliś mocniejszy i nie dasz się na siłę, to cię zatrzymam prośbą. Jasieczku kochany! szczerością serca pocztewego nie wzgardzaj.

Chłopiec roześmiał się i pozostał. Znał on Dominika i wiedział, jaka jest właściwa przyczyna jego serdecznej gościnności. Paliwoda lubił dobrze zjeść i wypić, a jego Weronika, chociaż rada popisać się zamożnością przed gościem, w domowem, codziennem życiu była niesłuchanie skąpa.

Z okazji przybycia Janka, szlachcic mógł się spodziewać smakowitego śniadania, gdyby gość odszedł, trzebaby było poprzestać na barszczu i skąpo okraszonych kartoflach.

Dominik aż poczerwieniał z radości, usłyszawszy brzęk talerzy i szkła w sąsiedniej stancyi, a na jego szczupłej, gładko wygolonej twarzy malowało się uczucie wielkiego zadowolenia, prawie szczęścia.

— Chwat jesteś, Jasiu — mówił — kocham cię, nie wzgardziłeś sercem, znać, żeś nasz, krew z krwi i kość z kości... Tak, chłopcze, zawsze to, co gniazdo, to gniazdo, nie spodziewać się po sowie sokoła, ani po sokolicy sowy... Et, co to długo gadać, z naszego gniazda wielkie ptaki wyszły, na wysokich grzędach siadały, a żebym ci to kiedyś dokumentnie opowiedział, to złapałbyś się za głowę, a słuchał, choćby do samego rana. Myślisz, że jeden z pastorałem nie chodził? I tak jeszcze... a w stalach kanonicy nie siedzieli? Mogę wyliczyć, ilu chcesz, trzech, sześciu, do dziewięciu... A do prawa głów nie było? I jakie! Mecenasy dwunastej próby, z takiego gatunku, co to tylko spojrzę na akta i już na wylot sprawę rozumie... A i w innych praktykach, w innych procederach, jak się który do czego wziął, to już doskonale. Miło czasem o takich wspominać, a młodszym za przykład stawiać, jak to pięli się nasi familianci do góry, niby po drabinie, ze szczebla na szczebel, niby po drobnych schodach, ze stopnia na stopień. Może niejeden zleciał i kark skrzył, ale byli i tacy, co doszli. Ot, Jasiu, teraz pod jednym

dachem mieszkać będziemy, a wieczory długie nadchodzą—siła ci rzeczy opowiem, bo szkoda, żeby to zginęło. Ty zaś, jak ci głowa pobieleje, wnukom swoim to wszystko powtórzysz, niech gniazdo szanują... Właśnie... aha! jest Weronisia!

— Odsuń-no się, Dominiku, toć stół nakryję—rzekła szlachcianka.

— Nakryj, nakryj, kochanie. Wiesz Jasiu, że takiej kobiety, jak moja Weronisia, w świecie szukać. Ona, jak się rozchodzi, to tak idzie, że z pod serca odda. Tylko że nie codzień u nas święto...

— Ot, daj pokój, zamiast co niepotrzebnego mówić, na gościa uważaj, weź flaszkę do garści i przepij, jak się należy.

— Weronisiu, słowa twoje święte, a gorzałka z piółunem. Umocz-no i ty dziobek, moja mąkolągwo, nie zaszkodzi. Janek, wędrując po świecie, pewnie lepsze trunki piął i lepsze smakolyki jadał.

— Nie bardzo...

— Insze narody przemyślne, a najbardziej Niemcy.

— Tak, jak wszyscy ludzie, pracowitsi tylko.

— O to, to!—wtrąciła Weronika — skoro pracowity a grosz szanuje, to ma. Niechże Janek pozwoli, bardzo proszę.

Dominik gorliwie do jedzenia się zabrał i jakiś czas nic nie mówił, dopiero gdy się już pożywił i napił, zapalił fajkę i zaczął gawędzić.

— Jakże ci się nowe nasze kolonie podobają?

— Owszem, miejsce dobre, grunt niezły, łąki...

— Nie ma co mówić, braciszku, kupione dobrze i niedrogo. Kilka głów nad tem pracowało, a nie chwalcą się i moja.

— Podobnoć Wincenty najglówniej.

— Wincenty... Tak, ale nie on jeden.

— A Talar?—zapytał Janek.

— Ten, braciszku, do gotowego przyszedł. Pieniądze dał, odmierzyli mu grunt i siedzi sobie na folwarku, jak pan. Do jarmarku, do koni, dobra głowa, ale w hypotece, w sądach całkiem głupi. Niby to udaje, gada, ale żadnego w tem sensu nie masz. Wincenty kupno przeprowadzał przy naszej poradzie. Domarad Ignacy, Tabiuka Michał, Buława Walenty, Jakób Odsiebie, Wątopek

i jako się rzekło, ja, byliśmy do pomocy. Nie ma z czego próżnej chwały szukać, ale ktoby tę naszą kompanię chciał w pole wyprowadzić, musiałby bardzo rano wstać.

— Co prawda, to nie grzech — wtrąciła Weronika—znawcy są...

— Gniazdo takie, Janku, uważaj zawsze na gniazdo. Czasem trafiają się odmieńce, ale...

— Panie Dominiku — przerwał Janek—ja myślę, że tu będzie lepiej, aniżeli w Sawkowie.

— W Bogu miłosiernym nadzieja—i mnie się zdaje, że lepiej.

— Grunta dużo — wtrąciła Weronika — i niezgorszy. Tegoroczny zbiór, choć z niedbalego siewu, bo dzierżawca ostatni rok dosiadywał, jednak zły nie był. Podzieliliśmy się plonem i stodoły, chwalić Boga, nie puste.

— Siano na podziw—dodał Dominik—dawno już takiego nie widziałem. Żydzi na centnary chcą zabierać, choćby dziś, byle im tylko sprzedać, ale nikomu nie pilno.

— Ja powiadam—rzekła Weronika—trzy-

mać do wiosny, do przednówka, to jak za szafran zapłącą.

— O! ty powiadasz! Wielka nowość, że siano z wiosną drogie, tembardziej, jeżeli zima długa. I my o tem wiemy.

Po posiłku Dominik już nie zatrzymywał Janka tak gwałtownie, a przy pożegnaniu rzekł:

— Sprowadzajcież się jutro na nową posiadzialność, ja wam pomogę.

— Dziękuję!

— Józefowa spocznie sobie pod dachem, bo chociaż mrozów nie ma, ale zawsze w szalasię przewiewnie.

Odprowadził Janka o kilkadziesiąt kroków i dał do zrozumienia, że najodpowiedniej będzie przenieść się od rana, gdyż o południu już wszystko może być ustawione i na upartego można zasiąść do stołu i pokrzepić się jakim takim posiłkiem.

Janek zrozumiał aluzyę i gorąco zaprasza-
szal pana Dominika, żeby również szczerem
sercem nie wzgardził i na nowem miejscu
lokatorom swoim honor wyświadczył.

Pan Dominik zapewnił, że nie da na siebie czekać.

— Bo widzisz, braciszku—mówił—człowiek powinien być akuraty, jak zegar, a nawet jeszcze akuratniejszy. Jeżeli go proszą na południe, niech się stawi o wpół do dwunastej, jeżeli na wieczór, niech przyjdzie przed zachodem słońca. Takim sposobem będzie przyjemny gospodarzowi i gospodyni.

Tak wszyscy witali Janka, tak się z nim chcieli nagadać, że chłopak ledwie przed wieczorem mógł się dostać do domu.

Wbiegł do szalasu, gdzie już było zupełnie szaro i pochwyciwszy rękę stojącej tam kobiety, ucałował ją mówiąc:

— Wybaczcie, matusiu, chciałem zaraz wracać, ale dobrzy ludzie zatrzymali mnie.

Dźwięczny, srebrzysty wybuch śmiechu był odpowiedzią na te słowa.

— Ja nie twoja matusia!...

— Hanka!

— A tak... Nie poznałeś mnie.

— Moja droga, kochana! Czyż się mogłem spodziewać, że cię tu zastanę. Gdzież matka?

— Do krów poszła, tylko patrzeć jak wróci.

— A ty tu dawno jesteś?

— Z godzinę. Nie było cię, musiałem czekać.

— Toś do mnie przyszła?

— Albo nie?

— Jakaś ty dobra!...

— A ty to zły—i tyś dobry... Przyszłam cię przywitać i za gościniec podziękować, bo w domu nie mogłam.

— Przecież dziękowałaś.

— Ja sama nie wiem, co wówczas mówiłam, bo skoro wszedłeś, to tak mi się dziwnie zrobiło, ani ja ruchu, ani głosu, drżałam tylko, jak liść, a gdy wzięłeś mnie za rękę, uciekłam i...

— I co?

— Rozplakałam się.

— A teraz cię nie przestraszyłem?

— Nie. Widziałam ja dobrze, że idziesz i z umysłu stanęłam tak, żebyś mnie nie poznał. Teraz witam cię, Jasiu i dziękuję, żeś o mnie pamiętał...

Objął ją w pól i przycisnął do piersi.

— Hanusiu?

— Co?

— Lubisz ty mnie?

— Może nie?

— Na zawsze?

— Niby ty nie wiesz?

— Będę.

— A jeżeli dziadek nie zezwoli?

— Dlaczego?

— Ja niebogaty.

— Aleś kochany. Ja dziadkowi do nóg upadnę i póty będę prosiła, póty płakała, aż zezwoli. Dziadzio ciebie też lubi.

— Naprawdę?

— Jakiś tylko wyszedł, mówił do babki, żeś dobry chłopiec, że twoja matusia będzie miała z ciebie pociechę... A ja sobie pomyślałam, że nietylko matusia... O, i ona idzie.

— Hanusiu, pamiętaj.

— Będę.

— Poczekasz, aż się zagospodaruję?

— Poczekam.

Staruszka weszła do szalasu i przerwała rozmowę dwojga szczęśliwych.





VII.

Jesień była wciąż dobra i pogodna, ku radości ogólnej, a najbardziej cieszył się Janek, bo mógł korzystać z drogi nie popsutej jeszcze i zwozić drzewo, które w pobliskim lesie zakupił. O furmanki także nie było trudności; chłopi, nie mając roboty pilnej w domu, szli na taki zarobek chętnie, więc też w niedługim czasie na wzgórzu, należącym do Janka, piętrzył się stos materiału, tak, że z wiosną tylko przyjść i brać się do roboty.

Gromadka wynajętych ludzi pracowała codziennie nad karczunkiem, do czego i Janek ręki wciąż przykładał. Okopywano pnie, podcinano korzenie, wyważano je drągami,

Buda na karcz.

zwlóczono na jedno miejsce. Młody gospodarz od rana do nocy uwijał się przy tej robocie i przez cały dzień nikt go na kolonii nie zobaczył, nawet do Wincentego nie zaglądał, chociaż go tam serce ciągnęło. W święto czasem na godzinę wpadł, i to, jak po ogień.

Koloniści, sami przeważnie pracowici ludzie, patrzyli na te zabiegi z podziwem i uznaniem, matka zaś z dumą i zarazem z obawą, aby jej jedynak na zdrowiu nie zapadł. Te obawy rozpraszała Hanka, mówiąc z wesołym uśmiechem:

— Nie bójcie się, paniusiu kochana, od roboty jeszcze nikt nie umarł, a prędzej próżniactwo zdrowiu zaszkodziło. U nas wszyscy pracują, i starzy i młodzi, a nie słyhać, żeby kto chorował; Talara syn zaś nic nie robi i jak wygląda? Widziała go panusia?

— Dawno już nie.

— A ja widziałam go w kościele. Przepchał się przed sam wielki ołtarz, żeby się wszystkim pokazać—pyszny taki! Oj, jak on wygląda!...

— Żle?

— Brzydko! Czerwony na twarzy, a oczy ma takie, jakby mu się spać chciało.

— Może i śpiący był.

— Nie wiem, może. Podobno w domu rzadko kiedy bywa, tylko po zabawach precz lata. Tak przynajmniej mówią.

— A niech go tam, moja droga, co nam do niego, albo jemu do nas; on swoim dworem, my swoim.

— Onegdaj znów u nas był.

— Po co?

— Zamówił się do dziadka, że niby potrzebę jakąś ma, że chciałby się rozmówić; ot, plótł coś, a jedno drugiego nie trzymało się...

— Rozmawiał z tobą?

— Akurat! Schowałam się umyślnie. Dziadka w domu nie było, zaś babkę zęby bolały i choćby chciała, to rozmawiać nie mogła. Posiedział chwilę i odjechał, ale zapowiedział, że w tych dniach znowuż będzie. Nie ma nic do roboty i włóczy się tylko, utrapieniec, na kłopot ludziom...

Hanusia powiedziała prawdę. Adamek sprawiał duży kłopot ludziom, przede wszystkim własnej swej matce, gdyż ojciec rzadkim

gościem bywał w domu i o tem, co syn robi, nie wiedział.

Od chwili wspólnego poszukiwania zgubionej portmonetki na gościńcu, Icek Ufnal stał się dla młodego Talarowskiego niezbędnym. Codzień prawie musiał się z nim widywać i dla zachowania ostrożności, coraz w innem miejscu. Spotykali się, niby to przypadkowo, na drodze, w miasteczku, na jarmarkach i zawsze była potrzeba, zawsze jakiś interes do zrobienia.

Icek nie spodziewał się, że kiedykolwiek w życiu znajdzie tak doskonałego, tak hojnie za wszelkie usługi płacącego pana. Czasem aż się tej hojności nadzwyczajnej bał; szczególnie zaś, gdy wypadkiem spotkał starego Talarowskiego, czuł dreszcze. Taki człowiek ponury, skąpy, a zapewne skłonny do awantur, co znać nawet po jego nieprzyjemnem spojrzeniu, mógłby w niemiły sposób wynagrodzić usługi, wyświadczone jego synowi. Słusznie też Icek spotkania ze starym unikał.

Właściwie winnym się nie czuł, bo ostatecznie jakąż zbrodnię popełnił? Proszony był o pośrednictwo — dawał pośrednictwo,

równie dobrze i legalnie, jak piekarz daje chleb, rzeźnik mięso, szewc buty. Każdy człowiek ma swój proceder, Icek ma pośrednictwo, to jego fach, sposób do życia, to chleb jego żony i dzieci, które przecież, na równi z każdym stworzeniem, mają prawo, bytu. Tylko dziki człowiek, awanturnik i grubianin może mieć o to pretensję.

Mógłby kto powiedzieć, że Icek sam się z usługami nastęcza, że szuka młodego człowieka, że go do zaciągania porzyczek kusi i namawia, tymczasem dzieje się wprost przeciwnie; to młody człowiek szuka Icka, a czasem bywa spotkanie wprost niespodziane, przypadkowe.

Kto może być odpowiedzialnym za przypadek, za zdarzenie?

Naprzykład taka się dzieje rzecz. Icek jest w miasteczku, przyjechał za interesami, miał trochę produktów na sprzedaż, trochę towaru chciał kupić, nawet sporo towaru, bo szlachta na koloniach ciągle czegoś żąda i potrzebuje. Wybrał się porządnie wozem w drabinkach, z półkoszkami, ażeby mógł spakować wszystko, jak należy. Załatwił, co miał do załatwienia, o niczem nie zapomniał,

trochę się posilił i już za pół godzinki miał wyjeżdżać. Śpieszył się, bo już wieczór zapadł, a jazda podczas nocy nie jest przyjemna.

Właśnie szedł do fury, gdy nagle ktoś go dogania i kładzie mu na ramieniu rękę, ciężką bardzo.

Icek, podczas swojej praktyki, różne ciężary na ramieniu nosił, czasem ćwiartkę zboża lub cielę, ale żadne brzemię nie spadło na niego równie gwałtownie, jak ta ręka.

Zdawało się, że jest ona z żelaza, albo z kamienia, tymczasem była to zwyczajna ludzka ręka, z dodatkiem odrobiny przyjacielskich żartów.

Różne bywają objawy sympaty, ten wywoływał zwykle siniaki, co Icek wliczał do kosztów handlowych stosunku.

Gdy ta ręka spadła na jego ramię, musiał podskoczyć, krzyknąć i obejrzeć się. Za nim stał młody Talarowski, wesoly, uśmiechnięty, z taką miną, jak gdyby całą ziemię już kupił i zamierzał księżyc targować.

Icek był boleśnie skrzywiony.

— Czego się krzywisz? — zagadnął młody człowiek.

— Niechno panicz da pokój, panicz mi jeszcze, broń Boże, kość złamie.

— Nie znasz żartów?

— Wolę ich nie znać. Niedobre są żarty bolące, wszystko można kupić, ale zdrowia nie dostanie na żadnym jarmarku.

— No, no, zagoi się. Przyjdź-no zaraz do zajazdu, mam do ciebie interes. Tylko nie bałamuć, bo pilno.

— Panicz stoi w numerze?

— Przecież nie pies jestem, żebym miał stancję na dworze.

— Śliczne słowo. Dobrze, ja zaraz przyjdę; zaraz, choć nie jestem czasowy.

— Pamiętaj!

Za chwilę Icek wchodził do numeru.

Była to klatka, a raczej przedział dużej klatki, zrobionej z desek, przedzielonej na trzy części. Na dwiach kredą wypisany był numer.

Wchodziło się do tych apartamentów przez stajnię, a właściwie przez wielką szopę, służącą dla pomieszczenia koni i bryczek.

Za dnia było tam pełno kur, poszukujących ziarenek owsa, nocą zaś masa szczurów i myszy. Okna numerów wychodziły na wą-

ziutką błotnistą uliczkę, ciągnącą się z tyłu zajazdu.

Właściciel owego budynku, a zarazem utrzymujący zajazd, szynk, zwany handlem win i salę z krzywym, połamanym bilardem, szanowny Jojna Migdał, przyjmował zwykle młodego Talarowskiego z wielkimi honorami i otworzył mu dość szeroki kredyt, o czem świadczyły kolumny cyfr, wypisane kredą na szafie.

Uprzejmość Jojny posuwała się aż tak daleko, że kiedy jednego razu wszystkie numery zajęte były przez gęsi, przeznaczone na wywóz do Warszawy, a pan Adam akurat na ten czas przyjechał, to Jojna natychmiast gęsi z jednego numeru wypędził, podłogę kazał cokolwiek zamieść, a stancję wykadzić octem, wylanym na rozpalone do czerwoności żelazo, z czego się zrobił taki śliczny zapach, że gęsi, uwięzione w sąsiednim numerze, przestały krzyczeć.

— U mnie taki gość, to najpierwsza osoba—mówił Jojna, kłaniając się nisko—niech gęsi dyabli wezmą, niech wszystko dyabli wezmą, aby gość miał wygodę. Pan potrzebuje stancyi, ja wiem, że pan potrzebuje, że

pan się bez niej nie obejdzie, do pana różni panowie przyjdą, zechcą się zabawić, zjeść, wypić, w karty zagrać w porządnym numerze, w osobności, nie na sali, gdzie każdy może przyjść, patrzeć, plotki robić... Prawda?

— A no, prawda.

— Jojna zawsze prawdą żyje, cała nasza familia znana z tego jest. Mówią, że mój ojciec dorobił się trochę pieniędzy na szynku, a na moje sumienie, to fałsz; on się na rzetelności dorobił. On zawsze mówił do nas, do swoich synów: Pamiętajcie, dzieci, że kwaterka, to jest kwaterka, tak samo, jak ja zawsze mówię moim dzieciom, że gość, to jest gość... Taka już nasza familia. Prawda i rzetelność, rzetelność i prawda, to nasz główny towar, wszystkie inne towary; to tylko dodatek.

— No, niech się Jojna tak bardzo nie chwali, w ostatnim rachunku było sporo nieprawdy.

— Aj, proszę pana, omyłka może się każdemu przytrafić, najlepszy rachmistrz może się pomylić w rachunku.

— Ale na swoją korzyść.

— Byłoby jeszcze gorzej, gdyby na swoją niekorzyść, gdyż tak, to tylko omyłka, a na niekorzyść, to byłaby i omyłka i fuszerstwo, a w naszej familli fuszerów nie było, nawet między kobietami. Pan wie, jaką moja żona robi marynatę, jakie nadziewane szczupaki, czy pan może powiedzieć, że w tem jest fuszerstwo?

— Nie.

— No, widzi pan, jeżeli kobieta nie fuszeruje, to mężczyzna tembardziej.

Taki to był gospodarz uprzejmy, taka gospodyni znakomita, taki numer świetny. Miasteczko dawało młodemu utracyuszowi wszystko, co miało najwspanialsze i najlepsze. Wspaniałość była, co prawda, nie największa, ale też i miasto nieduże. Według stawu grobla.

Pan Adam rozsiadł się na twardej skrzypiącej kanapie, Icek zatrzymał się przy drzwiach.

— No, siadaj—zawołał młody człowiek — czego się boisz, nie zjem cię.

— Ja się nie boję, mogę nawet i usiąść, jeżeli panicz każe.

— Słuchaj-no, Icku, proszę cię raz na

zawsze nie nazywaj mnie paniczem; nie jestem dzieciak i stać mnie na to, żebym był panem. Rozumiesz?

— Ojoj, owszem! Ślicznie rozumiem, pan mnie zna, że dla mnie nie trzeba dużo gadać. Dwa słowa i dosyć.

— Ja też ci dziś więcej nad dwa słowa nie powiem: sto rubli.

— Sto?!

— Przeląkłeś się?

— Duża suma! Kawał pieniędzy! Nie wiem, czy znajdę.

— Szukaj. Od tego jesteś Icek.

— To prawda. Od tego ja jestem Icek, ale panu wiadomo, że nie bogacz, własnych pieniędzy nie mam; chcąc panu wygodzić, muszę się starać u ludzi, a ludzie... no, wiadomo panu, jak ludzie; nie zawsze mają chęć, nie zawsze mają pieniądze, trafia się też najczęściej, że ten, co ma chęć, nie ma wcale pieniędzy, temu znów, który ma pieniądze, chęci brakuje.

— Do tej pory jednak dawali.

— Do tej pory... Prawda, ale pan już dużo nabrał. Czy panicz... czy pan rachował, ile to razem czyni?

— Nie, nie miałem na to czasu.

— Więcej, niż sześćset rubli...

— To co? Odda się, odpowiedzialny jestem.

— Procent rośnie.

— Wiem i o tem.

— Ja panu szczerze powiem; żydki już nie mają takiej chęci, jak pierwej; oni dali-by, ale żądają dwa podpisy.

— Jakie dwa?

— Żeby starszy pan podpisał, to w ten moment będą pieniądze, ile tylko panicz zechce, choćby kilka tysięcy.

— To idźże do mego ojca i poproś — rzekł Adam, patrząc ponuro w ziemię.

Icek odskoczył, jak oparzony.

— Proszę pana—zawołał—dlaczego mam iść? Bogu dzięki, nie jestem waryat i życie mi miłe!

— A dlaczegoż mnie wysyłasz?

— Syn do ojca łatwiej trafi.

— Ja próbować nie będę.

Icek zaczął bębnić palcami po stole.

— Więc nie ma sposobu?—spytał młody człowiek.

— Ja panu powiem co. Mnie pana żal. Teraz, dziś, ja jeszcze spróbuję; może się uda; może na moje słowo dadzą; ale na drugi raz muszą być dwa podpisy. Niech pan o tem wie naprzód. Dwa koniecznie.

— Próżne gadanie, ojciec nie podpisze.

— Przecież pan ma też matkę.

— Matka... A tak, prawda!...

— Ona może podpisać. Czego to matka dla dziecka nie zrobi? Naprawdę, taki podpis niewiele wart, każdy adwokat powie, że nic nie wart, ale nasze żydki nie mają adwokackich grymasów. Oni wezmą, moja w tem głowa. Niech pan zawczasu pomyśli, bo ja nie będę mógł inaczej dostać ani jednego grosza.

— Dlaczegoż dotychczas dawali?

— Ja panu wytłómaczę. Niech pan posłucha, każda rzecz ma swój początek, swój środek i swój koniec, tak samo i kredyt. Początek jest z jednym podpisem, środek z dwoma, a koniec może się obejść bez żadnego podpisu, bo nikt nie chce kredytować, chyba na zastaw. Niech się pan nie dziwi, to zwyczajne rzeczy. Oni wiedzą, że pan będzie miał duży majątek, ale tymczasowo

pan nic nie ma, bo wszystko jest w ręku ojca, żądają więc podpisu ojca, albo, w najgorszym razie, matki...

— Na to ja nie mam sposobu.

— Ojoj, żebym ja tak majątek miał, jak pan sposoby ma.

— Ciekawym?

— Są, na moje sumienie, są.

— To mi je daj, kiedyś taki mądry.

— O innych teraz mówić nie będę, wspomnę tylko jeden, ale dobry.

— Naprzykład?

— Dlaczego się pan nie żeni?

— Zkądże ci to do głowy przychodzi?

— Bo to jest... sposób. Gdyby się pan ożenił, to ojciec dałby panu gospodarstwo, a żona posag. Pan byłby sobie panem, a tymczasem jest pan tylko pańskim synem, to duża różnica. Trzeba się ożenić, ja panu każę to zrobić, ja, Icek Ufnał.

— Idź do licha, rozkazów twoich nie myślę słuchać. Zrób, co masz zrobić i wracaj zaraz, bo mi pilno. Wiesz, że za fatygę dobrze płacę.

— Idę, już idę. Pieniądze przyniosę, ale to nie na długo wystarczy, termina nadcho-

dzą, a insze łajdaki mają taką naturę, że jak tylko przyjdzie termin, to zaraz lecą upominać się, a jeżeli im nie dać, robią gwałt. Nie każdy jest delikatny. Będzie ambaras, trzeba zawczasu myśleć, żeby mieć czem zaspokoić pretensye.

— No, niech tam, co będzie, to będzie mamy czas.

— Nie bardzo.

— Jeszcześ tutaj?—krzyknął rozgniewany młodzik—na co jeszcze czekasz?

Icek wybiegł co żywo. Jedynak wzburzony zaczął chodzić po stancyi, nierówna podłoga skrzypiała pod jego ciężarem, kopczą lampka rzuciła blask czerwony na zakurzone ściany, obdarta kanapę i stół, przykryty brudną serwetką.

Spojrzał na zegarek, była już blisko szósta, a na siódmą zaprosił kilku przyjaciół.

Byli to pisarze z różnych kancelaryj, wykolejeni młodzi ludzie, a wśród nich prym trzymał podtatusiały, ale jeszcze krzepko trzymający się jegomość, filut i wyga, ex-ofycyalista, dziesięć razy wypędzony ze służby. Mieszkał on od pół roku w miasteczku, dokąd przybył niby to w celu szukania me-

tryk, potrzebnych mu do prowadzenia procesu z rodziną, która podobno skrzywdziła go niegdyś przy działach. Nazywał się ten pan Telesfor Ździebelko, był krępy, otyły, miał twarz szeroką, czerwoną, duże wąsy i hiszpankę. Ubierał się jaskrawo, na wszystkim się znał, o każdym przedmiocie rozprawiał i pieniędzy na wszystkie strony pożyczal, dając słowo honoru uroczyste, że jak tylko proces wygra, natychmiast z najgołęszem podziękowaniem zwróci.

Proces, ma się rozumieć, był poważny, chodziło o duży majątek ziemski i o kapitały. Majątek znajdował się podobno w jakiejś gubernii, a kapitały w jakimś banku, ale bliższych informacji pan Michał nie podawał. Byli tacy, którzy temu uwierzyli i pożyczki dawali, a przede wszystkim młody Talarowski, ten bowiem widział w panu Telesforze wzór szyku, elegancji i umiejętności światowego życia—i pragnął ze światłych jego rad i wskazówek, o ile możliwości, korzystać.

Przyszedł pokrzywdzony przez rodzinę jegomość pierwszy, na kanapie się rozsiadł, cygaro zapalił.

— Nie masz pojęcia, kochany Adasiu — rzekł—jak mi się już ta mieścina sprzykrzyła. Abym tylko wydobył jeszcze kilka dokumentów, niezbędnych do procesu, pakuję manatki i uciekam, gdzie pieprz rośnie. Nie chcę znać tego kąta! Ciebie jednego będzie mi tylko żal, boś cbłopak dobry, ładny, sprytny i szkoda, żebyś się tu marnował. Uroczyste słowo honoru daję, że szkoda, a wiesz, że nigdy nie kłamię.

— Cóż mam robić? — rzekł z westchnieniem Adam.

— Oto mi dopiero pytanie! Co robić? W świat iść, w szeroki świat, zobaczyć dużo, poznać dużo, użyć dużo, przynajmniej miałbyś co wspominać na starość, a tak co? Na wsi widzisz kapustę i konopie, tu w miasteczku brudny zajazd Jojny i fałszowane trunki. A towarzystwo? Powiedz szczerze, czy ty masz tu jakie towarzystwo?

— Przecież czekam na...

— Ha, ha! Alboż to się liczy! Trzymaj się z nimi kompanię, bo na bezrybiu i rak ryba, a trzeba przecież z kimś porozmawiać, zjeść, kieliszkiem się trącić, w karty zagrać, ale uroczyste słowo honoru daję, że oprócz

Buda na karcz.

mnie jednego, to wszystko hołota, bez żadnej polityry i bez manier. Ach! gdy proces wygram, to jak mnie żywego widzisz, oprócz ciebie jednego, nikogo z nich znać nie zechcę. Mówię ci, Adasiu, słuchaj ty doświadczonego człowieka, korzystaj z okazji i jedź ze mną, ja ci pokażę świat, jakiego nie znasz i może nigdy nie poznasz. Szkoda, szkoda, że położenie moje nie odpowiada intencjom serca. Gdybym proces już wygrał, to bez żadnego gadania zabrałbym cię na swój koszt. Oddałbyś kiedy, to dobrze, nie oddał, drugie dobrze, bo ja dla przyjaciela cały jestem, ale cóż robić, procesu jeszcze nie wygrałem... Możliwy to urządzać w inny sposób, to jest wyjechać tymczasowo na twój koszt, a po skończonym procesie, gdy wywindykuję, co mi się należy...

Przez uchylone drzwi zajrzał Icek, Adam z krzesła się zerwał i wybiegł do sieni...

Gdy powrócił po dość długiej chwili, Ździebelko spojrział na niego znacząco.

— Adasiu kochany — rzekł — z pociechą widzę, że ty jednak umiesz sobie radzić na świecie.

— Dlaczego? — odrzekł zmieszany młody człowiek.

— Ten żyd...

— To biedny żydzina z kolonij, znajdujących niedaleko naszego majątku. Załatwia mi on niekiedy drobniejsze sprawunki, chodzi na posyłki. Zwyczajnie, jak faktor. Przyznasz pan, że trudno za najmniejszym głupstwem chodzić samemu.

— Szczególniej za drobną pożyczką... Już się, kochaneczku, nie zapieraj, bo mnie nie zmanisz. Ja mam takie oko, że od jednego wejrzenia poznam, czego taki faktor żąda, czy przychodzi po pieniądze, czy z pieniędzmi, czy ma chęć dowiedzieć się o co... Nie zapieraj się...

— No, więc tak; przyznaję, zabrakło mi trochę i on mi przyniósł. Powiedziałem panu, prawdę, ale proszę o sekret, na co kto ma wiedzieć?

— Oczywiście, bądź spokojny. Niechby się zwiedzieli, że masz większą sumę, zarazby wyludzili wszystko od ciebie. Nie zdradzaj się z tem, co posiadasz, Jojnie nie płąć; jeżeli karta iść nie będzie, nie hazarduj. Wogóle rządz się tak, żebyś, wstając od stołu,

trochę grosza miał, a jak się wszyscy rozejdą, to ja ci wtedy coś powiem. Uroczyście słowo honoru, że mam myśl doskonałą, za którą mi podziękujesz. Cudowność mego pomysłu polega...

Nie dokończył zdania, albowiem przerwali mu je goście, przez Adama zaproszeni. Czterech ich było. Mała stancyjka napelniła się hałaśliwym gwarem i dymem tytuniowym, zrobiło się w niej duszno tak, że trzeba było otwierać drzwi do sieni, a właściwie do stajni.

Jojna znosił różne przysmaki i trunki, zachwalając, że równie dobrych rzeczy ani w Warszawie, ani w innych jeszcze większych miastach dostać nie można.

Towarzystwo ożywiło się, pito zdrowie kochanego «dziedzica,» tak bowiem towarzysze nazywali Adasia, opowiadano różne dykteryjki, w czem szczególnie celował pan Telesfor.

Nareszcie jeden z obecnych wydobyl z kieszeni talię kart i rzucił ją na stół.

— To najlepsza rzecz! — zawołał — albo moja, albo twoja; przynajmniej człowiek ma rozrywkę i może się zabawić.

— Tylko nie wysoko, nie wysoko!—ostrzegal Zdziebelko, mówiąc niby do całego towarzystwa, a mając na myśli Adasia—ja lubię grać dla przyjemności, ale brzydzę się wszelkim hazardem. Zaczniemy od dziesiąteczki—zakonkludował, kładąc na stole grubą, miedzianą monetę.

— Zdrowie fortuny! — krzyknął właściciel kart.

— Nie pleć głupstw! — odezwał się jego sąsiad — Fortuna nigdy nie choruje i jest zdrowa bez twoich życzeń, oto lepiej wypijmy zdrowie dam, a ponieważ tu nie ma żadnej, przeto zdrowie tej, o której nic wam nie umiem powiedzieć.

— A coż to za jedna?

— Spytajcie dziedzica, on będzie wiedział najlepiej.

— Dziedzicu, no, dziedzicu, słyszy dziedzic?

— Czego chcecie?

— Godzi się powiedzieć przyjaciółom, co to za jedna?

— Ale jaka? Która?

— Wiemy tylko tyle, że jest śliczna i że

nasze miasto widziało ją chyba po raz pierwszy; musiałby ją przecież ktoś zauważyć.

— No proszę...

— Niech-no dziedzic nie udaje, że jej nie zna. Podobno to sąsiadeczka i bliska—odezwał się siedzący obok Adama brunet, którego nazywano Felkiem.—Powinszować, powinszować. Takie sąsiedztwo jest bardzo przyjemne.

— Ty coś wiesz, Felek?

— Bardzo niewiele. Widziałem ją również jak i wy, zacięła mnie również, jak i was, więc zasięgnąłem języka i dowiedziałem się, że jest z kolonij szlacheckich, z tych, co za folwarkiem naszego dziedzica, że ma na imię Hanusia, jest wnuczką starego, podobno nawet zamożnego kolonisty.

— No?

— I więcej nic.

— To niewiele.

— A jeszcze jedno. Gdyby siwek naszego dziedzica umiał mówić, to dowiedzielibyście się czegoś więcej.

Adam zaczerwienił się mocno.

— Słuchajcie-no—rzekł—plećcie, co wam się tylko podoba, ale do mego siwka, ani

do mego sąsiedztwa proszę się nie wtrącać, bo...

— A, przepraszam, bardzo przepraszam!— odezwał się złośliwie. — Jeżeli dziedzic ma poważne zamiary, to co innego, to nas dziedzic zaprosi na drużbów. Mam frak, chwilowo nie w domu, ale mam. To będzie ślicznie. Dziedzic się ożeni, ustatkuje, będzie siedział na folwarku we dworze, z jaśnie wielmożną dziedziczką, będzie jadł, pił, polował, czwórka w lejc jeździł. Jojna, ma się rozumieć, puszczony zostanie w trąbę, razem ze swoim zajazdem, a jeżeli podoba się dziedzicowi zaprosić swoich przyjaciół, to przyjaciele nie zrobią wstydu godnemu domowi i przyjadą. Przyjedziecie panowie?

— Przyjedziemy, przyjedziemy!

— Cicho, do dyabła!—zawołał Zdziebełko, uderzając pięścią w stół— nie plećcie głupstw, Adaś się z taką dziewczyną nie ożeni, choćby była sto razy piękniejszą. Cóż to wam się zdaje? Ja nie pozwoliłbym na to. Może on patrzeć wyżej i grubo wyżej. Prawda, Adasiu?

— Prawda, ale czy tak, czy owak, ja nie chcę, żeby o niej mówiono.

— Dyskrecya!—wtrącił mentor.—Co u milion dyabłów, znacie się na ratafi, na esencji ponczowej, a nie chcecie znać się na dyskrecyi.

— Owszem, owszem!

— Dość! Macie pić, to pijcie, macie grać, to grajcie, a język chcecie trzymać za zębami. Ja wam to mówię, ja, przyjaciel Adasia!

— Taki przyjaciel!

— No, no, ostrożnie; niechno ja wygram proces, to zobaczycie, czy jestem przyjaciel, czy nie!

— Dość, dość! Trzymam bank. Kto chce grać?

— Ja!

— Ja!

— Wszyscy gramy. Poczóż przyszliśmy tutaj?

— Więc idzie?

— Idzie!

— Pół rubla bijesz?

— Biję!

— Ale pieniądze przed procesem, w kartach kredytu nie ma.

— Po procesie będę płacił złotem, tymczasem mam trochę miedzi i papierek, a gdyby mi zabrakło, to jest Adaś, on dobry chłopiec, przyjaciela w potrzebie nie opuści...

— No, no...

— Czy dziedzic odpowiada za swego przyjaciela? — zapytał młody człowiek, trzymający bank.

— Płacę.

— To i owszem, w takim razie gramy.

Zaczęła się gra zawzięta, namiętna, stawki w istocie drobne, dla tych graczy stosunkowo do ich stanu majątkowego i dochodów były jednak ogromne, ale nadzieja wygranej dodawała odwagi i zachęcała do ryzyka.

Najbrzydsza ze wszystkich namiętności ludzkich: chciwość, malowała się na twarzach, trunki i duszne dymem napelnione powietrze, napędzały krew do mózgów. Wargi drgały, w źrenicach migotał ogień, od czasu do czasu z ochrypłego gardła dobywało się przekleństwo.

Jojna coraz to wsunął się do izby, jak cień, dyskretnie, na palcach, żeby nie robić

szmeru i nie przeszkadzać; napełniał szklanki i znikał.

Grający pili machinalnie, bezwiednie prawie. Gorączka chciwości ich trawiła, w gardłach schło, więc odruchowo sięgali po szklanki, wypijali, co w nich było i wnet usłużny Jojna napełniał je znowu.

Fortuna była, jak zwykle, kapryśna, szczęście zmienne, pieniądze przechodziły z rąk do rąk, ale wybitnego ulubieńca losu nie było — przegrywający odgrywał się szybko, ten, który wygrał, tracił zaraz wygranę. Ów brak rezultatów większych jeszcze bardziej rozpalał graczy; podwajali i potrajali stawki, a Jojna ciągle robił swoje.

Nareszcie jeden z biesiadników zachwiał się i padł na ziemię, jak długi—stracił przytomność. Wypadek ten powitano wybuchem śmiechu, zawołano Jojnę, ażeby usunął trupa.

Usłyszawszy taką propozycję, właściciel zajazdu zbladł i miał ochotę uciec, lecz przytrzymany, zrozumiał, o co idzie i energicznie zabrał się do rzeczy. Pijanego młodzieńca złożono w sąsiednim numerze, aby się wyśpał i wytrzeźwił. Jojna położył mu pod głowę wiązkę siana, żeby śpiący miał wy-

godę i żeby, broń Boże, nie dostał uderzenia krwi na mózg.

Wypadek ten przerwał grę, ale na krótko. Adam spojrział na zegarek.

— Dopiero pierwsza—rzekl.

— Głupia godzina! — zadecydował Żdziebelko.

— Dlaczego?

— Bo głupia, nie jest ona ani późna, ani wczesna. W długich moich wędrówkach po świecie zdarzało mi się wracać do domu o różnych godzinach, ale o pierwszej nigdy. Spodziewam się, że jeszcze gramy?

— Naturalnie! Różnice są śmieszne jeden przegrał kilka rubli, drugi wygrał kilka rubli — czy warto trudzić się i marnować noc dla takiego głupstwa?

— Niech-no ja tylko wygram—rzekl Żdziebelko — proces, to nigdy do małej gry nie usiądę. Sensu to niema. Rozumiem dużą stawkę, albo starosta, albo kapucyn.

— Więc grajmy.

— Grajmy tylko inaczej. Szkoda czasu.

— Racya, niech będzie albo tak, albo tak!...

— Ale co prawda, oczy ma ona prześliczne!—odezwał się brunet.

— Kto?

— Ona.

— Znowuż? — rzekł Adam, podnosząc się z krzeselka z groźnym gestem.

— Dajcie pokój! Nie psujcie gry, pieniądze leżą na stole, a oni się kłócą o jakieś tam oczy.

— Tembardziej, jeżeli ktoś ma zamiary poważne...

— Jakie mam, to mam! — krzyknął Talarski — gdybym chciał, byłaby moją żoną, gdybym chciał, przyszłaby tu na zabawę, ale czy tak, czy owak, wam do tego nic!

— Oho! Akurat zarazby przyszła!

— Nie wierzysz?

— Nie.

— Może zakład?

— O co?

— Konia stawiam, a ty?

— Ja nie dziedzic, koni nie mam gdzie trzymać.

— To o dwieście rubli.

— Nie stać mnie na taką sumę!

— No, to o co sam chcesz.

Żdziebełko rozdzielił ich.

— Tfu!—zawołał—do czego taka zabawa! Zamiast grać przyzwoicie, robicie kłótnie i awantury. O co? po jakiego licha?

— Ja go przekonam! — wołał zaperzony Adam—ja go muszę przekonać. Nie dziś, to jutro, nie jutro, to za miesiąc, ale przekonam, a wtenczas powiem mu, że jest błazen!

— Panowie, panowie! — mitygował Telesfor—wszystko dobre, ale nie mówcie sobie po imieniu, bo to zagrubo. Kto trzyma bank?

— Ja trzymam!

— To niechże się raz zacznie.

— Owszem, owszem...

Zaczęli grać, ale tym razem fortuna była bardziej stanowczą. Adam przegrywał, pieniądze przechodziły do bruneta; jeden, drugi, trzeci poniter odpadł, zostali tylko ci dwaj przeciwnicy.

Pomimo znaków ostrzegających ze strony Telesfora, pomimo silnego trącania, Talarowski grać nie przestawał dotąd, dopóki nie przegrał ostatniego rubla.

Brunet zgarnął pieniądze i schował je do pugilaresu.

— Grasz na kredyt?—zapytał Adam.

— Nie.

— No, to idź do...

— Pójdę do domu—odrzekł brunet i wyniósł się ze zdobyczą czempredzej.

Adamowi tchu zabrakło. Uderzył pięścią w okno, drobne szybki wypadły z brzękiem.

— Co pan wyrabia? co pan wyrabia? — zawołał Jojna, wbiegając do stancyi.

— Chłódzę się, bo mi gorąco, a ty mi w drogę nie włącz, bo będzie ci ciepło.

Jojna przestraszony uciekł i zamknął się na klucz w wielkiej sali. Ździebelko próbował uspokoić swego młodego przyjaciela.

— Kochany Adasiu — przemawiał łagodnie — odemnie możesz przyjąć parę słów prawdy. Narobiłeś dziś masę głupstw.

— To co? Wolno mi...

— Wolno, wolno, nie przeczę; wszystko ci wolno, ale nie wszystko wypada. Są takie rzeczy, co apropo i takie, co nie apropo. Naprzód niepotrzebna była ta kłótnia.

— On mnie zawsze wyzywa, on mi zawsze dogaduje, chce okazywać swoją wyż-

szość. Jaka? Igra, igra, ale też doigra się kiedyś.

— Ty na niego pluń i nie zważaj. Z tą dziewczyną także wyjechałeś niepotrzebnie, zakładanie się nie miało żadnego sensu.

— A ja swoją drogą zakład trzymam!

— To głupstwo, Adasiu, powtarzam ci, że to, z pomiędzy wielkich, może największe głupstwo. Ja, na przykład, choćbym nawet proces wygrał, to jeszcze nie puszczałbym się na takie awantury.

— Wolna wola.

— Takie interesa są niebezpieczne. Zawsze znajdzie się jakiś ojciec, brat, swat, wujaszek...

— No, i co?

— Awantura gotowa.

— Zapozwaj mnie?

— To swoją drogą, ale i obić mogą, i bywały już takie zdarzenia. Ja sam, w moich wędrówkach po świecie...

— Et, dałbyś pokój—odrzekł zniecierpliwiony.

— Źle, Adasiu, bardzo źle! Ostrzegłem cię, żebyś nie grał—grales; prosiłem, żebyś wstał od stołu z pieniędzmi — wstałeś bez

grosza; miałem ci coś powiedzieć, gdy się wszyscy rozejdą—nie powiem ci już nic, bo co gadać z gołym? Naostatek stłukłeś żydowi, raz, dwie, trzy, cztery, pięć szyb. Ładna konduita! Teraz siedzimy w przeciagu, tobie to nic, bo masz piękną czuprynę, ale ja, jako widzisz, jestem trochę łysy.

— Nie bronię panu iść do domu.

— Dokąd?

— Do domu.

— Żartujesz, przyjacielu! Skrzywdzony przez rodzinę, tymczasowo nie mam ani domu, ani mieszkania, samotny jestem, jak wróbelek na dachu; nocuję zaś u przyjaciół, u znajomych, gdzie się zdarzy. Dziś tu, jutro tam. Jak teraz, zanocuję tu, u ciebie, tylko pozwolisz, że włożę czapkę na głowę, bo katar pewny...

— To mi wszystko jedno.

Stękając, kaszłąc, Ździebelko ułożył się na kanapie, a wcisnąwszy czapkę na głowę, otulił się wytartym paltotem i usnął.

Adam siedział przy stole, z głową apartą na rękach. Lampka zagasła, dogorywająca świeczka w mosiężnym wysokim lichtarzu rzucała migotliwe blaski na brudny stół, po-

wywracane szklanki i butelki, na rozrzucone karty.

Przed oczami młodego człowieka, w pół na jawie, w pół we śnie, przesuwały się najdziwniejsze obrazy.

Towarzysz zabawy, który go do kłótni wyzywał, Icek, wymagający podpisu ojca lub matki, Ździebelko z propozycją wędrówki, kuszący, ukazujący w dali rozkosze wielkiego a nieznanego świata, a po nad tem wszystkim obraz Hanusi.

Ta dziewczyna wpadła mu w oko, nieraz marzył o niej i myślał, i kto wie, czy nie prosiłby rodziców, aby ją za synową przyjęli, ale bogactwo ojca zaślepiało go. Sądził, że jako syn posiadacza folwarku, oraz fortuny, której rzeczywistej wielkości nie znał, ale o której bajeczne rzeczy słyszał, popełniłby karygodne głupstwo, biorąc za żonę prostą szlachciankę z kolonij.

Ździebelko podtrzymywał go w tem mniemaniu, kładąc mu wciąż w głowę, że jest do wielkiego losu przeznaczony; częste hulanki, nadużycia trunków, gra hazardowna, złe towarzystwo, próżniactwo, wszystko to zaślepiało rozum, a natomiast wzbudzało

dzikie, niepohamowane instynkta i namiętności.

Czuł w sobie nadmiar sił i gotów był zerwać wszelkie pęta moralne, ważyć się na wszystko.

Obraz pięknej dziewczyny wywoływał burzę w jego myślach, krew przyśpieszonym, gwałtownym tętnem napływała mu do głowy, oczy nabiegały krwią, ręce się trzęsły.

Nie mógł wysiedzieć dłużej, zerwał się ze stołka, wychylił trunek z butelki, jaka mu wpadła pod rękę i wybiegł do sieni. Po ciemku okulbaczył konia, okiełzał go, wskoczył na siodło i pognął jak wicher, nie zdając sobie sprawy, dokąd jedzie i po co?...

Koń, niekierowany, wpadł na drogę, którą zwykle przebywał i cwałem pędził do domu.

Jeźdźcowi ostry wiatr jesienno-porannego świstał w uszach, ciał w oczy, chłodził twarz rozpaloną. Koń rwał, co miał siły, szalał, bryzgał pianą, nareszcie, wyczerpany zupełnie, począł zwalniać biegu i poszedł stępa.

Z zapienionej szyi, z karku, z piersi, pianą pokrytych buchała para. Adam otrzeźwiał trochę i zaczął przychodzić do siebie.

Dreszcz nim wstrząsał, zapiał palto pod szyję, podniósł kołnierz, spojrzal dokoła.

Znajdował się o milę drogi od domu, dzień już się zrobił zupełny, od wschodu światło słoneczne czerwone, jak krew, przebijało się przez białawe obłoczki, rozlewające na szerokiej przestrzeni nieba jakby lunę pożarną; wiatr chłodny pociągał z oddali; z siedzib ludzkich wznosiły się słupy dymu, zwijając się w fantastyczne kłęby, skręty i zagięcia. Na polach, na łąkach, pusto było, na gościńcu ani żywego ducha.

Niedaleko folwarku dopiero, na drodze, ukazał się jakiś człowiek. Szedł on szybko, podpierając się kijem, ubrany w krótki kożuszek, buty z cholewami, na głowie miał okrągłą barankową czapeczkę.

Pieszy z jeźdźcem spotkali się niedaleko figury. Pieszy rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — i nie czekając odpowiedzi zawołał: — Adamek!

Jeździec zatrzymał konia, spojrzal na mówiącego i odpowiedział z naciskiem:

— Jeżeli mnie oczy nie mylą, to pan Jan?

Słyszałem, że pan powrócił, ale przyznaję, że nie poznałbym pana odrazu.

— A przecież, panie Adamie—odrzekł Janek—nie tak znów dawne czasy, kiedy bawiliśmy się razem w Sakowie?

— Tak panie, bawiliśmy się jako dzieci i w Sakowie — ale gdzie nasze dzieciństwo, gdzie Saków? Teraz zupełnie co innego.

— Święta prawda, zupełnie co innego, ludzie odmieniają się.

— Bardzo naturalnie. Dokądże pan Jan wybrał się tak rano?

— Do kowala idę, na Zagrody, obejrzeć robotę.

— Pan ma podobno coś budować.

— A tak, ale to dopiero z wiosną, teraz materiały gromadzę; póki czas, pole karczuję.

— I cóż pan ma stawiać?

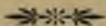
— Dom, zabudowania, młyn. A panu dobrze idzie na folwarku?

— Spodziewam się; od wiosny ekonoma przyjmę. Co mi za niewola samemu harować.

— Zapewne.

— Mam czem ludziom płacić. Do widzenia, panie Janie.

— Do widzenia, panie Adamie?





VIII.

Tak się z owemi uroczystemi osiedlinami zwłóczyło, że się dopiero w połowie listopada odbyły.

Wybrano na to dzień św. Stanisława Kostki, dlatego, że w Sakowie był kościół pod Jego wezwaniem, że to święto zawsze w niedzielę przypada i nareszcie, że między kolonistami było kilku tego imienia.

Po południu przyjechał ksiądz z sąsiedniej wioski, obszedł wszystkie domy i budynki, pokropił wodą święconą i do zgromadzonych pięknie przemówił, życząc im, aby na nowem miejscu pobytu żyli w zgodzie, pracowali uczciwie, aby jeden drugiemu, jako brat

bratu, we wszystkim pomagał, a wszelkiej zwady, kłótni i procesu, jak ognia się strzegł.

Zrozumieli koloniści, że jest w tych słowach trochę przymówki i w duszy przyznał każdy, że nie bezzasadnej, bo wiadomo, że zagonowy szlachcic do procesu, jak ryba do wody, że każdemu sąd aż pachnie.

Ten i ów westchnął ciężko, pomyślał sobie, że jest człowiek grzeszny i ułomny, ale swoją drogą od spraw zamierzonych odstąpić nie myślał i w głowie mu to nawet nie powstało.

Rodem czubate kurki; dziad procesami się wsławił, ojciec znany z nich był, dlaczegóżby synowie i wnuki gorszymi być mieli?

Pomimo wyraźnej do procesu przygrywki, przemówienie było piękne, życzliwości pełne, a takie serdeczne, że kobiety popłakały się, a nawet i mężczyźni mieli łzy w oczach. W imieniu kolonistów Wincenty księdzu pięknie podziękował i zaprosił pod swój dach, aby spoczął trochę i chlebem, solą, a dobrą wolą nie wzgardził.

W obszernej stancyi Wincentego zebrała się sama starszyzna, co najpoważniejsi gospodarze: Wątorzek Franciszek, Tebinka Mi-

chał, Domarad Ignacy, Kołowrót Andrzej, Rybak Józef, Odsiebie Jakób, Buława Walenty, Paliwoda Dominik i wielu innych.

Paliwoda, widząc, że Wincenty miód stawia na stół, z pięknem przemówieniem wystąpił o pszczołkach, które są rolnikom podobne, bo przez całe lato uganiają się niebogiem po polach, a zimową porą mogą dopiero odpocząć i używać wywczasu i miodu. Tu znów dowiódł wyższości człowieka nad pszczołą, boć ona jednak, chociaż taka pracowita, taka nad maleńkość swoją mądra, miodu do picia zrobić nie potrafi, a ten jest przecie lepszy od owego w plastrach, bo krew rozgrzewa, język rozwiązuje, ręce do uścisku, a serce do kochania wzywa.

Śmieli się wszyscy z tego przemówienia, gdyż było składne, dowcipne, przysłowiami suto okraszone; śmieli się i proboszcz się śmiał i powiedział wyraźnie, że nie spodziewał się znaleźć na koloniach takiego oratora.

Dominik uśmiechnął się na to, mrugnął okiem i rzekł:

— Wielmożny proboszczu, osobo duchowna, ojczy i dobrodzieju, za pochwałę dzie-

kuję, nie zasłużyłem na nią, proszę o cierpliwość i wysłuchanie do końca.

— Owszem, owszem...

— Pszczółki mądre, z łaski Opatrzności nietylko mają zdatność zbierania najlepszych smaków i wonności z drzewiny, kwiatów i pachnącego ziela; dał im jeszcze Pan miłosierny, który o każdym, najmarniejszym robaczku pamięta — i żądlecko maleńkie, ale ostre, aby go w obronie od napastników używały. I któż weźmie za złe owej pszczółce pracowitej a zabiegliwej, że gdy ją złość cudza do żywego dobodzie, albo gdy ją jakie stworzenie na majątku chce ukrzywdzić, onego ostrego żądlecka użyje? Broni się ona nieboga, jak może i czem może, boć sądu nie zna, pozwać nie potrafi, nie rozumie biedactwo, że jest na świecie taka i owaka instancya, różne apelacye i kasacye. Kto jej za złe to weźmie? Każdy broni się od krzywdy, jak może... Właśnie to tylko chciałem powiedzieć o pszczółce.

Ksiądz się uśmiechnął, zrozumiał, że była to delikatna odpowiedź na przymówkę i rzekł:

— Wiem ja, do czego to zmierza, trafieś acan zgrabnie. Pomówimy o tem jeszcze kiedy, a teraz bywajcie zdrowi. Bawcie się miodem, jak pszczołki, skoroście miodu nazybierali — a żądelek w ruch nie puszczajcie, bo to nie dobrze...

— Niechże dobrodziej jeszcze z nami zostanie.

— Choć chwilkę!

— Momencik!

— Nie mogę, moi kochani, czasu nie mam. Zostańcie z Bogiem!

— Skoro tak — rzekł Wincenty — to trudno; zatrzymywać nie śmiemy. Koniki przed domem.

Wyprowadzony przez wszystkich, pożegnany, ksiądz odjechał, szlachta zaś hurmem wróciła do stancyi.

— Dobrze Dominik powiedział — rzekł Wątopek.

— Ano, skoro kto do mnie pije, to i ja do niego muszę. Z uszanowaniem i okolicznie, ale prawdę trzeba było rzec.

— Ma się rozumieć—dorzucił Tebinka — żeby sprawy nie były potrzebne, toby i sądów na świecie nie było, a skoro są, to

znaczy, że już takie założenie, żeby się ludzie procesowali.

Wincenty głos zabrał.

— Kochani przyjaciele i sąsiedzi—rzekł—prawda to jest, że lepsza słomiana zgoda, aniżeli złoty proces, ale nie zawsze można. Świat się nie przerobi, będzie taki, jako i był. A teraz was proszę, rozgośćcie się. Już tam w drugiej izbie stół zastawiony. Proszę wszystkich, całą naszą wioszczyne. Stary i młody, mężczyzna, kobieta, dzieciak, wszyscy dziś moi goście. Co Bóg dał, czem chata bogata, na to zapraszam sercem ochotnem i szczerem.

Dominik tylko na to hasło oczekiwał, z przyjemnością słyszał on szcęk talerzy, łoskot przysuwanych stolików i gwar ożywionej rozmowy.

Do stancyi wbiegła Hanusia. Wyglądała prześlicznie, z długimi warkoczami, w których końce wstęgi wplotła.

Była zarumieniona, wesola, szczęśliwa, cała jej postać tchnęła młodością i życiem.

— Dziaduniu — rzekła — niech dziadzio prosi panów sąsiadów, sąsiadki zaś babcia w tej stancyi ugości.

Przed domem dały się słyseć dźwięki muzyki.

— A to co?—spytał Wincenty.

— To, dziadziu, chłopcy sprowadzili żydów muzykantów.

— A tyś rada?

— Mój Boże! Dlaczegoż nie mam rada być? Czy dziadzio nie tańczyli za swoich młodych lat?

— Ja ci powiem, Hanusiu — rzekł Dominik — dziadzio ongi okrutnie na weselach i zabawach dokazywał, aż drzazgi z podłogi leciały. Chociaż ja młodszy, ale pamiętam.

— Wszystko ma swój czas, kochany Dominiku.

— A widzi dziadzio — rzekła tryumfująco Hanusia i wybiegła ze stancyi.

— Śliczności dziewczuszka! — rzekł Paliwoda—i gdybym nie miał swojej baby i kopy lat na karku, tobym się wam, panie Wincenty do samej ziemi pokłonił.

— Ho, ho!—odezwał się z przekąsem Wątorek—także się przyśniło.

— Dla komplementu się mówi i dla przykładu.

— No, chodźcie, sąsiedzi kochani, boć

tam już pewnie moja kobiecina co gorącego postawiła, tedy wystygnie. Gawędzić można i przy jedzeniu.

Stół uginał się pod ciężarem mis pełnych mięsiwa; wszystkiego przyrządzono tyle, że całą wieś przez trzy dni żywiłoby tem można. Wincenty wystąpił, co się zowie; spaśłego wieprza na ten cel poświęcił, prosił kilka, barana, a i z miasta dwie ćwierci mięsa przywiózł.

Przez kilka dni piekło się to, wędziło, gotowało, smarzyło; Wincentowa padała ze znużenia, pomimo pomocy Hanusi i kilku sąsiadek.

W kącie, na koziołkach, stała beczka piwa, na stole oddzielnym pod oknem las flaszek najrozmaitszych, a przez otwarte drzwi do stancyi, która zarazem i za kuchnię służyła, dolatywał aromatyczny zapach krupniku, który się w sporym kociołku gotował.

Specyjalnie drobno-szlachecki to trunek; robi się z miodu, masła, korzeni i okowity, a nie ma podobno takiego siłacza, którego by z nóg nie zwałił.

Dominik w siódmym niebie był; zbliżał się powoli do stołu, upatrując miejsce dogodne,

żeby wszystko, co najlepsze, miał pod ręką. Ze był niewielkiego wzrostu, więc zniknął prawie za górą kielbas, nastroszonych na misie.

Wątopek, który z przeciwnej strony stołu usiadł, dogadywał:

— A gdzież to kochany Dominik, gdzie wielki orator nasz?

— Jestem, jestem! — odezwał się Paliwoda — jestem za górą, z której, poczekawszy trochę, dolina się zrobi.

— Sąsiedzi kochani i przyjaciele, proszę — mówił Wincenty. — Gorzałki, kto chce, w ręce Dominika.

— W ręce Franciszka.

— Kolejką!

— Tak, kolejką, po porządku, za słońcem, od wschodu do zachodu, jak to jasne słoneczko chodzi, tak i kieliszek pomiędzy nas niech idzie.

— Właśnie podług obyczaju.

— A z powrotem od zachodu znów — wtrącił Wątopek.

— Gadanie nieporządne i sprzeczność niepotrzebna — rzekł Paliwoda — na porządku świat stoi, a choćby się nawet kto upił, byle

tylko z porządkiem, to zawsze porządniej wygląda. Każda rzecz ma swoją drogę.

— Bądźcież sobie radzi, bracia kochani—
prosił Wincenty.

— Owszem, ale gospodarz niech siada!

— Niech siada!

— Sługa ja wasz dziś, kochani bracia —
odrzekł Wincenty — i marny byłbym sługa,
żebym siadł.

— Ale siadajcież, swoiśmy.

— Tembardziej, tembardziej, — powtarzał
stary i wzięwszy ogromny, żelazny widelec
do ręki, dokoła długiego stołu chodził i po-
tężne kawały z misy gościom na talerze na-
kładał, to znów piwo z dzbana do szklanek
nalewał, bacząc, żeby nikomu nie brakło,
żeby nikt pominięty nie został.

Dominik zerwał się z ławy i do Wincen-
tego przypadł.

— Już ty nam, Wicusiu kochany — mó-
wił — dość honoru świadczyłeś, siadajże na-
reszcie, bój się Boga i jedz, bo ci się od
samego patrzenia ckliwo zrobi. Jaby nie
wytrzymał godne słowo daję, same zapachy
zawróciłyby mi w głowie. Siadaj, siadaj,
Wicusiu! Ot, tu, koło mnie, na brzegu. Ze-

chcesz wstać, to wstaniesz bez żadnej przeszkody.

— Tak, siadajcie, panie Wincenty, siadajcie!

— Ty nasz ojciec—pererował Dominik — tyś jak baran w stadzie, a my za tobą szli taki kawał drogi, jak owce. Tyś tu na tych osiedlinach osoba pierwsza, jako że pierwszy upatrzyłeś miejsce, na którym teraz siedzimy. Jak Mojżesz starozakonnych izraelitów z Egiptu, tak ty nas wyprowadziłeś z Sakowa i jeszcze dokumentniej zrobiłeś to, niż Mojżesz, bo on na puszczy został, a ty doprowadziłeś nas do tej ziemi, na której osiedleni jesteśmy i nie byle jak, ale hypotecznie, z uregulowanym tytułem własności, z regentami, ze stemplami, czem się dawni żydowscy naczelnicy nie pochwała. Panowie bracia! każdy, który tu jest i wszyscy, ilu nas tu jest, jakby z jednej piersi i z jednej gardzieli, tchu nie szczędząc, głosu nie żałując, krzyknijmy: Niech żyje nasz kochany, stateczny i sprawiedliwy Wincenty, wiwat!

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy tak potężnie, aż się szyby w oknach zatrzęsły.—Wiwat!—podchwyciła młodzież, wiwat! — wrza-

snęły piskliwemi głosami kobiety, a jednocześnie żydzi muzykanci, w sieni, zaczęli grać jakiś nadzwyczajny huczny utwór muzyczny, który mógł być marszem, polką, galopadą, czem kto chciał.

Gdy się ten hałas nieco uspokoił, Wincenty zawołał donośnym głosem:

— Krupniku!

Wbiegła Wincentowa z jednym łyżkiem, Hanusia z drugim, napełniono szklanki. Wówczas gospodarz podniósł się ze swego miejsca i rzekł:

— Nie każdy umie tak pięknie przemawiać, jako nasz sąsiad Dominik—ja nie potrafię. To też krótko, ale szczerem sercem, dziękuję wam za dobre słowo i życzę, aby na tem miejscu, na które za waszą wolą, a przy Bożej pomocy przyprowadziłem was, wiodło wam się szczęśliwie! Daj wam Boże!

— Daj Boże! Wiwat!

— Wiwat!

Gwar robił się coraz większy, rozmowa głośniejsza, a że w tym rozgardyaszu wszyscy razem mówili, więc jeden drugiego usiłował przekrzyczeć, to też był taki brzęk, jak w ulu, a gorąco, jak w łaźni.

Zona Wincentego w drugiej stancyi ugaszczala kobiety; była tam także moc wszelkiego jedzenia, góry ciasta, czerwona wódka słodka, właśnie w kobiecym guście, i krupnik, który zarówno mężczyźnie, jak kobiecie, a nawet małemu dziecku idzie na zdrowie i na pożytek.

Janek dostał się do tego babińca i na uboczu rozmawiał z Hanusią.

— Śliczna dziś jesteś! - szeptał.

— Naprawdę?

— Jak zorza?

— Eh, gdzie tam, tylko jak dziewczyna, która...

— Co, która?

— Nie powiem. Zgadnij.

— Albo ja mogę wiedzieć, co ty myślisz?

— Czemu kłamiesz? Możesz.

— Ale dokończ, coś miała powiedzieć.

— Ano, że jestem, jak dziewczyna, która chciałaby się podobać komuś.

— I podoba się, oj, jak się podoba!

— Troszeczkę?

— Bardzo, Hanusiu, ładniejszej chyba na świecie nie ma.

— Tak mówisz na żarty.

Buda na karcz.

— Tyle miast przeszedłem, tyle przecież widziałem, a takiej nie. Hanusiu!

— Co?

— Jak ty myślisz, czy dziadkowie oddadzą mi ciebie?

— Chyba oddadzą, ale trzeba czekać.

— To tak ciężko.

— Prawda, ale tyś mocny, udźwigniesz— odrzekła z uśmiechem.—Eh! co tam! w Bogu nadzieja, co będzie to będzie; dziś zabawa, cieszmy się i weselmy. Muzyka jest... Niech-no tylko trochę podjedzą, wyniesiemy stoly i taniec, taniec do samego rana, do białego dnia! Ale ty się pilnuj, Janku, bo ja tylko z tobą tańczyć będę.

— Nie odstąpię cię ani na krok.

— Pamiętaj... Matusia twoja zechce wczesnie do domu pójść, ale ja nie puszczę, bo tybyś ją odprowadził i może nie wrócił...

— Jabym nie wrócił?—rzekł z wymówką.

— Wolę, żebyś wcale nie odchodził. Jest tu stancyjka na osobności, tam matusię zaprowadzę, jeżeli się będzie zmęczeniem wymawiała, niech sobie spocznie i prześpi się, a my będziemy tańczyli.

— Ślicznie mówisz, kochana!

— Ja na ciebie i na tę zabawę całe lato czekałam. O! słuchaj, wstają już! Chodź, pomóż stoły wynieść i innych chłopców zawołaj, w jednym momencie będzie stancya pusta.

Stało się, jak mówiła. W jednej chwili wyniesiono stoły i zaczęła się zabawa; chłopcy i dziewczęta puścili się w zawrotne tany; Janek z Hanusią przodował.

Starsi rozproszyli się po całym domu, pozasiadali na ławach i gwarzyli... Wincenty z Paliwodą zatrzymali się we drzwiach.

— Śliczna para!—rzekł Dominik.

— Niczego.

— Tylko? Ej, ej! gdzie to nasze młode lata, sąsiedzie? Szukaj wiatru, co nad polami przeleciał, szukaj wody, co popłynęła do morza, kwiecica, co niegdyś kwitnęło. Gdzie to, gdzie?

Wincenty spojrział na Dominika i uśmiechnął się pod wąsem.

— Coś was, mój Dominiku, rozmarzyło dzisiaj, że tak często młode lata wspomnacie.

— A tak, wspominam; krupnik człowieka rozgrzewa, a natura we mnie taka oto nie-

godziwa, że gdy widzę taniec, tobym i sam się puścił od pieca, a że jestem stary i nie uchodzi mi z młodzieżą skakać — to mnie zazdrość bierze. Rozumiecie teraz, panie Wincenty?

— Aktóż wam broni puścić się w tany?

— Nie pasuje, nie pasuje...

— Dlaczego? Zabawić się nie grzech, a jeśli zdrowie służy i nogi jeszcze mocne, to czemu nie poskakać?

— Wincenty wszystko pięknie umie wytłómaczyć, ale i ja także coś wiem. Tańczyć, choćbym chciał, nie mogę, bo raz, młodzież by się ze mnie wyśmiewała, a po drugie, jak wam wiadomo, żona moja Weronika, godna kobieta na wszystkie cztery boki, ale w takich rzeczach wyrozumienia nie ma. Wzięłaby mnie na zęby, a wtenczas miałbym dopiero gorzkie życie, przez kilka niedziel...

Szeroko zaczął Dominik tłumaczyć Wincentemu, co to jest kobieta, kiedy się, broń Boże, rozchodzi i zacznie dogadywać; jak trudno się w takim razie przed nią opędzić, gdyż ściga swoją ofiarę, niby komar i choć

nie śmie żądłem ukłuć, ale brzęczy i brzęczy bez ustanku.

Wincenty pociągnął za sobą gadułę, usadził na ławie i zamknął mu usta szklanką gorącego krupniku.

Gwar rozmów nie ustawał, muzyka brzmiała, coraz to ktoś z podochoconych z piosnką się wyrywał, a młodzież tańczyła do upadłego.

Nagle na dziedzińcu zaczęły psy ujadać i turkot kół dał się słyszeć.

Wincenty ruszył się z miejsca.

— Ciekawość — rzekł — kogo to Pan Bóg do nas prowadzi?

— Albo gość, albo podróżny — rzekł stojący obok Wątorek.

— Chyba, że nie gość. Godzina już za późna na gościa.

— A któraż?

— Dziesiątą tylko co zegar wybił.

Kilku kolonistów wyszło przed dom, inni zbliżyli się do okien, zobaczyć, kto przyjechał.

Tańce przerwano, muzyka ucichła.

Nadjechał ktoś parą koni, bryczką na re-

sorach i z latarniami, co wzbudziło ogólny podziw.

Z bryczki wyskoczył młody Talarowski. Przybycie jego nie zrobiło dobrego wrażenia, zabawa ustała, wszyscy prawie jej uczestnicy usiedli, gdzie który mógł i milczeli. Sam Wincenty był zakłopotany i nie wiedział, jak ma tego niespodziewanego gościa powitać.

Hanusia usiadła przy Janku i szepnęła do niego, żeby jej nie odstępował.

Talarowski zdjął palto i wprowadzony przez Wincentego, wszedł do stancyi.

Ubiór jego dość rażąco wyglądał w tem zebraniu ludzi czysto, ale skromnie odzianych. Adam miał na sobie jasne spodnie, pąsowy krawat z ogromnym fontaziem, nadzwyczaj wysokie kołnierzyki, marynarkę akksamitną brązową i rękawiczki jelonkowe żółte.

Wszedł do stancyi śmiało, pewny, że wywoła wrażenie, nie dostrzegając jednak, że na wszystkich ustach ukazały się ironiczne uśmiechy, że młodzież rzuciła spojrzenia, nic dobrego nie wróżące.

— Proszę, proszę! — mówił Wincenty — niechże pan Adam spocznie i... czem chata bogata...

— Ja—rzekł młody człowiek—dopiero może przed godziną dowiedziałem się, że dziś takie u pana Wincentego zebranie i przybyłem. Może trochę zapóźno, ale...

Dominik nie mógł się wstrzymać od przyśmieszku.

— Nic nie szkodzi—rzekł—bo stoi w Piśmie, że większa radość w niebie jest z jednego nawróconego łajdaka, aniżeli z dziewięćdziesięciu dziewięciu porządnym ludzi.

Talarowski udał, że nie słyszy ani tych słów, ani wtórującego im powstrzymywanego śmiechu.

— Jakże się miewa ojciec, panie Adamie?—zapytał Wincenty, aby coś powiedzieć.—Myślałem, że przybędzie do nas na poświęcenie. Razem wyszliśmy z Sakowa, godziłoby się też razem przy poświęceniu być.

— Ojciec o niczem nie wiedział.

— Ma się rozumieć — wtrącił Dominik — proboszcz z ambony zapowiadał, ale śnać te słowa aż do wielkiego folwarku i dworu nie doszły.

— Ojciec wyjechał kilka dni temu, a ja mam zajęcie przy gospodarstwie, które, jak panu wiadomo, jest duże. Od wiosny ekonomia przyjmujemy...

— A sami przeniesiemy się do Jojny — wtrącił Dominik.

Wincenty Paliwodę za rękaw pociągnął i szepnął:

— Dajcie pokój, sąsiedzie.

Poczem, zwróciwszy się do Adama, dodał:

— Myślałem, że matka będzie na naszą ubogą chatę łaskawsza.

— Niedomaga.

— A cóż jej?

— Nie wiem, ale jakoś na bezsilność się skarży, stęka...

Dominik szepnął Wątorkowi do ucha, tak jednak, żeby siedzący bliżej słyszeli:

— Stęka, nieboga; nie dziwo, jabym ryczał, żeby mnie Pan Bóg takim synalem skarał.

Znowuż śmiech przytłumiony rozległ się w zgromadzeniu.

— No, panie Adamie—rzekł Wincenty — rozgość-że się, proszę. O tu, przy stole... co Bóg dał.

— Nie głodnym, dziękuję, już po kolacyi jestem.

— To chociaż krupniku szklaneczkę.

Talarowski wziął szklanę, wychylił ją duszkiem i rzekł:

— Za pomyślność gospodarstwu i ich ślicznej córeczki. Zdaje mi się — dodał — że przerwałem zabawę; państwo tańczyli. Można by znów zacząć, ja przecież nie przeszkadzam, owszem... radbym i ja z wami. Hej, muzyka!

Jeden z młodzieży, syn Wątorka, chłopak bardzo popędliwy i prędko, usłyszawszy to, wybiegł do sieni i krzyknął na muzykantów:

— Hej, żydzi! Myśmy was sprowadzili, my, młodzież z kolonij, my wam płacimy i nas tylko macie słuchać. Niech mi się żaden nie waży smyczka tknąć, bo was chyba...

— Za co was? — odparł najstarszy grajek. — Pan ma rację, bo pan płaci; każe pan grać, gramy — nie każe grać, nie gramy. Wolimy nawet trochę nie grać, ręce odpoczną.

— Pamiętajcież!

Talarowski zbliżył się do Hanusi i siedzącego obok niej Janka.

— Jak się pan ma? — rzekł, podając mu rękę.

— Dziękuję.

— A panny Hanusi o to nawet nie pytam, bo wygląda, jak najpiękniejsza róża. Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli pani zechce ze mną przetańczyć.

— Nie, nie! — odrzekła zapłonioma dziewczyna — dziękuję za honor, ale nie mogę.

— A to dlaczego?

— Bo nie mogę. Siły już nie mam, tyle godzin.

— Widzę, że pan Jan szczęśliwszy, aniżeli ja.

— Bo pan Jan — odrzekła — jest pan Jan. Znamy się od bardzo dawna.

— Ja mógłbym to samo powiedzieć...

— A nie!... My się bardzo mało znamy, ale, przepraszam, babka mnie woła.

Uciekła, jak spłoszona ptaszyna. Talarowski usiadł na jej miejscu, obok Janka.

— Widzę — rzekł — że mi tu nie bardzo radzi. Czy pan tego nie uważa?

— Nie mogę wiedzieć, czy tu kto panu rad, czy nie rad, przez długi czas byłem daleko od swoich i nie wiem, co się tu działo.

— A pan był w Warszawie i za granicą podobno?

— Byłem.

— To pan zapewne dużo widział ładnych rzeczy, zapewne bawił się pan dobrze.

— Oczywiście — rzekł Janek — widziałem niejedno; na zabawę czasu nie było, ale niekiedy zajrzało się do teatru, albo w takie miejsce, gdzie piękne obrazy. Kościołów też napatrzyłem się, gmachów, fabryk różnych.

— A jakże pan mógł się rozmówić za granicą?

— Po niemiecku.

— To pan umie?

— Nauczyłem się.

— Pewnie pana ta podróż musiała ogromnie dużo kosztować.

— Nic nie kosztowała, jeszcze trochę grosza zarobiłem.

— Nie rozumiem — ano, każdy ma swoje sposoby. Powiedz mi pan, czy to już zabawa skończona, że tak się uciszyło?

— Bo ja wiem, panie, ja tu nie gospodarz.

— Ale zdaje mi się, że bliski gospodarzy.

— Prawda. Wincentego szanuję, jak ojca, lecz to do zabawy nie ma nic.

— A pannę Hanusię?

Janek spojrzał na niego zdziwiony i rzekł:

— Mój panie, co panu do tego?

— Tak? Może i do tego; ja ją także mogę... szanować.

— Gdyby było inaczej — odrzekł Janek nader flegmatycznie i spokojnie—to miałbyś pan ze mną do czynienia.

— Proszę!... I cóżbyś mi pan zrobił, mój panie?

— Połamałbym panu wszystkie kości—odpowiedział Janek tym samym, spokojnym tonem, ale w oczach jego malowało się tyle prawdziwie męskiej, pewnej siebie siły i takie postanowienie niewzruszone i niezłomne, że Adam mimowoli zerwał się z ławki i odskoczył, mruknąwszy przez zęby:

— Spotkamy się jeszcze kiedy, panie młynarzu...

— Owszem, z wielką chęcią, panie dziedzu...

Świadcami tej rozmowy było kilku młodych ludzi; otoczyli oni Janka i wcale niedwuznacznie zaczęli wyrażać oburzenie swoje

na nieproszonego gościa. Trochę rozgrzani trunkiem, źli, że im wesołą zabawę przzerwano, mający urazę do Talarowskiego za to, że się pysznił, że nie przestawał z nimi i przy każdej sposobności pragnął im okazać swoją wyższość, gotowi byli odrazu załatwić z nim wszelkie rachunki. W oczach tych chłopaków błyszczał ogień, pięści zaciskały się kurczowo.

— Słuchajno, Janku—mówili—tak być nie może; trzeba tego smyka raz rozumu nauczyć, przesadzić go przez kij. Czego tu chce, czego przyłazi? Prosił go kto?

Janek, który przez krótki czas pobytu na koloniach umiał sobie zjednać wszystkich, a do którego młodzież lgnęła i uważała go, jakby za swego starszego brata, starał się powstrzymywać bliski wybuch.

— Dajcie pokój, chłopcy—mówił—dajcie pokój, nie można na żaden sposób.

— Bronisz go?

— Nie, ale dziś go nie zaczepiajcie; Wincentemu byłoby przykro, żeby w jego domu burda się stała. Uważajcie na jego siwe włosy, na poczciwość. Ja was proszę, zróbcie to dla mnie.

— Zabawę nam zepsuł.

— To się naprawi. On, widząc, że mu nie radzi i że niepotrzebnie tu wszedł, wyniesie się niezadługo, a my zaczniemy znów tańce i weselić się będziemy do białego dnia. Posłuchajcie mnie, chłopcy, ja wam dobrze radzę...

Adam usiłował miną nadrabiać, wszczynał rozmowę ze starszymi, z młodszymi, uśmiechał się do dziewcząt, wreszcie wybiegł przed dom, do swej bryczki i wydobywszy z tamtąd kosz wina, przywieziony naumyślnie, wniósł go do stancyi.

— Panowie!—zawołał—teraz będzie zabawa! Niechno kto da grajcarek.

Wincenty, poważny, z namarszczonem czołem, z brwiami ściągniętymi groźnie, wyszedł na środek izby. Znać było po nim, że jest wzburzony ogromnie, ale panował nad sobą.

— Co to?—zapytał, wskazując na kosz.

— Wino—odrzekł Adam—odemnie poczęstunek dla gości.

— Dla jakich gości?

— No... dla całej kompanii—bąkał zmieszany młody człowiek — dla tych, którzy tu są...

— To moi goście—rzekł—i ja ich przyjmuję...

— Ale...

— Wiedz-że o tem, młodziku—rzekł surowo—że tak robić nie godzi się. Przybyłeś, jesteś przyjęty uczciwie i po ludzku, przyjmij, co w domu jest, ale szynku z mego domu nie rób; jeżeli zaś nie smakuje krupnik, który niedawno jeszcze twój ojciec za wielki specyał uważał i chce ci się wina, to idź-że tam, gdzie wino dają, a uczciwych ludzi nie obrażaj.

Zrobił się wielki szmer w izbie, odezwały się głosy:

— Wyrzucić go, wyrzucić razem z tym koszem!

— Pamiętkę mu dać!

— Niech nie obraża!

— Wielki pan!

— A juści, aksamitna lalka!

— Cicho, cicho!—uspakajał Wincenty.

Adam zaś, widząc, że niedobrze się dzieje, cofnął się ku drzwiom.

Janek zbliżył się do niego i rzekł:

— Parę słów mam do powiedzenia.

— Owszem, owszem, spróbujmy się!— odrzekł zaczerwieniony Adam.

— Kto mówi o próbowaniu się? Powoli, bez hałasu. Sekret mam do pana.

Odprowadził go na bok i rzekł pooichu:

— Młodzież się zbiera na pana, może być źle. Życzliwie radzę, odjedź pan spokojnie, bo nic nie poradzisz.

— Hołota!—mruknął Adam przez zęby—popamiętacie mnie długo!

Wskoczył na bryczkę; kosz z winem wrzucił ktoś za nim.

Gdy odjechał, szmer oburzenia wybuchnął z całą siłą; chłopcy powzięli myśl, aby dościgać koni i dogonić go w polu, ale powstrzymał ich Janek; przemówił do nich, uspokoił.

Wincenty za rękę go ścisnął..

— Bóg ci zapłać — rzekł — mój chłopcze; żeby nie ty, wielką przykrośćbym miał.—A zwracając się do młodzieży, zawołał: — Hej! chłopcy i dziewczęta, zapomnijcie o tem, co było, bawcie się!

Żydzi zaczęli grać, przerwane tańce rozpoczęto nanowo, młodzi hasali na zabój, starzy wrócili do gawędy i krupniku.

Dominik nie odstępował Wincentego, a bardziej jeszcze szklanicy, która rozwiązywała mu język, zaostrzała dowcip, a w pamięci budziła dawne wspomnienia.

Otoczono go kołem, a on pererował o wielkich procesach, jakie jeszcze jego ojciec w Sakowie prowadził w imieniu wioski ze wsią sąsiednią, o znacznych ludziach, którzy z tego rodu wyszli i odznaczyli się w świecie, o wydarzeniach dawno minionych i ubiegłych, żyjących jednak jeszcze w tradycji i przybierających charakter pięknych legend.

Rozmarzał się szlachcic i rozrzewnił, w miarę jak mu Wincenty krupniku do szklanki dolewał, śmiał się i wzdychał i sentencje różne wygłaszał, a słuchano go chciwie.

— Kochani bracia i sąsiedzi—mówił—nie wszystko prawda, co za prawdę sprzedają; w inszem zdarzeniu biorą ludzie fałszywe trojaki, niby za dobre pieniądze i zdaje im się, że się nie mylą. Nie zawsze, braciszko—wie kochani, o nie! Stary i mały powtarza, jak za panią matką pacierz, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, i myśli, powtarzając to głupstwo, że coś wielce mądrego powiedział. Ono zaś całkiem inaczej

jest. Byłeś dzieckiem, zestarzawszy się, jesteś dziadem, a przecie dzieciństwa swego z rejestru nie wymażesz, choć ono już nie jest. Zapisane ono, zapisane w twojej głowie, w sercu i nieraz ci się przypomni, jako cię matka pacierza uczyła, jakoś w koszulinię łażąc, gęsi na wygonie pasał, podrosłszy jakoś orał, żął, na zabawy chodził, na zaloty. Et! co to gadać! Wszystko zapisane jest w pamięci takim piórem, które w duszy siedzi, takim atramentem, co z krwi serdecznej zrobiony. A ojcowie, a dziadowie, też już nie są, dawno ich pochowano na cmentarzu, a przecież z rejestru nie wyszli. Wspominamy ich, widzimy przed sobą, jak żywych, powtarzamy i rozważamy sobie nieraz ich słowa i to, co oni nam o swoich ojcach, o swoich dziadach opowiadali. Jest taki rejestr, jest, w którym nic nie przepada, ale wszystko stoi zapisane na wieki... a i takie książki też są, co o najdawniejszych czasach wspominają, o owych czasach, kiedy jeszcze Pan Jezus po świecie chodził i do wielkich gromad ludzkich przemawiał. A jak człowiek lubi do owego rejestru zaglądać! Ja sam pamiętam, jak jeszcze chłopcem ma-

łym będąc, lubilem dziadka opowiadań słuchać. Miał o czem starowina mówić, bo bez mała sto lat mu było, dużo po świecie chodził, dużo różności widział. Bywało, nieraz wieczorem, przy piecu siedzie, fajeczkę zapali, krupnik albo piwo grzane popija i gwarzy, a my koło niego przycupnąwszy na ziemi, słuchamy, a słuchamy. O kolacyi nieraz zapominałem i sen odbiegał, choć się przedtem oczy same kleiły i słuchałbym przez noc, do ranka, do dnia białego. Jego piwo rozgrzewało, czy miód i ciepło od pieca, a nas jego słowa, okrutnie jakoś serdeczne a ciekawe. Ot, Wincenty kochany, sąsiedzie i bracie, możeć to i nas kiedy wnuki wspominać będą po latach, kiedy nasze groby zakłęsną się w ziemię, a drzewina rozrośnie się nad niem. Już prawo takie od Boga, sukcesya, bierze ją syn po ojcu, a taka ona pewna, taka ubezpieczona, że jej żaden ci proces nie odbierze, żaden złodziej nie ukradnie, bo ona w tobie jest. Chyba, że kto spodleje całkiem i zgnije w duchu, ten ją utraci, ale i sam przytem stracony jest bez ratunku.

Zamyślił się, rozrzewnił, głowę na dło-

niach oparł i słuchacze jego także zamilkli i zadumali się.

Wincenty po chwili rzekł:

— Dominiku, trącam was. Przebudźcie się.

— Nie śpię ja, bracie—odpowiedział Dominik, podnosząc głowę—nie śpię ja, ale medytuję. Tymczasem dzień nas już trąca, poranek w okna zagląda. Dziękujemy gospodarzowi i gospodyni za przyjęcie, przepraszamy, żeście z naszej przyczyny ponieśli tyle zachodu i kosztu. Daj Boże wam, daj Boże nam, zostańcie w spokoju i zdrowiu!

— Ale posiedźcie — prosił Wincenty—na głodno was nie puszcę. Zaraz tu kobiety co przyrządzą.

Taniec przerwano, żydzi muzykanci, znużeni całonocnem graniem, już dalej rzępolić nie mogli i pomimo nalegań rozbawionej młodzieży, stanowczo odmówili posłuszeństwa.

Trzeba się było poddać losowi.

Wniesiono znowu wielki stół do stancyi i misy z mięsiwem, z dnia wczorajszego pozostałem; zmęczona tańcem młodzież uprzątnęła je szybko.

Dzień się zrobił na dobre, jasność napęłniła dom cały.

Podziękowawszy Wincentemu i jego żonie za gościnne przyjęcie, biesiadnicy porozchodzili się do domów.

Długo w pamięci kolonistów pozostała ta zabawa, a Dominik Paliwoda uczynił z daty tej erę, punkt wyjścia i termin chronologiczny, od którego liczył następne, ważniejsze w cichem życiu wioskowem wydarzenia.

— Było to — mawiał — w kwartał, w pół roku, w roku po osiedlinach i zaraz przypomniał sobie z przyjemnością góry mięsa, piętrzące się na stołach, smaczne ciasto z szafranem i krupnik, wyrób pracowitych pszczołek, udoskonalony przez człowieka.

Młody Talarowski, od czasu owego zajścia podczas zabawy, nie pokazywał się na koloniach; wstydział się.

Siwy koń zapomniał drogi w tamtą stronę, a natomiast nosił coraz częściej swego pana do miasteczka, do zajazdu Jojny, gdzie coraz częściej odbywały się posiedzenia, pod przewodnictwem imćpana Żdziebelki, który wciąż zbierał dowody, niezbędne do prowadzenia procesu z rodziną.

Gdy zima już nastąpiła i śnieg pokrył pola i drogi białym całunem, siwek uwolniony

został od siodła, natomiast paradował w nowej, błyszczącej uprzęży i woził swego pana w małych zgrabnych saneczkach, pobrząkując dzwonkami.

Przyjaciele owego pana Ździebelko, a nawet sam Jojna Migdał, zauważyli, że Adam coraz posępniejszym i bardziej rozdrażnionym się staje, że lada o co, o najmniejszą bagatelkę, gniewem wybucha, a nieraz, wśród najweselszej zabawy w gronie towarzyszków, ucieka nagle bez żadnej widocznej przyczyny i znika...

Ździebelko utrzymywał stanowczo, że to są symptomata nerwowe i że on sam, będąc ongi młodym i pięknym kawalerem, podobnych cierpień doświadczał.

— To przejdzie — mówił ze znaczącym uśmiechem — ja go wyleczę...

— A to jakim sposobem? — pytano.

— Niechno tylko proces wygram, zabiorę tego chłopca ze sobą i pokażę mu kawał świata.





IX.

Jak słusznie powiedział Dominik Paliwoda, rolnik w tem jest podobny do pracowitej pszczołki, że przez całe lato, od wiosny począwszy, aż do późnej jesieni ugania się po polach i dopiero w zimie może sobie do kumentnie odpocząć i spożywać spokojnie owoce letniej pracy.

Spoczywano też i na koloniach, a zwłaszcza mężczyźni używali wywczasu, gdyż kobiecych zatrudnień zima nie przerywa, owszem, nowe jeszcze przynosi.

Latem, czy zimą trzeba jedzenie gotować, bieliznę prać, porządek w domu zrobić, a prócz tego przybywa do roboty przędzenie i tkanie.

Kto tego nie zna, może myśleć, że to głupstwo, a przecież rzecz jest ważna, potrzebna koniecznie, a dla kobiet bardzo przyjemna.

Czy ze zwyczajną kądzielą, z wrzecionem, czy też dla pośpiechu, przy kołowrotku, lubią one w kompanii zasiadać i praść a gawędzić, albo też opowiadania ciekawego słuchać, albo pieśni zawodzić.

Niech na świecie mróz będzie, aż gonty na dachu pękają, niech śnieżycą z zawieruchą hula po polach i drogi zasypuje, niech głodne wilczyska wyją pod lasem—one sobie spokojnie w izbie zasiądą, piec je grzeje, na kominie drzewo płonie z trzaskiem, to niebieskim, to żółtym, to krwawym płomieniem migocąc, one siedzą sobie w wygodzie i w cieple, snują cienkie nitki i opowiadań ciekawych słuchają.

Gwarzą o nowinach różnych, o tem, co we wsi się stało; każda kobieta ma coś o mężu swoim, o dzieciach, do powiedzenia, a i dziewczyny, choć myśli swoich zdradzać nie rade, jednak to śmiechem, to rumieńcem nagłym, to spuszczeniem oczów, też coś mówią.

Skoro wątku do gawędy o tem, co się dziś stało, zabraknie, to uciekają się do bajek o zaklętych królewnach, o szklanej górze, o trzech braciach, z których dwaj byli mądrzy, a trzeci głupi, o wilkołakach i o różnych dziwach najdziwniejszych.

Zwykle która ze starszych opowiada, a młodsze słuchają, a chociaż trwoga je przejmuje, choć im się zimno robi na samą myśl o różnych dziwolągach i potworach, jednak słuchaćby rade, choćby przez całą noc i robotą im przytem żwawiej idzie, tak, że wrzeczona im w palcach aż warczą.

Ważna to rzecz przedziwo; ze lnu, z wełny białych i czarnych owieczek, wyrabiają szlachcianki piękne rzeczy. Płótna niezbyt cienkie, ale mocne, jak rzemień, wybielone na słońcu, wzorzyste kilimki, którymi, czy to łóżko przykryć, czy siedzenie na bryczce zasłać, czy dla przyozdobienia domu na stole położyć. Wyrabiają wełniaki trwałe, jak żelazo, a ciepłe, płócienka na ubranie w rozmaite wzory.

Taki naprzykład Wątopek, który ogromnie skąpy jest i wolałby chorować, aniżeli wydać grosz w sklepie, sukno na ubranie za-

ledwie raz na dziesięć lat w mieście kupuje, a zazwyczaj chodzi w tem, co żona jego w domu na krosnach, własnymi rękami utka. Ma on cały garnitur, surdut, spodnie i kamizelę, uszyty ze ślicznego płócienka czerwonego w drobną niebieską kratkę. Wygląda w tem spaniale, jak rak ugotowany, o trzy wiorsty zdaleka poznać go można. Młodzież, która modą iść lubi i na elegancję zważa, śmieje się nieraz z czerwonego stroju Wątorka, ale ta sama młodzież w domu, przy robocie, także z domowego płócienka ma ubiór, bo to materyał mocny i prawie niezdarty, dziesięć tandetnych ubrań przetrzyma.

Przez całą zimę kobiety przy przędzy, przy krosnach są zajęte, ale gospodarze mogą wypoczywać do woli. Jeżdżą też po targach i jarmarkach, świeżo omlócone zboże sprzedają, dowiadują się, co na świecie sły chać, bo i gdzieś świeższych i pewniejszych wiadomości dostać, jak na jarmarku. Żydzi z całej okolicy, z różnych miast bliższych i dalszych, zwłóczą się, a oni wszystko jak najlepiej wiedzą.

Kołoniści, znalazłszy teraz czas, różne

spory i waśnie, podczas lata wszczęte, na jaw zaczęli wyprowadzać i sądom roboty przysparzać. Prawował się Tabiuka z Wą-torkiem, Domarad zapozwał Buławę, Koło-wrót Dominika.

Usiłował był Wincenty pogodzić zwaśnio-nych, lecz na nic się jego wymowa nie zda-ła, pszczołka bowiem ma żądło, którem się broni, zaś szaraczkowy szlachcic proces.

Ponieważ ludzie z kolonij z nadejściem zimy częściej w okolicznych miasteczkach zaczęli bywać, przeto i widzieli trochę, co się dzieje i słyszeli od ludzi; na skutek te-go i o młodym Talarowskim coraz częściej mówiono i różne jego sprawy na wierzch zaczęły wychodzić.

Pogłoski, powtarzane z początku pocichu, jakby z niedowierzaniem, stawały się coraz głośniejsze i rozbrzmiewały po koloniach z dodatkami, na jakie fantazyja opowiadają-cych zdobyć się mogła, nikt jednak nie znał rzeczy tak dokładnie, jak Icek Ufnal.

Dla niego nastał czas kłopotów i wielkie-go łamania głowy, z jednej strony nacierali żydzi, żeby zrobił z długami swego klienta jaki porządek, z drugiej znów klient prosił

i błagał, żeby wierzycieli łagodzić i terminy odraczać.

Pierwszym trzeba było dawać bardzo wiele obietnic i prócz tego trochę pieniędzy, od drugiego znów brał Icek sporo pieniędzy, a jeszcze więcej karteczek z obligami, za obietnice bardzo wątpliwe, oraz za malowanie najbliższej przyszłości w możliwie czarnych kolorach.

Z wierzycielami coraz trudniej szło, ponieważ zaczął ich ogarniać niepokój.

Ile razy Icek wjeżdżał do miasteczka, wnet otaczała go gromadka żydów, zdenerwowanych, żywo gestykulujących i ci, zamiast powitać go przyjaznym słowem, życzyć mu poczwicie dobrego roku, rzucali mu tylko krótkie zapytanie:

— Ny?... .

Icek w odpowiedzi dawał im dwa wyrazy uspakajające:

— Ny, ny!...—co miało znaczyć w obszerniejszym wykładzie: Bądźcie spokojni, kochani przyjaciele, miejcie odrobinę cierpliwości, wszystko się ułoży porządnie, dobrze i na naszą wspólną korzyść. Nie bójcie się, ponieważ sprawy pilnuje wasz przyjaciel i

zarazem trochę współnik, człowiek doświadczony, przezorny i uczciwy, Icek Ufnal.

Wiadomo, że tyle sensu, a nawet znacznie więcej, można wpakować we dwa małe wykrzykniki: «ny, ny!» — przy wygłoszeniu ich z należytą intonacją, lecz finansiści nie kontentowali się króciutkim tekstem i żądali komentarzy.

Na to odpowiadał Icek:

— Czekajcie, gałgany, ja też chcę żyć. Pozwólcie mi sprzedać towar, załatwić interesu, a później możemy gadać, choćby do późnej nocy.

Czasem poprzestawano na uspakajającym wykrzykniku i krótkim wyjaśnieniu, czasem dyskusya musiała przeciągnąć się dłużej, ale jednego razu trwała aż do północy i byłaby nie skończyła się do rana, gdyby nie nagła propozycya, rzucona przez Icka.

— Wiecie co? — rzekł — nie ma innego sposobu, tylko jeden z nas musi do starego pojechać i z nim się rozmówić. Wybierzcie delegata; co do mnie, z góry na wybór się zgadzam, byle tylko ten honor nie spadł na mnie, bo stary jest gwałtowny człowiek i wielki awanturnik.

Na te słowa zrobiła się w zgromadzeniu cisza, przerwał ją sam Icek, rzuciwszy lakoniczne pytanie:

— No, kto?

— Ja nie mam czasu!

— Ja nie mam zdrowia!

— Ja się boję!

— Ja nie chcę!

— Ja nie jestem, Bogu dziękować, głupi!

Icek uśmiechał się ironicznie i po chwili zapytał:

— Dlaczego robiliście tyle gwałtu? Spół jest, ponieważ się każdy z nas boi do starego iść, można napisać do niego list; on podrze papier ze złości, ale naszemu zdrowiu to nie zaszkodzi.

— Icek ma rację.

— Pisać list!

— Zaraz pisać!

— Na to jest czas — odrzekł Icek. — Za parę miesięcy, tak samo jak dziś, można będzie kosztem dwóch groszy dostać arkusz papieru i kopertę...

— Ale dlaczego czekać?

— Dlatego, żeby młody mógł się tymczasem spokojnie i bez żadnej przeszkody ożenić.

— Niech się żeni, owszem, co nam to szkodzi?

— To nam dużo pomoże. Jemu ojciec na taki interes pieniędzy da, jemu trochę posagu dadzą, a moja głowa w tem, żebyście wy swoje pieniądze odebrali, no, i żebym ja odebrał, bo przecie jestem w części waszym wspólnikiem.

— Icek dobrze mówi!

— Icek zawsze ślicznie mówi, tylko wy swoją gwałtownością wszystko zepsuć możecie. Dajcie czas, nie róbcie gwałtu!

— A z kąd Icek wie, że on się ożeni?

— Wiem, musi się ożenić, ja mu każę. Proszę was o pół roku cierpliwości.

— Co? pół roku, na taki głupi interes — to przecież w ciągu jednego tygodnia zrobić można.

— Tak wam się zdaje. U nas można, ale oni mają inny obyczaj.

Po krótkim targu stanęło na tem, że przez pół roku wszyscy wierzyciele będą siedzieli cicho i nie zaczepią starego Talarowskiego, ani osobiście, ani listownie; co do młodego, inna rzecz; będą go straszili, ale delikatnie,

tyle tylko, byle jakieś małe odczepne uzyskać, byle kapitał nie próżnował.

Na to się ogólnie zgodzono. Icek, zawsze dbały o dobro swego klienta, wystąpił z wnioskiem, że ponieważ młodemu człowiekowi, który chce się żenić, gotówka jest potrzebna, więc wartoby jeszcze na ten cel coś zaryzykować, ale zgromadzenie na to nie przystało.

— Jeżeli Icek chce na własną rękę...

-- Jakto na własną? Czy nie jesteśmy w kompanii?

— My was w tym punkcie uwalniamy ze spółki—rzekł najstarszy wierzyciel. — Róbcie ten interes sami i życzę wam dobrego zysku.

Na tem stanęło — a Icek wprost ze zgromadzenia udał się do zajazdu Jojny, gdzie właśnie młody Talarowski zabawiał się grą w bilard.

Nie chcąc przerywać partyi, Icek usiadł na ławeczce pod ścianą, przypatrywał się grze i rozmyślał na temat, jakie są na świecie rozmaite wesołe i zabawne sposoby, za pomocą których jedni ludzie od drugich wydobywają pieniądze.

Naprzykład, choćby taki bilard; napozór głupia zabawka dla dużych dzieci, stawiają kościane kule na stole, popychają je kijami i opowiadają sobie przytem różne historye, mało mające związku z mądrością, a przecież z takiego bagatelnego, bezmyślnego interesu wynikają rachunki i pieniądze płynie z ręki do ręki.

Zastanowiwszy się bliżej, Icek przyznaje w duchu, że jest to rozumny i pożyteczny wynalazek. Trudno przecież żądać od młodego Talarowskiego, który jest synem bogatego ojca, a więc paniczem, oraz od jego towarzyszków, którzy chodzą w surdutach i udają paniczów, aby obracali pieniędzmi chodząc po wsiach, skupując cieleta i gęsi—wymyślono więc na ten cel kościane kule i długie kije. Pieniądze przez to są w ruchu i to w takim ruchu, który nie robi konkurencji prawdziwym i fachowym handlarzom.

Icek patrzył i z przyjemnością widział, że jego klient zna swój interes dobrze, że białe i kolorowe kule są posłuszne jego kijowi. Widocznie w każdym fachu przy pracy i zdolnościach można się wydoskonalić i dojść do znacznej wprawy i biegłości.

Inni gracze gniewali się i miny mieli kwaśne, Adam tryumfował.

W chwili przerwy Icek zbliżył się do niego i szepnął:

— Jedno słowo.

— Dyabli cię przynieśli znów! — mruknął młody człowiek i wyszedł do numeru.

Icek nie stanął przy drzwiach, jak dawniej, ale usiadł na krześle, z kieszeni wydobyl fajkę i zapalił ją bez ceremonii.

— Zawsze nie w porę włączysz i psujesz mi humor.

— Ja się dziwię—odrzekł Icek—gdy trzeba pieniędzy, to Icek jest w porę, a skoro przychodzi do oddania—to nie w porę.

— Mówilem ci już...

— Aj, aj! żeby to chociaż było oddanie, ale to dopiero gadanie o oddaniu, a pan już się gniewa. Gdzie sprawiedliwość?! Niech pan pomyśli, coby to było gdyby wszyscy ludzie mieli taką niecierpliwą naturę? Ha! Co będzie, jak ja się rozgniewam, jak tamci się rozgniewają? Niech pan pomyśli.

Zrobił minę tryumfującą i puszczając ogromne kłęby dymu, patrzył na młodego człowieka.

— Przedewszystkiem zgaś to szkaradne fajczysko, bo wytrzymać nie można!

— Dlaczego szkaradne? Śliczna fajka. Czy pan wie, ile ona kosztuje? Czysta porcyneła, zagraniczny kawałek towaru.

— Ale tytuń obrzydliwy, aż dusi!

— Aj, jaki pan grymaśny! U mnie w domu bardzo lubią ten zapach; moja żona nieraz prosi, żebym palił dla odświeżenia powietrza w izbie.

— A ja cię proszę, nie pal. Masz cygaro, bardzo dobre.

— Czego ja dla pana nie zrobię — rzekł Icek — mogę nawet fajkę wytrząsnąć i cygaro zapalić, ale to mniejszy interes — ja przyszedłem głównie po to, żeby zapytać, co będzie?

Adam nie odpowiedział zaraz, usiadł przy stole i zamyślił się, Icek zaś obojętnie palił cygaro i z widoczną przyjemnością lubował się ostrym jego zapachem. Przeszło tak w milczeniu kilka minut, poczem Icek znowu pytanie powtórzył.

— Albo ja wiem—odrzekł Talarowski.

— Trochę zadłgie myślenie było na tak

krótką odpowiedź — rzekł Icek, uśmiechając się złośliwie.

— Nie wiem, nie wiem!—powtarzał młody człowiek—daj czas, kilka dni, tydzień, przecież się coś obmyśli. Może matka mi da, może...

— To całe szczęście, że ja za pana myślę i że ja coś wiem.

— Co?

— Owszem, niech matka da, bardzo dobrze; to będzie na procent, a na kapitał pan się musi ożenić.

— Co?

— Ożenić się pan musi na kapitał, i to w prędkim czasie, inaczej będzie pan miał gorzkie życie. Tu nie ma co namyślać się, trzeba, ja pana proszę, ja panu każę.

— Zdaje ci się, że to łatwo.

— Śmieszne rzeczy pan powiada; no, no, żeby wszystkie interesa były tylko takie trudne! Wielka rzecz ożenienie, trzeba tylko kawalek kawalera, trochę panny, cokolwiek posagu i już jest ożenienie! Czy ja mam to panu tłómaczyć, no, no, pan-by jeszcze mnie nauczył.

— Nie mam nic upatrzonego w tej chwili.

— Na co patrzeć, na co daleko szukać, albo to u nas, na koloniach, nie ma takiej panny, co akurat dla pana pasuje?

— Na koloniach nie ma.

— A gdzie pan będzie szukał? Po dworach? Z przeproszeniem pańskim, to nie jest pewny interes, tam mają swoje grymasy, chcą zaraz hrabiów... No, a pan jest bardzo śliczny i edukowany kawaler, ale nie hrabia. W bliskości ja nie znam takiego miejsca, gdzieby pan mógł żony poszukać, chyba gdzie daleko. Trzebaby jeździć, upatrywać, dowiadywać się—na niepewne. To ryzyko i strata czasu... Niech pan mnie posłucha i jedzie na kolonie, pan wie, kogo ja mam na myśli, Wincentego wnuczkę. Ona jest też dziedziczka, a Wincenty pieniędzy ma. Wszyscy to mówią i ja wiem, że ma. No, dlaczego pan nic nie mówi? Czy moja rada zła? Rodzona matka lepiej nie kierowałaby pana, jak ja. Tylko ja widzę, że pan się nie umie poznać na mojej życzliwości i dobrem sercu.

Młody człowiek słuchał i nie odpowiadał, patrzył na Icka, jak gdyby spodziewając się bardziej przekonywających argumentów, ten znów zaczął udawać wielką obojętność, zie-

wnął kilka razy bez ceremonii, wstał, wziął czapkę z kąta i zabierał się do odejścia.

— Czas do domu—rzekł — zmęczony jestem, ledwie chodzę. Z powodu pańskich interesów straciłem pół zdrowia, muszę odpocząć, nie będę tu prędeż, jak za tydzień. Co do tej pani z kolonij, wola pańska, ja się przecie z nią nie ożenię. Chce pan, to dobrze, nie, to drugie dobrze. Niech się pan żeni z hrabianką, z wielką dziedziczką, z kim się panu podoba, aby tylko prędko, bo na moje sumienie, ja już dłużej nie mogę zwodzić tych żydków. Oni swego chcą, oni przeklinać mnie będą. Jeszcze parę tygodni, w najgorszym razie parę miesięcy, mogę kręcić, a potem niech pan sobie robi, co chce. Do widzenia, życzę zdrowia i prędkiego namysłu.

Rzekłszy to, wyszedł i pozostawił młodego człowieka, pogrążonego w dumaniach.

Po chwili wrócił.

— Co chcesz jeszcze?—zawołał Adam.

— Jedno słowo, bagatela, tak jak nic; nawet nie wspominałbym panu, ale w interesie trzeba o wszystkim wiedzieć.

— Więc co, o czym, co mam wiedzieć?—
spytał niecierpliwie.

— Gdyby pan myślał o tej paniencie z kolonij, to niech pan wie, że tam jeden kawaler się kręci już.

— Jaki? — zapytał Adam, zrywając się z krzesła.

— Józefowej syn, ten, co na jesieni powrócił, co ma pełne pole pieńków, kawałek góry, trochę zwiezonego drzewa i cygańską budę z gałęzi... Pan wie, ten, co u Dominika na komornem siedzi.

— Ten młynarczyk?

— Opowiadają, że skoro postawi sobie wiatrak, to będzie całkiem młynarz. Albo ja wiem?

— Jemu Wincenty wnuczki nie odda.

— Może nie odda, a może odda. Lubi go. Pan wie, że tacy staromodni ludzie mają swoje grymasy, chcą, żeby kawaler robił jak parobek, a był oszczędny, jak nie przyrównywając, żyd—a właśnie ten młynarczyk robi za dwóch parobków, a oszczędza, jak dwa żydy. Ciężko od niego co utargować... Nie dałbym trzech groszy, że jeżeli się pan

nie pośpieszy, to on panu wnuczkę Wincen-
tego zabierze.

— Niedoczekanie jego?

— Wiadomo... Pan go przelicytuje, pan bogatszy, ale to trudno, kto chce przelicytować, musi do licytacji przystąpić, prawda? No, bądź pan zdrow, ja już jadę. Ja panu już nic nie radzę i nic nie każę, tylko proszę pamiętać, że trzeba coś zrobić, bo czas krótki.

Tym razem Icek odszedł naprawdę, nie zatrzymując się, nie czekając przeddrzwiami...

Zaraz zaprzął konia i odjechał. Gdy był już blisko folwarku Talarowskiego, usłyszał za sobą brzęk dzwonek i ujrzał siwego konia i małe saneczki.

Młody człowiek wyminał Icka i skręcił ku folwarkowi.

Przez trzy dni Adam nie opuszczał mieszkania, siedział w swoim pokoju przed kominkiem, zapatrzony w ogień; to znowu chodził od kąta do kąta, prawie nic nie jadł, prawie się do matki nie odzywał, tylko palił papierosa za papierosem i bił się z myślami.

Od dość już dawna obraz Hanusi nie scho-
dził z przed jego oczu, burzył w nim krew,
spokoju nie dawał.

Obojętność dziewczyny jeszcze bardziej
podniecała go, a po ostatniem zejściu na
koloniach, po zejściu, po którem nie wypa-
dało mu pokazywać się tam więcej, myśl
uporczywiej jeszcze, niż przedtem, zwracała
się ku Hanusi.

Mógł ją widywać tylko zdaleka, w ko-
ściele lub w miasteczku, dokąd przyjeżdżała
z babką niekiedy, ale oczywiście widzenie
takie było tylko przelotne.

Na ukłon odpowiadała zaledwie dostrze-
galnem skinieniem głowy, przyczem nie
mógł nawet dostrzedz jej oczu, gdyż uni-
kała jego wejrzenia.

Nieraz przychodziło mu na myśl prosić
ojca, aby dawnym obyczajem udał się do
Wincentego i prosił o rękę wnuczki; ale
wstrzymywała go pycha, wygórowane poję-
cia o swej wyższości, nauki Żdziebelki, szy-
derskie i cyniczne uwagi rzekomych przyja-
ciół, towarzyszków hulanek, wreszcie daleko
sięgające plany matki, która przy każdej

sposobności przepowiadała mu najświetniejszą przyszłość.

Nie chciał się wyrzec dziewczyny, dla której musiałby tę przez matkę wymarzoną przyszłość utracić; żal mu również było przyszłości owej, która go od Hanusi oddalała. Chciał mieć jedno i drugie i na skutek tego najdziwniejsze myśli przychodziły mu do głowy.

Raz zwierzył się przed swoim mentorem z miotających nim uczuć.

— Pomóż mi pan—mówił—bo mnie szaleństwo ogarnia; pomóż, jeżeliś przyjaciel.

— A cóż mam zrobić?

— Z wieczora, pocichu, bez dzwonek, zajedziemy saneczkami we dwóch...

— No i co?

— Zaczaim się, pochwycim, na kolej, do Warszawy, w świat i niech się dzieje, co chce! Wybierzem się dziś, albo jutro. Pieniądze mieć będę...

Żdziebelko odpowiedział flegmatycznie:

— Adasiu, serce, wiesz, jak cię szczerze kocham; pić mogę z tobą, ile tylko chcesz, grać w karty, czy w bilard, choćby trzy doby z rzędu, mogę ci być przewodnikiem

w podróży, wprowadzić cię w świat, ale na taki interes — wybacz, kochanie, przepraszam!

— Dlaczego, dlaczego?

— Bo nie głupim. Czy ty Adasiu, gorączkę masz, czy bredzisz? Wiesz-że ty, czem taka rzecz grozi?

— A niech grozi, czem chce, byłem ja miał.

— Aha! miałbyś, miał! Pominąwszy wszelkie dalsze konsekwencye, przed którymi można, dajmy na to, uciekać, pomyśl, co byłoby zaraz, doraźnie. Cóż ty sobie wyobrażasz, że kolonie, to stepy, a dziewczyna kociak, którego można złapać i schować w worek? Że nie bronilaby się, nie krzyczała? Ej, Adasiu, Adasiu, ładniebyśmy wyglądali, gdyby nas dogoniono i złapano. Jak cię kocham, duszko, ja nie mam swojej skóry, ani swoich kości na sprzedaż. Spodziewam się jeszcze, ma się rozumieć po wygraniu procesu, żyć jakiś czas spokojnie i we wszelkich wygodach, mieszkać w ciepłej stancyi, jadać smaczne rzeczy i wysypiać się na miękkiej pościeli. To jest moje postanowienie i od

tego nie odstąpię nawet dla ciebie, choć wiesz, jak cię serdecznie kocham...

Adam upierał się przy swoim, ale stary wyjadacz perswadował mu wciąż.

— Wybij sobie z głowy te głupstwa, które do niczego nie prowadzą, nie patrz nawet w stronę kolonij, o dziewczynie nie myśl. Ładna jest ona, bo ładna, nie zaprzeczam, ale na świecie znajdziesz tysiące ładniejszych. Ja ci się nawet nie dziwię, ja cię rozumiem, ale wierz mi, kochanie, że to wszystko głupstwo. Gdy doczekasz lat moich i nabierzesz doświadczenia, sam z siebie śmiać się będziesz, na co daję ci uroczyste słowo honoru. Tymczasem dam ci zdrową radę: na tego rodzaju zaciętrzewienie się najlepszym lekarstwem jest podróż. Nic tak dobrze człowieka nie rozrywa i nic tak nie ułatwia zapomnienia o niepotrzebnych głupstwach, jak wycieczka w świat, pomiędzy ludzi. Odrodzisz się, oszlifujesz się, nabierzesz politory takiej, że nikt cię nie pozna, gdy wrócisz. Mówisz, że pieniędzy nie masz, że ojciec skąpy nie da — i to głupstwo, Adasiu. Od wyroku ojca służy apelacya do matki, a gdy matka nie może, masz jeszcze jedną instan-

cyę — do żyda. Wszystko można, tylko nie trzeba robić takich głupstw, które niebezpieczeństwem grożą.

Wygłosiwszy tę naukę, Ździebelko rozczulił się, ucałował Adasia w obydwie policzki i pożyczył od niego pięć rubli, na trzy poważne cele, a mianowicie: na dalsze poszukiwanie dokumentów, niezbędnych do procesu, na podzelowanie butów, tudzież na zapłacenie drobnej należności Jojnie.

Myśl wyjazdu uśmiechała się Adamowi, zaczął zastanawiać się nad nią.

Kto wie, może Ździebelko ma słuszość, może podróż da zapomnienie, uwolni chwilowo chociaż od ognia palącego w piersiach, od tej siły wielkiej, która ciągnie w stronę kolonij, jakby żelaznymi rękami. I pysze i próżności i żądzy używania myśl wyjazdu również dogadzała.

Zobaczyć naprzykład Warszawę, piękniejsze zajazdy i bilardy, niż u Jojny, błyszczące od złota i luster restauracye, teatr i te wszystkie cuda, o których tak wiele opowiadał Ździebelko.

Zobaczyć, poznać to, użyć, sprawić sobie ubranie pierwszej mody i wrócić tu do mia-

steczka, zaimponować przyjaciółom, powiedzieć im: Patrzcie, gdzie ja był, com widział!

A może i ta harda, nieprzystępna dziewczyna na takiego światowego młodzieńca innym okiem spojrzy, może nareszcie da się olśnić wielkoświatowym blaskiem i polem.

Im więcej zastanawiał się nad pomysłem Zdziebelka, tembardziej skłaniał się ku niemu. Przeszkody natury materyjalnej nie były nieprzyzwyczajone. Matka, ta dobra, poczciwa matka, nie odmówi prośbie ukochanego jedynaka, wydobędzie ze skrytek wszystko, co posiada; w najgorszym zaś razie, gdy jej zapasy nie wystarczą, znajdzie sposób na ojca.

Cierpliwość wierzycieli żydów można kupić za kilkadziesiąt rubli. Od tego jest Icek, niech łamie sobie głowę, niech wymyśla, co chce, aby przez kilka miesięcy było cicho— a później okoliczności mogą się zmienić... Jest ćwiartka losu na loteryę, jest zawsze w odwodzie możność bogatego ożenienia się, wreszcie, któż może wiedzieć, co jest, co przyszłość przyniesie?

Fortuna kapryśna, los zmienny; nieraz

zdaje się, że odwróciła się od człowieka, że nie chce go znać, ani widzieć; aż nagle, ni ztąd, ni zowąd, niespodzianie, uśmiechnie się tak pogodnie i ślicznie, jak słońce, gdy na wiosnę zajaśnieje i ciepłem swoim kwiaty do życia powoła.

Zdarza się czasem takie nadspodziewane szczęście, zarówno w kartach, jak i w życiu.

— Wyjechać, wyjechać w świat — powtarzał sobie w myśli Adam—posłuchać rad zaświadczanego człowieka, a może się znajdzie zapomnienie, może, może...

Zdecydowany był zwierzyć się matce z projektem. Ona dobra, ona taka bezmiernie, bezprzykładnie dobra, ułatwi to, pomoże — i zapewne byłoby wszystko po myśli poszło, według zamiarów, gdyby nie ten przeklęty Icek!

On wszystko popsuł jednym słowem, jedną, może nawet bezmyślną, wcale nieuzasadnioną uwagą, że jest ktoś, komu mogą oddać dziewczynę.

To się nie stanie, to być nie może, młynarczyk nie będzie tryumfował! Nigdy!

Adam mógł się pogodzić z myślą, że nie będzie widywał Hanusi, że odjedzie, straci

ją z oczu, że może kiedyś zczasem zapomni o niej, ale przypuszczenie, że ktoś inny ją weźmie, wprawiało go w szal zazdrości. I żeby to jeszcze ten kto inny był nieznanym, obcym człowiekiem, przyjezdnym z dalszej okolicy, ale ten spokojny, chłodny, a jednak taki pewny siebie, ten młynarczyk! Na to pozwolić niepodobna, do tego dopuścić nie można, choćby przyszło nawet wyrzec się przyszłości, świetnych związków i tych nadziei różowych, które matka snuła.

Nie da się wziąć siłą, ani podstępem, drogą boczną, to trudno—trzeba pójść utartym gościńcem, legalną drogą, ale on tryumfować nie będzie!

Nie miał Adam nigdy do Janka sympatii; nawet, gdy jeszcze dziećmi byli, nie lubił go; ale teraz, gdy stanął mu na drodze, jako współzawodnik, jako rywal, zniechęcił go tak, że myśleć spokojnie o nim nie mógł. Wciąż stawał mu przed oczami obraz tego silnego a spokojnego człowieka, który z taką obojętnością zagroził mu połamaniem kości.

Nie, niech co chce będzie, ale ten Hanusi nie dostanie. Przecież Janek nie może się

z nim mierzyć pod względem majątkowym, bo co folwark i kapitał, to nie marny kawałek niewykarczowanej nowiny i nędzna buda na wzgórzu.

Gdzież porównanie? Wincenty rachunkowy jest, pieniądze lubi, nie będzie się wahał w wyborze.

Tak postanowiono i tak być musi, choćby się wszystkiego wyrzec wypadło.

Długo się namyślał, zanim przed matką się zwierzył.

Spodziewał się opozycji z jej strony, zaklinania, płaczu, perswazyi, ale ku wielkiemu zdumieniu swemu, wprost przeciwne słowa jego zrobiły wrażenie.

— O mój drogi!—rzekła—ja dla ciebie o czem innem marzyłam, ale skoro tak chcesz, skoro w tem szczęście widzisz, niech tak będzie. Może i lepiej nawet, bo ja ci powiem szczerze... jabym się synowej, wielkiej pani, bała, nie wiedziałabym, jak ją nazywać, jak do niej przemówić i jaką ją robotą zatrudniać—a Hanusia, to dobre dziecko i swoje, prawie, że z naszego gniazda. Pamiętam ją jeszcze z Sakowa; po sąsiedzku, widziałam,

jak się do roboty garnęła, jaką zdatność miała do wszystkiego — a ładna, bo ładna, jak malowany obrazek. Synek mój, Adamek, ma oko dobre, śliczną też sobie żoneczkę upatrzył. Oj, Adasiu, chyba, że Najświętsza Panienska wysłuchiła mojej gorącej modlitwy, że cię taką myślą natchnęła. Codzień rano i wieczór w pacierzu prosiłam o żonę dla ciebie i tak oto mówiłam: Panie Boże Wszchemogący, daj mu szczęście, daj mu żonę dobrą, sprawiedliwą, poczciwą, a Matki Najświętszej prosiłam: Pokieruj nim, Matko, niech wybierze dobrze, niech będzie szczęśliwy, a ja przy nim, choćby jako służa, abym na to szczęście patrzyła. Oj, ty, chłopcze kochany, ani ty wiesz, ani rozumiesz, jak ja ciągle o tobie myślę, ani wiesz, że oddałabym wszystko za ciebie i dla ciebie. Tyś panicz, a ja prosta kobieta, od zagona, od dzieży, nie mam nauki, nie potrafię pięknie przemówić, ale, ale... kochać cię, dziecko moje, ja umiem!...

To rzekłszy, objęła go za szyję, przytuliła serdecznie i rozplakała się rzewnymi łzami. Adam, chociaż zepsuty i samolub, czuł się jednak trochę wzruszonym tym objawem ser-

decznej miłości. Wziął szorstką rękę matki i do ust przycisnął.

— Tyś dobre dziecko — rzekła — ludzie obmówili cię, ale to nieprawda...

— Co, matko?

— Plotki na ciebie roznoszą, że niby hulasz, że pijesz, że podobno w karty się zabawiasz... ale ja temu nie wierzę... Ja wiem, że to zazdrość jad na ciebie miota. O! do mnie nie przyjdą i nie powiedzą wprost, bo bym do oczów skoczyła, garnkiem ukropu w twarz rzuciła. Umiałabym się ująć za dzieckiem. Nie, nie powiedzą mi, boją się, tylko ogródkami, zdaleka, rzucają przykre słówka, niby kamienie do ogrodu, ale ja na to nie zważam...

Adam stał przed matką z pochyloną głową i milczał.

Nie śmiał się odezwać.

— A choćby—mówiła dalej—a choćby to nawet prawda była, choćbyś i hulał i pił i w karty grał, to przecież nie za cudze, ani za kradzione, tylko za swoje. Stać cię na to, możesz—a im zazdrość! O tak, zazdroszcza ci, żeś ładny, że masz edukację, że w klasach byłeś, że majątek na cię patrzy —

precz zazdroszcza — i radziby cię ze sławy, z dobrego imienia obedrzeć, ale zasie im, wara! Niech ujadają za płotem, jak psi, do oczów nikt ci nie stanie. Siądź, synku, siądź, kochanie, mało kiedy ja do ciebie przemawiam, mało kiedy cię widzę, bo tobie nudno w domu, ty do świata ciagniesz, do zabawy... Ja to dobrze rozumiem, ale dziś, kiedy ci taka dobra myśl przyszła, kiedy oto jesteśmy razem, to wysłuchaj co ci powiem, Adasiu. Siadaj tu przy mnie, zrób mi dziś to święto, mój synku jedynty.

— Słucham was, matko.

— Ja wiem, że ludzie kłamią, że poprostu szcękają, ale przyznaj się, Adasiu, trochę hulaleś...

— Ano... niby trochę.

— Czasem nawet za dużo?...

— Może i za dużo...

— Tego mi nikt nie mówił, ale ja sama miarkowałam. Kilka razy, powróciwszy do domu, miałeś oczy czerwone i twarz jakby zapuchłą, spałeś długo, żalileś się na głowę i we śnie byłeś niespokojny. Ja miarkowałam, co to jest, ale nie mówiłam ci nic, myśląc sobie: młody szumi, niechże się wyszu-

mi. Teraz oto przychodzisz względem tej Hanusi, względem małżeństwa, więc ja sobie znów myślę, że ty się ustatkujesz, Adasiu... Powiedz, kochanie, czy tak?...

— Ano, zapewne, matko, kawalerowi niejedno uchodzi, żonatemu nie...

— Oj, nie uchodzi, Adasiu, nie uchodzi; bo, widzisz, kawaler, to jakbądź, ale żona, to musi być stateczny, gospodarz, głowa domu, już na niego ludzie inaczej patrzą, już go inną miarą mierzą. I powaga dla żonatego i honory... Mogą cię wybrać, czy do kościelnego dozoru, czy na ławnika do sądu, czy na inny urząd... I widzisz, w kościele, jako że ten majątek twój, możesz przed wielkim ołtarzem w kolatorskiej ławce zasiadać — i na procesyi księdza prowadzić i różne honory na ciebie patrzą. Przecież wstydby było, gdyby ludzie mogli powiedzieć: o, łobuz, gdzie to się pcha! Trzeba, żeby stateczność twoja co innego w usta im kładła. Tobie Bóg Najwyższy dał dużo, Adasiu, bardzo dużo, boś i ładny i młody i z edukacją i z majątkiem i żonę będziesz miał śliczną...

— Czy będę, matko? — zapytał.

— A dlaczegoż nie?

— Co ojciec powie? Może jemu nie będzie po myśli taka synowa.

— Bądź spokojny, ja mu wytłómaczę. Sam pojedzie i Wincentego poprosi, a ty się, dziecko, nie frasuj..

— Matko!—szepnął Adam nieśmiało.

— A co, kochanie?

— Koszt będzie. Trzebaby i ubrania nowego i prezent jaki dla panny...

— A ty, nieboraczku, pewnie pieniędzy nie masz?

— Zkąd? Ojciec nie daje, a to, co od was, matko, wyszło już dawno. Muszę przecie żyć w świecie, znajomości mam porządne.

— Jużćić prawda.

— A to wszystko kosztuje...

— Oj, kosztuje, kosztuje i grosz okrągły toczy się... Wydać łatwo, a zebrać trudno—dodała z westchnieniem.

— To jakże będzie?

— Musi jakoś być; zaczekaj, zajrzę ja do skrzyni, może tam jeszcze jaki grosik się znajdzie.

I poszła poczciwa kobiecina do stancyi, która jej za sypialnię służyła--otwarła skrzynię i z pod stosu ubrania, chustek wzorzystych, tkanin własnego wyrobu, ogromnych kłębków wełny, wydobywała paczki banknotów i składała je na bok, szepcząc:

— Nie żałowałam na zabawę, tembardziej nie pożałuję na ożenek. I co mi po tych pieniążyskach, których przecież do grobu nie wezmę... aby tylko dziecko moje było szczęśliwe!





X.

Wieczory zimowe miały dla mieszkańców kolonij wielki urok; zbierano się raz w jednym domu, raz w drugim, kobiety i dziewczęta przędły, czasem jakąś pieśń nabożną chórem śpiewano, to znów gawęda szła lub opowiadań słuchano.

Najweselsze i najmilsze były takie posiedzenia u Dominika, bo to i stancya duża i gospodarz wymowny, a do mówienia oho-czy, i Józefowa z synem.

Ta kobieta miała dużo do opowiadania z czasów swojej młodości, gdy jeszcze w znacznym domu, u wielkich państwa, służyła.

Widziała ona pałac, wspaniałe pokoje ogromne sienie wykładane marmurem, bogate sprzęty, śliczne obrazy, złożone zegary, szafy pełne srebra i kosztownych naczyń. A kto się przez te pokoje nie przewinął, jacy panowie znaczni, jakie damy postrojone cudnie, jacy dygnitarze! Służby jak mrowia mieli, a karety, a konie!

Było o czym słuchać, tembardziej, że Józefowa opowiadała ładnie, choć przyciszonym głosem.

Słówko za słówkiem padało, a tak jakoś akuratnie i składnie, że słuchającym zdawało się, iż widzą owe wielkie komnaty, ciągnące się jedna za drugą, oświetlone mnóstwem świec gorejących w pozłacanych pałkach, że widzą posadzki woskowane, gładziuchne i śliskie, jak lód na jeziorze, postrojone panie, w sukniach z szeleszczącego jedwabiu...

Gdy Józefowa nie miała do mówienia ochoty, to Dominik ze swojej pamięci, niby ze skrzyni, różne wydobywał historye; jedne ucieszne, że umierać ze śmiechu, inne aż do łez smutne, a niektóre takie znów dziwne, takiego klina zabijające w głowy, że mu-

siał się każdy nad niemi zadumać i zastanowić.

Najmniej do opowiadania skłonny był Janek, ale gdy go wyciągnęto na słowo, to mówił, z początku nieśmiało i powoli, ale stopniowo coraz żywiej; zapalał się nawet.

Opowiadał zaś o ludziach i rzeczach nieznanach nawet ze słyszenia mieszkańcom wioski, o dużych miastach, gdzie narodu jak mrowia, gdzie gmachy wielkie, jak kościoły, a liczba ich niezmierna, gdzie ulice równe i gładkie, gdzie nocami widno jak w dzień od gazowych latarni, od oświetlonych lampami okien sklepowych.

Jest tam co widzieć i czemu się napatrzeć i czego się nauczyć, jest dość dobrego i złego i bogactwa i nędzy i pięknych rzeczy i brzydkich.

To znów o zagranicznych ludziach opowiadał, o zwyczajach, jakie mają, o tem, w jakich zamieszkują domach, jak się ubierają, co jedzą.

Umiał przytem wykazać, co w ich obyczajach jest dobre, a co złe i coby warto u nas naśladować.

Mówił także nieraz o fabrykach i maszynach, nieznanych wcale u nas, w gospodarstwie, o pracowitości i oszczędności.

Opowiadania Janka tak się podobały, że wieczorami stancya Dominika bywała coraz pełniejsza i nie tylko młodzi przychodzili słuchać, ale i starsi gospodarze, a nawet Wincenty, który nie lubił z domu wychodzić, zaglądał tam dość często.

Słuchał w milczeniu, nie przerywał, czasem tylko rzucił jakie pytanie i znów zamyslał się, paląc fajkę.

I Wincentowa na te zebrania przychodziła i Hanusia.

Dla niej była to najpiękniejsza zima w życiu. Dziewczyna aż promieniała ze szczęścia.

Znać je było w rumieńcach, w uśmiechu, w spojrzeniu, w piosence, która mimowoli wybiegała na usta, w ruchu, w całym zachowaniu się dziewczyny.

Szczęścia ukryć trudno kto je posiada; zdradza się na każdym kroku z tym skarbem i dobrze mu i miło i śmiech mu się miłszym wydaje i ludzie lepszymi, niż są.

Janka widywała prawie codziennie, jeżeli nie na zgromadzeniu wieczornem, jeżeli nie w do-

mu dziadka lub u Józefowej, to przelotnie, przechodząc, okazała się zawsze znalazła. I widząc się, nie rozmawiali wiele, nie mówili o tem, że się kochają i że jedno bez drugiego żyćby nie mogło. Na cóż powtarzać znane rzeczy, na co w jasny dzień mówić, że słońce świeci, kiedy i bez mówienia o tem wiadomo, widzi się jego jasność i czuje ciepło grzejące.

Tym dwojgu dość było spojrzenia, uśmiechu, kilku słów przelotnych.

Gdy się niby przypadkiem spotkali, to ona parę wyrazów na pozdrowienie rzekła i uciekała niby ptaszek spłoszony, on zaś za-trzymywał się i patrzył, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Potem każde z nich brało się do swego zatrudnienia, a czas zbiegał szybko, dzień za dniem gonił, jak motyl za motylem, tydzień mijał, nie wiadomo kiedy, a po nim przychodziła upragniona niedziela, dzień modlitwy, wypoczynku i zabawy.

Widzieli się w kościele, nieraz wracali razem na kolonie, a po południu, to się jakoś tak składało, że byli blisko siebie pod jednym dachem, w jednym towarzystwie.

Wincenty lubił Janka zawsze i miał go za dobrego chłopca, ale od czasu, gdy ten chłopiec z wędrownki powrócił, polubił go bardziej jeszcze i nieznacznie, ale ciągle miał go na oku.

Łatwo mu to przychodziło, gdyż zimową porą, oprócz do kościoła, prawie nigdzie nie wyjeżdżał i wszystko, co się w sąsiedztwie działo, widział doskonale.

Hanusia dostrzegła, że dziadek bardzo się jej Jankiem interesuje i za najlepszą wróżbę to brała. Przeczucie mówiło jej, że to zapowiedź szczęścia.

Nie domyślała się dziewczyna, że niedaleko, w folwarku, za lasem, jej imię bardzo często wymawiają.

Matce Adama myśl ożenienia syna nie dawała spokoju, poczciwa kobieta radaby ją była urzeczywistnić w jednej chwili, nie odwołując, a tu, jak na nieszczęście, mąż z podróży nie wracał. Czekala kilka dni; tydzień; niepokój ją ogarniał, najgorsze przypuszczenia przychodziły do głowy.

Nareszcie, po dziesięciu dniach wyczekiwania, stary Talarowski powrócił i przyprowadził z sobą trzy przepyszne kasztany.

Mróz tego dnia był dobry, sanna doskonała. Sople lodu pokrywały wąsy szlachcica i barani kołnierz jego delii; na czapce, na wychylających się z pod niej włosach, na brwiach, uczepił się szron biały.

Żona powitała go okrzykiem:

— Gdzieś ty bywał, człowieku? Bój się Boga! Ja mało oczu nie wypatrzyłam za tobą... myśląc, czy Boże broń, nieszczęście, czy wypadek...

— Pierwsze mi to? Wiesz przecie, że na zabawę nie jeżdżę, tylko za handlem, a rozmaicie się zdarza...

— Zdrów chociaż jesteś?

— Zdrów, zmarznięty, głodny i czego gorącego napiłbym się...

— Zaraz, zaraz. Zdejm-że ten kożuch. Czekał, pomogę ci, pas rozwiąż.

— Coś ty koło mnie bardzo jakoś zachodzisz dziś, kobieto...

— Czym ja kiedy była inna? Nie dbałam zawsze o ciebie?

— No, juści prawda, ale dziś szczególnie. Gdzież Adam?

— Tylko go patrzeć. Do miasteczka pojechał.

— Jak zawsze, na zabawę?

— O nie! Za sprawunkiem tylko. On teraz dużo inakszy.

— Odmienili go?

— Od dziesięciu dni siedzi w domu kamieniem, do stodoły zagląda, młocków pilnuje, w stajni po kilka razy na dzień jest...

— No, no...

— Naprawdę tak. Już dziś to sama powiedziałam: Przejeźdź się, Adasiu, a że akurat trzeba mi było różnych rzeczy z miasta, pojechał saneczkami, aby zakupić...

Talarowski wyswobodził się nareszcie z kożucha, a raczej z kożuchów, gdyż pod delią miał jeszcze drugi na sobie, obtarł z wąsów lód i szron, wydobył z szafy flaszkę i duży kielich gorzalki wychylił; żona tymczasem zakrzętnęła się, aby śniadanie mu podać i samowar nastawić.

Podczas jedzenia Talarowski mówić nie lubił, więc dopiero, gdy skończył i fajkę zapalił, kobieta zapytała go:

— Gdzieżeś bywał tak długo?

— Ot, widzisz, takie zdarzenie. Kupiłem parę kasztanów, no! Dawno żyję na świecie,

ale takich koni nie dużo widziałem; krótko mówiąc, lwy! Widziałś pewnie przez okno.

— Cóż, u nas nie osobliwość koń piękny; nie przypatrywałam się, ale zdaje mi się, że trzy konie przyprowadziłeś.

— Czekażże, właśnie. Jak te kasztany kupiłem, na jarmarku to było, pan jeden znajomy przychodzi, znaczny pan, bogacz i powiada: Panie Talarowski, znajdź jeszcze parę takich, dobieierz do maści i wzrostu, a za czwórkę dam ci, ile zechcesz. Zapalił się, a pieniężny pan, pociągnąć można. Powiadam: dobrze—i jadę. Na jednym jarmarku nic, na drugim już mam trzeciego kasztana, akurat taki, jak moje. Ucieszyłem się. Niech jeszcze jeden, opłaci się fatyga, ale tu urwało się, jakby kto zaczarował. Rób co chcesz, choć płacz, nie ma czwartego i nie ma. Na dziewięciu jarmarkach byłem i na nic. Znużyło mnie to i powróciłem do domu. Odpocznę dzień, dwa i znów w drogę. Nie byłbym ja Talarowski, żebym konia takiego, jak chcę, nie znalazł. Tembardziej, że owemu panu przyrzekłem. Czwórka musi być, no i zarobek ładny także.

— Dobrze, żeś nareszcie przyjechał, bardzo dobrze.

— Bo co? Nieszczęście jakie? Stało się co w domu? Gadaj-że kobieto odrazu i nie strasz.

— Od nieszczęścia Bóg strzegł, owszem, rzecz pomyślna, tylko nie wiem, mój kochany, jak tam według twego pomyslenia. Według mego rozumu, dobrzeby... aleć ty ojciec, ty głowa, więc sądz.

— Cóż takiego?

W gorących słowach, długo i szeroko rozwijała swój projekt, starając się najwymowniej przedstawić wszystkie jego dobre strony: urodę dziewczyny, jej dobroć, pracowitość, wreszcie zamożność dziadka i poczciwość gniazda. Wspomniała, że kolegacye z ludźmi inszej sfery nie zawsze na dobre wychodzą, że choćby Adam dostał jaką modną pannę, to kto wie, czy ta panna i jej rodzina szanowałaby rodziców, czy nie miałyby wielkich wymagań?

Talarowski słuchał, nie przerywając ani jednym słowem, wreszcie wstał, zbliżył się do okna i długo patrzył na pola ubielone

śniegiem, na czarną linię lasu, która je obejmowała, jak rama.

Nareszcie żona, z najwyższym niepokojem oczekująca decyzji, pociągnęła go za rękaw.

— No i jakże.

— Myślę—odrzekł—poczekaj. Tak zaraz nie można. Toć i konia kupując, trzeba zastanowienia, a cóż dopiero synowę. Idź do swojej roboty, a ja ci za godzinę coś powiem.

Zamiast do roboty, kobieta poszła do stacji, w której był zegar i usiadłszy wprost ściany, na której wisiał, wpatrywała się w jego wskazówki. Duże, ciężkie wahadło poruszało się miarowo, powoli, wskazówki niedostrzegalnym ruchem posuwały się po tarczy. Wiekiem wydawała się ta godzina biednej matce, która drżącymi wargami szepcząc pacierze, prosiła Boga o szczęście swego dziecka...

Wreszcie zegar wydzwonił dwunastą, Talarowski otworzył drzwi i rzekł:

— Chodź, matko, siadaj.

— I cóż?

— Czekaj. Takić on mój, jak i twój, obo-

je my rodzice. Mówisz, że ja głowa i ojciec—prawda, ale ty matka. Wykarmiłaś go, mordowałaś się po nocach i radabyś mu jak najlepiej...

— Bóg widzi...

— Ano i ja nie pies, też pragnę, żeby szczęśliwy był — i człowiekiem został. Każde twoje słowo rozważyłem i powiadam: dobrze.

— O! dzięki ci, Boże!

— Na wszystkie strony dobrze. Dziewczyna ładna, najmniejsza to rzecz, ale nie przeszkadza. Uroda mile wpada w oko, a jeżeli pamiętasz, to i ja niegdyś za tobą nie dla czego innego chodziłem, tylko dla urody.

— Tylko?

— I dla innych przyczyn, ale dla urody najpierwej. Dobroć później się pokazuje, uroda odrazu zanęca. Dziewczyna dobra, powiadasz?

— O! dobra!

— Przy tobie wiara. Ja światowy człowiek, w domu gość, a tyś ciągle na oczach ją miała.

— I do roboty jedyna.

— Wierzę ci też. Sama jesteś robotnica doskonała i gospodyni pierwszej próby — znasz się. Wincenty człowiek bogaty.

— Mniejszaby o to.

— Tak znów nie. Grosz dobra rzecz jest, a kto umie go szanować, do majątku dochodzi i do znaczenia. Wincentego interesa znam. Kolonia jego duża, bez długu, zapłacona do czysta, a że prócz tego zależałe pieniądze są—to wiem. Nasz majątek i Wincentego majątek — to już fortuna — a ja się przecież nie zarzekam, przyrobię coś jeszcze z handlu. Na wszystkie boki twoja prawda. Lepiej nie próbować tych honorów, pewniej i spokojniej będzie.

— Więc przystajesz?

— Przystaję—odrzekł—i niech się dzieje wola Boża!

— Mój kochany!...

— Do Wincentego trzeba jechać, nie zwłócząc.

— Kiedy?

— Dziś, za godzinę. Ja, widzisz, nie czasowy, tego czwartego kasztana szukać muszę, więc tę rzecz odrazu załatwię i odjadę, a ty reszty sama pilnuj, Tekluniu.

— Chyba Wincenty...

— Co?

— Eh, nic.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Chyba, że Wincenty nie odmówi?...

— Niby, jak to nie odmówi? Czego ma odmówić?

— Wnuczki dla Adasia.

Talarowski stanął w dumnej, wyzywającej postawie.

— Mnie?

— Ja nie myślę. Tak oto przyszło mi do głowy, niewiedzieć co...

— Słuchaj-no, Tekluniu, wiesz ty, kto ja jestem?

— Mąż mój.

— Nie, Tekluniu, ja jestem Talarowski Gerwazy, folwark mam, pieniądze mam i nie-małe, znaczenie mam, znają mnie wszyscy. Może nie prawda?

— Prawda, prawda...

— A wiesz, co ja robię? Ubieram się w najlepsze odzienie, biorę zegarek ze złotym łańcuchem, futro drogie i jadę. A czym jadę? Trzema kasztanami, takimi, że ich za tysiąc rubli nie oddam, w chomontach kra-

kowskich, saniami nowemi, kutemi... A wiesz do kogo jadę? Do szlachetki na kolonie i proszę o jego wnuczkę. Ha? Jak myślisz, Tekluniu, powinien mnie on w rękę pocałować, czy nie? Powinien się do kolan pokłonić—czy nie?

— Pewnie...

— Ja tego nie żądam i o honory nie stoję, ale nie Wincenty mnie łaskę, tylko ja Wincentemu łaskę robię. Rozumiesz, Tekluniu, co to jest?

— Rozumiem, mój kochany, rozumiem, a i Wincenty pewnie też.

— Ja myślę, bo to człowiek nie głupi.

W godzinę później Talarowski opuścił folwark i tak, jak zapowiedział, wygolony starannie, w najnowszym odzieniu, z zegarkiem o złotym łańcuchu, w futrze, trzema ognistemi kasztanami, na saniach, z których siedzenia zwieszał się prawdziwy dywan.

Żona z niecierpliwością oczekiwała jego powrotu.

Według jej obliczenia, na przebycie drogi do kolonii trzeba było kwadrans czasu, na powrót tyleż, a sama bytność u Wincen-

tego mogła trwać dwie, trzy, niechby cztery godziny.

Oczywiście, takiego znacznego gościa i z takim zamiarem przybyłego, na sucho się nie wypuszcza, tembardziej, że i sama rzecz dłuższego pomówienia wymaga.

O pieniądzech może być gawęda, o posagu, o przyszłej siedzibie młodych państwa, o terminie ślubu, jak zwykle w takich okolicznościach.

Ojcowie radzą o dzieciach, a postanawiają z namysłem dużym, z rozważą.

Zaledwie jednak godzina upłynęła od chwili wyjazdu, ogniste kasztany ukazały się znowu na dziedzińcu.

Gerwazy wysiadł z sanek i do stancyi wszedł w futrze, w czapce, z laską w ręku— wszedł, nie zdejmując zwierzchniego ubrania, usiadł przy stole i widokiem swoim żonę przeraził.

Twarz jego była nie czerwona, ale sina, oczy szeroko otwarte, na ustach uśmiech jakiś niewymownie przykry.

Kobieta rzuciła się ku niemu z rozpaczą.

— Gerwazy, mężu... co tobie?

Nie odpowiadał.

— Przemów, człowieku, jeżeli w Boga wierzysz! Co ci się stało?

Zdjął z głowy czapkę i nerwowym ruchem w ką, na podłogę ją rzucił, to samo zrobił z laską; po chwili wstał, zrzucił z siebie futro, rozpiął surdut i silnem szarpnięciem zerwał z szyi chustkę, rozdarł kołnierz od koszuli i znowu usiadł.

W kobiecie duch zamierał, nogi drżały pod nią, nie wiedziała co robić, chciała krzy-
czeć, ratunku wołać.

Powstrzymał ją ruchem ręki.

— Siedź!—szepnął—siedź!... Ha! ha! Wiesz, Tekluniu, stary Talarowski w pysk dostał... Ha! ha! ha!

— Boże! Czyżby Wincenty oszalał? Rękę podniósł na ciebie?

— Nietylko ręką biją. Wolalbym, żeby mnie drągiem zdzielił po głowie, niżeli tak... cichem, spokojnem słowem... Jednem słowem tylko... Ach, kobieto! I na to ja tak pracowałem przez całe życie, na to zdrowie marnowałem, nieraz przez trzy dni o suchym kawałku chleba, po szarugach, po mrozach, po słołach, na to żądny byłem grosza, na ta zbierałem? Ach, kobieto!... Wody mi daj,

a dużo, choćby kwartę, bo mi nieswojo... niedobrze.

Pobiegła po wodę i podała mężowi drżącymi rękami.

Pił chciwie, długo, wreszcie rzekł:

— Położę się...

Zataczając się, do drugiej stancyi wyszedł. Tekła chustkę tylko na głowę zarzuciwszy, do stajni pobiegła.

— Chłopcy!—zawołała—kto w Boga wierzy, kto żyje... Zaprzęgajcie i żywo po panicza, po doktora, felczera! Prędzej, prędzej, Pan chory!

Wieczór się zrobił, zapalono już światło. Gerwazy leżał na łóżku, oddychał ciężko, powieki miał przymknięte, spał widać, czy może nie chciał patrzeć na światło.

Żona przerażona, niespokojna, bezprzytomna prawie, biegła od okna do okna, patrzeć, czy kto nie jedzie od strony miasta. Wszystko wypadło jej z rąk. Znosiła różne zioła z góry, przystawiała garnki do ognia, tłukła je, parzyła sobie ręce, potraçała się o komin, o sprzęty, jak niewidoma.

Rzeczywiście lzy zalewały jej oczy, łkanie
o mal nie rozerwało wątlej piersi.

Nareszcie brzęk dzwonka od sanek oprzytomnił ją—wybiegła przed dom.

Ciemność nie pozwalała dostrzedz kto nadjeżdża, ale po dźwiękach można było poznać, że pomoc blisko, że ktoś pędzi szalenie.

Dopiero co słyhać było, jakby za mostem, już jest w opłotkach, już wpada na dziedziniec.

Przyjechał Adam z doktorem. Był przerażony, blady, wiadomość spadła na niego, jak piorun.

— Matko, gdzie ojciec?—zapytał.

— Cicho, cicho... Zdaje się, że usnął. Pannie, czy pan doktor?

— Tak jest. Co się tu stało?

— Albo ja wiem?... Najzdrowszy był, na kolonie jeździł, wrócił, jak odmieniony... załżał.

Weszli do stancyi na palcach, żeby chorego nie budzić.

Lekarz szeptem dopytywał o szczegóły i ogrzewał się przy kominie. Była cisza, którą przerywał tylko trzask płonącego drzewa i miarowe gdakanie zegaru.

Nagle drzwi skrzypnęły i na progu ukazał się chory.

Wyglądał strasznie, trząsł się.

— Synu!—rzekł, wyciągając rękę do Adama — synu! nie bój się... nie uciekaj... Jeździłem po żonę dla ciebie i... nie dali mi jej... A wiesz, dlaczego? boś lajdak!...

Zatoczył się, zachwiał i upadł na ziemię.

Doktór pochylił się nad nim, kazał przenieść na łóżko, cucił, ratował.

Adam nie śmiał się zbliżyć, drżał, jak w febrze, matka jego modliła się przed obrazem.

W kwadrans później lekarz wyszedł do stancyi, w której zgromadzili się domownicy i rzekł:

— Już umarł.





XI.

Nagła śmierć Talarowskiego wywołała na koloniach wielkie wrażenie; na pogrzeb, który odbył się z wielką wystawnością i dużym kosztem, zgromadzili się wszyscy dawni sąsiedzi z Sakowa.

Byli na nabożeństwie, odprowadzili ciało na cmentarz, każdy za duszę zmarłego westchnął i grudkę ziemi na trumnę rzucił, ale każdy też wprost z cmentarza, co rychlej, do sani swoich dopadłszy, do domu uciekał.

Wdowa, dawnym zwyczajem. zapraszała na stypę, nikt jednak nie miał chęci ucztować w domu, w którym takie niespodziane, a dla wszystkich zagadkowe nieszczęście się stało.

Wincenty nie mógł się opędzić ciekawym, którzy zasypywali go pytaniami. Przecież na kilka godzin zaledwie przed swym zgonem, Talarowski w jego domu był i z nim o czemś we cztery oczy rozmawiał.

Dziadek Hanusi nic mówić nie chciał, a dla wszystkich miał jedną ogólnikową odpowiedź:

— Zmarł, bo takie były wyroki Boże — zmówcie pacierz za jego duszę!

Żdziebelko przyjechał na pogrzeb i zakwaterował się na folwarku, jakby we własnym domu, aby, jak mówił pocieszać nie-szczęśliwą wdowę i strapionego syna. Przy tej okazji jadł i pił, ile chciał, kąty przepatrywał, pomagał Adamowi pieniędzy szukać...

Znaleziono ich sporo w różnych skrytkach, w kufrze, w szufladach stołu, w kieszeniach ubrania. Znaleziono sporo, nie tak jednak wiele, jak opinia głosiła.

Wyrodziło się ztąd podejrzenie, że jeszcze jakaś część mienia może być ukryta i prowadzono dalej poszukiwania zawzięte, drobiazgowo; cały dom poddany został najskrupulatniejszej rewizji.

Bez względu na zaokrąglone kształty i tuszę okazała, Żdziebelko zginał się, kładł na ziemi, pełzał po podłodze, jak wąż, aby zajrzeć pod szafy, pod komody, wsuwał grube ręce za piec, nie zważając na kurz, proponował nawet, aby odbić kilka desek w podłodze.

— Tak, tak, kochany Adasiu — mówił — daję ci uroczyste słowo honoru, że życzliwość moja dla ciebie granic nie ma. Z największą przyjemnością zamieniłbym się w mysz, aby do najmniejszej szpary zajrzeć, w najciaśniejszym kąciku poszukać. Znana i wypraktykowana to rzecz, że staromodni ludzie mieli zwyczaj po różnych skrytkach pieniądze chować. Ja sam, kiedy jeszcze nie było koło mnie tak kuso, jak dziś, lubiłem niekiedy coś gdzieś wtrynić, żeby niby na czarną godzinę było, ale gdy musiałem rozpocząć ten szelmowski proces i na kosztu znaczny kapitał wyłożyć, wszystko ze skrytek napowrót powytryniałem. Nic to, Adasiu, jeszcze ja w mojem życiu składać będę; tymczasem zaś honor i poprostu chrześcijański obowiązek nakazuje mi tobie w poszukiwaniach pomódz. Świętej pamięci twój ojciec,

zacna była dusza, nie miałem wprawdzie przyjemności znać go osobiście, ale po samej staturze, po obliczu, mogłem zmiarkować, że jest pieniądze grubo, a w każdym razie grubiej, aniżeli się pokazuje. Trzeba szukać, nie zrażać się nic, tylko szukać.

— Patrzyliśmy już wszędzie — odrzekł Adam.

— Wytrwałości, wytrwałości, kochanie, i nie zapalać się. Gotowiznę połóż na stole, obliczy się i skombinuje. Papiery trzeba zbać do najmniejszego świsteczka, a później pojedziemy obadwaj, aby przewąchać w hypotece. Nie wyklucza się przypuszczenia, że nieboszyk mógł pieniądze na lokację oddać.

— Albo ja wiem...

— Bardzo być może. Połóż-że, kochany Adasiu, pieniążki na stole do porachowania, przekonamy się, ile jest, to łatwiej będzie skombinować, ile powinny być. A teraz, kochaneczku, tę stancję na kluczyk, kluczyk do kieszeni i... trzeba odpocząć. Chodźmy do mamy, na drugą stronę. Kobieta smutna i zgnębiona, należy ją pocieszyć, a przytem napić się czego i przekąsić, bo chociaż ci

poświęcenia mego nie wymawiam, jednak od ciągłego schyłania się, w dolku mnie ściska.

Zamknęli izbę na klucz i wyszli; matka zapłakana, poruszała się, jak automat, prawie bezwiednie; Ździebelko poprosił o jeżdzenie, postawiła więc na stół talerz i flaszki i znowu usiadła pod piecem, otulona chustką i znowu zaczęła cicho płakać i drżeć, jak w febrze.

Adam ze swoim przyjacielem tak się jeżdzeniem zajęli, że nie spostrzegli, kiedy przed dom zajechało kilku ludzi.

Był to urzędnik sądowy, wójt gminy z pisarzem, dwaj włościanie ze wsi, a z tyłu za nimi, w pewnej odległości, trzymając się, jak najbliżej drzwi, Icek Ufnal.

Ździebelko odrazu zrozumiał, o co idzie i skoczył, jak oparzony. Adam narazie nie mógł pojąć, co jest.

— Mam zrobić opieczętowanie majątku ruchomego po zmarłym—rzekł urzędnik.

— Panie dobrodzieju—pośpieszył z wyjaśnieniem Ździebelko—po co te formalności? Tu interes czysty, jak kryształ. Nieboszczyk pozostawił wdowę i syna jedynaka, syn jest

uniwersalnym spodkobiercą, wdowa przychodzi do części, przypadającej jej z prawa. Ani intercyzy między małżonkami nie było, ani testamentu nieboszczyk nie zostawił, wszystko może pójść gładko, jak po maśle, bo ani matka syna ani syn matki procesować nie będzie. Że zaś nieboszczyk więcej dzieci po sobie nie pozostawił, na to daje uroczyste słowo honoru.

Icek Ufnał, kryjąc się za szerokie plecy jednego z włościan, zawołał:

— Niech pan nie powie głupie gadanie—wierzyciele też są dzieci.

Adam rzucił na Icka piorunujące wejrzenie, a Ździebelko zawołał:

— Nieboszczyk długów nie miał.

— My też do niego nie mamy żadnej pretensyi — zawołał Icek — tylko do jego syna.

— Syn małoletni—rzekł Ździebelko.

— Ojoj, on był małoletni, ja też byłem kiedyś małoletni.

Urzędnik przystąpił do czynności, przykładając pieczęcie, spisywał, kazał otworzyć inne stancye i pomimo zręcznego manewru Ździebelki, który pieniądze chciał sprzątnąć,

Buda na karcz.

zabrał je, przeliczył i schował do dużej teki skórzanej.

Żdziebelko zieleniał, patrząc na to, i nie mógł sobie darować, że nie przewidział tej okoliczności.

— Cóż teraz będzie—myślał—jak wykonać różne piękne zamiary, nie mając na to gotowizny? Czekać do ukończenia formalności zadługo, a nie wiadomo też, ile kochany Adaś ma długów.

Po odjeździe urzędnika i wójta, Żdziebelko zaczął robić Adamowi wymówki.

— Jak cię kocham—mówił—Adasiu, wybacz, ale nie przypuszczałem nawet, żeś taki, delikatnie wyrażając się, osioł. Cóż teraz będzie? Czekać—dobrze, ale z czem, o czem i za co?

— Nie wiem, ja się na tem nie znam; rządziłeś pan wszystkim, rządz i teraz.

— I nalewaj z pustego naczynia! Nie, kochany Adasiu, mogę być twoim przyjacielem, ale tej sztuki nie potrafię.

Przez uchylone drzwi ukazała się twarz Icka.

— Przepraszam wielmożnego pana, czy ja tu mogę wejść?

Adam zerwał się z krzesła. Icek zatrzasnął drzwi i mówił podniesionym głosem:

— Niech pan nie będzie gwałtowny. Ja przyszedłem zapytać, czy pan nie potrzebuje pieniędzy?

— Co?

— Czy pan nie potrzebuje trochę gotówki?

— Wiesz Adasiu — rzekł Żdziebelko — to jakiś nie głupi żyd. Możeby go wpuścić.

— A jak chcesz, panie kochany, ja już głowę straciłem.

Żdziebelko drzwi otworzył.

— Owszem — rzekł — panie starozakonny, niech pan pozwoli do stancyi.

— Ja się trochę boję.

— Uroczyście słowo honoru, nie ma czego, bardzo proszę.

— Jak ty mogłeś — rzekł Adam — podobną przykrość mi zrobić? Czy mało zarobiłeś pieniędzy odemnie? Czy nie pchałem w ciebie ruble, jak plewy w worek, co?

— Na świecie nie ma żadnej sprawiedliwości — odpowiedział Icek. — Za dobre serce pan płaci paskudnem słowem, za życzliwość

pan się odgraża, to jest pfe! dwa razy pfe!
i trzy razy pfe!

— Dlaczego? — zapytał Zdziebelko.

— Raz, bo opieczętowanie potrzebne było, bo z opieczętowania idzie się do odpieczętowania, do licytacyi i do pieniędzy... Drugi raz, że pańscy wierzyciele po opieczętowaniu są spokojni, oni położą areszt, będą czekali cierpliwie skutku i żaden pana nie zaczepi — a trzeci raz, że choć pańskie dziedzictwo opieczętowane, zawsze to dziedzictwo i ja dla pana mogę w każdej chwili dostać pieniędzy, ile pan chce...

— Możesz?

— Ojoj!

— Wiesz co, Adasiu — odezwał się Zdziebelko — raz już nadmienilem, że ten starozakonny nie jest głupi człowiek i w słowach jego znajduje się myśl. Oczywiście, bez pieniędzy trudno, a przy pieniądzach możemy przyspieszyć uregulowanie interesów, odbiór spadku i wszystko, co potrzeba. Dziś mamy ręce związane.

— Właśnie ja to powiadam — rzekł Icek — ja wiem, że w takim interesie bez gotówki nie można. Pan Adam niech się nie gniewa

na Icka, tylko niech wymówi godne słowo: ile trzeba? Ja pieniędzy przy sobie nie mam, ale to bagatela — jutro znajdę dziesięciu takich, którzy mają, niech pana o to głowa nie boli...

— Daję uroczyste słowo honoru — rzekł Żdziebelko— że dawno już nie słyszałem tak rozsądnego powiedzenia. Obliczmy, kochany Adasiu, ile trzeba nam będzie na pobyt w mieście, na koszt, na adwokata, na drobne wydatki i przyjemności i niech Icek pieniążników sprowadza. Jabym ci z przyjemnością z własnych funduszków coś zaliczył, naturalnie bez żadnego procentu, ale wiedz, że obecnie gotówki nie mam i zapewne mieć nie będę aż do chwili wygrania procesu i wywindykowania kapitałów. A może—dodał, zwracając się do Icka — pan starozakonny kupiec zechciałby i mnie coś zaforszuszować na proces.

— Proszę pana — odrzekł Icek — ja nie mogę i moi znajomi także nie będą mogli.

— Dlaczego?

— My wiemy o pańskim procesie, on jest w dalekich sądach, a my robimy interesa

tylko na miejscu, nie praktykujemy długich podróży, bo szkoda na to kosztów.

— Macie słuszość, ja też tylko proponowałem tak sobie oto, żartem. Spodziewam się za parę tygodni być w Warszawie, bankierowie tamtejsi chętnie mi tę drobną przysługę wyświadczą.

— Warszawscy bankierowie! Ho, ho, ho! tacy bogacze i ryzykanci, czegoby oni nie zrobili?

Przystąpiono do układów, Icek miał wymagania ogromne, procent, wynagrodzenie za pośrednictwo, jakieś nadzwyczajne koszta — tak, że nawet Adamowi, który się z groszem nie liczył, wydało się to zadużem i zaczął się targować, w czym bardzo wymownie dopomagał mu Ździebelko, jakby pragnąc tym sposobem dać jeszcze jeden dowód więcej, że jest prawdziwym przyjacielem, życzliwym, gotowym do poświęceń w każdej okoliczności.

Icek oświadczył, że to targowanie się, to skąpstwo, jest wymownem stwierdzeniem tej prawdy, że człowiek najbardziej honorowy i szlachetny, dopóki ma tylko nadzieję sukcesyi, staje się natychmiast sknerą, gdy po tę

sukcesyę rękę już wyciąga, a zarazem, że ze wszystkich interesów na świecie najgorsze są interesa z młodymi ludźmi, nie mającymi jeszcze ustalonych przekonań.

Swoją drogą interes przyszedł do skutku; na drugi dzień w miasteczku, w zajeździe Jojny, kapitaliści wypłacili pożyczkę.

Adam chciał dla przyjaciół swych śniadanie urządzić, ale Zdziebelko wytłómaczył mu, że tego robić nie należy dla kilku przyczyn: raz, że żałoba po ojcu nie pozwala na hulanki; powtóre, że przyjaciele mogliby dawać złe rady i podsuwać projekta, nie mające sensu, a nareszcie, że towarzystwo, dobre w swoim czasie dla młodzieńca o nieokreślonym stanowisku, żadną miarą nie może być odpowiednie dla posiadacza majątku ziemskiego i kapitałów.

Wobec tych racyj powrócono do domu zaraz po ukończeniu interesu z Ickiem.

Nazajutrz trzy dzielne kasztany, zaprężone do wygodnych sani, unosiły Adama i Zdziebelkę do stacyi drogi żelaznej, z kąd mieli siłą pary udać się do miasta gubernialnego i dalej, do Warszawy, w świat.

Żdziebelko promieniał z radości; rozparty na siedzeniu, w delii baraniej po nieboszczyku Gerwazym, ćmił cygaro i snuł w myśli projekta wygodnego i przyjemnego życia przez czas jakiś, oczywiście możliwie najdłuższy.

W obszernym dworze, w pustych stancjach, pozostała wdowa sama, przygnębiona i smutna, jak grób.

.

Nadeszła wiosna, ze słońcem, z kwiatami, wesoło się zrobiło na łąkach, na polu, w lesie świergotały ptaszki, ciepło wstąpiło w ziemię, a w ludzi otucha, nadzieja, nowy bodziec do życia.

Ruszyła się cała ludność z kolonij do pługów, do bron, do siewu; zakipiało życie na polach, w ogrodach, a praca szła żwawo z pieśniami.

Koło domów, na ogrodach, na łąkach, kobiety długimi pasami porozkładały płótno, aby się bielilo na słońcu; dziatwa wybiegła z chat i rozproszyła się po pastwiskach za bydłem, za trzodą, za gęśmi.

O tej porze roku nie ma czasu, ani mężczyzna, ani kobieta, ani dzieciak, a nawet

zamożni gospodarze, którzyby najemnymi rękami mogli się wyręczyć, nie folgowali sobie, czyniąc to nietylę dla potrzeby, ile dla zachęcenia młodszych, dla przykładu.

Taki Wincenty, człowiek wśród kolonistów najstarszy, najpoważniejszy i najbogatszy, poszedł na cały dzień orać, a skoro on to czynił, to i insi naśladowali go; nawet Dominik, ochotniejszy do gawędy, niż do ciężkiej pracy, kładł jarzmo wołom na karki i szedł skibę za skibą odwalać, albo własnoręcznie ziarno w pulchną rolę rzucał.

I nikomu się praca nie przykrzyła, nikt nie narzekał, owszem, wesoło było każdemu, bo oziminy śliczne z pod śniegów wyszły, tak rosły—prawie w oczach.

Wiosna dobrze wróżyła, zapowiadała plony piękne, niebo uśmiechało się do ziemi, dając jej ciepło, przelotne rześiste deszcze wiosenne zwilżały zagony, na pociechę gospodarzom, na radość.

A czas żwawo, szybko uciekał. Dopiero wierzbina była w kotkach, a trawa ledwie zieleńiła się po rowach, jużci na krzakach i drzewach listki, już liście, już na ogrodach zielono, już zielsko pod płotami się krzewi;

gałązki nagiej nie zobaczysz, bo się wszystkie wiosennym strojem pokryły. Nieznacznie dzień robi się coraz to dłuższym, słońce gorętszem, łąka w kwiatach, zboże w kłosach kołysze się pod tchnieniem wiatru, niby wielka fala wody — i ani się człowiek obejrzy, kiedy zaczyna srebrzyć się, złocić — i oto sierpy brzęczą, kosy dzwonią, kopy się wznoszą na polach i wielkie, drabiniaste wozy toczą się do stodół.

Dziwnie prędko te zmiany idą, jedna za drugą, kolejno, a ludzie, w ciągłej robocie zajęci, powtarzają sobie tylko: Już czas na to, na owo, spieszmy, spieszmy!

Wszyscy koloniści żywo się zwijali, ale najbardziej, najżwawiej Janek.

Wychudł, zeszczuplał a opalił się, jak cygan. Równy ze słońcem wstawał, a często je nawet wyprzedzał, późną nocą dopiero na krótki spoczynek się kładł. O ile mógł, pracował w polu, ale więcej czasu przepędzał przy budowie wiatraka, który był niezwykajny, nie taki, jak u nas zwykle stawiają i podziw w okolicy wzbudzał.

Nieraz Wincenty przychodził oglądać tę budowę, wchodził do środka, przypatrywał

się urzędzeniu, pytał o szczegóły. Za Wincentym i inni gospodarze szli, a czasem i z okolicy kto przyjechał; w niedzielę zwłaszcza, gdyż w powszedni dzień czasu nikt nie miał, Janek chętnie każdego oprowadzał i objaśniał, dlaczego to tak, nie zaś zwyczajnym, dawnym sposobem zrobione.

Budowa dobiegała do końca; młyn był wysoki na mocnej podmurówce, pokryty niby wielką czapką, ruchomym dachem, który wraz ze śmigami można było, stosownie do potrzeby, na wszystkie strony obracać. Widać było ten budynek zdaleka, bo na górze stał i nad całą okolicą panował.

Domu Janek nie stawiał, tak był owym młynem zajęty, mieszkał zaś od wczesnej wiosny w budzie, skleconej ladajako z gałęzi.

Matka nie odstępowała go prawie, przyrządzała mu pożywienie, patrzyła na postęp roboty i modliła się ciągle, dzięki niebu składając za to, że znów ma syna ukochanego przy sobie, że patrzy na niego i cieszyć się nim może. Byle jeszcze siedziba jaka taka, byle dom.

Hanusia przybiegała niekiedy, ale tylko

fak po ogień, na momencik; ona także latem czasu nie miała, gdyż całe kobiece gospodarstwo spoczywało w jej rękach, tem więcej, że babka jakoś osłabła i widocznie zdrowie traciła.

Wincenty również niedomagał, chodził wprawdzie do roboty, ale już ruchy miał powolne, chód ociężały. Nieraz siadał na ganku przed domem, albo w polu na kamieniu i siedział długo zamyślony.

Jednej niedzieli, po południu, Hanusi do siebie zawołał.

Taką miał minę poważną, prawie surową, że dziewczyna zlekła się, stanęła przed nim drżąca, zapłonioma, nie mogąc się domyśleć, dlaczego dziadek, zwykle uśmiechnięty i łagodny, tak dziwnie patrzy.

Myślała, że gniewać się na nią będzie, a tymczasem on przyciągnął ją do piersi, pocałował w czoło i rzekł:

— Siądź, Hanusiu.

Dziewczyna, nie przyzwyczajona, żeby wobec dziadka, zwłaszcza będąc przez niego zawołana, siadać — zawahała się, ale on łagodnie powtórzył.

— Siądź, proszę. Ja, moje dziecko, chciał-

bym pomówić z tobą. Czuję starość, już mi ona położyła ciężką rękę na karku i gniecie do ziemi, niedługo umrę zapewne...

— O mój dziadziu kochany! — zawołała z płaczem — mój dziadziu, nie mówcie wy tak, proszę!

— Dlaczego? Śmierć nie straszna i nikt jej nie uniknie. Z prochu i ziemi jesteśmy, w proch się obrócimy, bo takie są Boże wyroki. Byłem w niedzielę u spowiedzi, ulżyłem duszy grzesznej, pomyślałem o tem, co zostawiam; wszystko jest w porządku. Żona moja też pewnie niedługo za mną podąży, bo i jej biedaczce już siły nie służą.

Dziewczyna zakryła twarz rękami i płakała.

— Jedno mi tylko jeszcze do zrobienia zostaje: o twoim losie postanowić. Trzeba Hanusiu, za mąż pójść, bo gdy dziadka zabraknie, to mąż będzie ci opiekunem i przyjacielem. On mnie zastąpi.

— O mój dziadziu, mój dziadziu kochany, po co wy to mówicie? Ja słuchać nie chcę o takich smutnych rzeczach!

— Trzeba słuchać, dziecko kochane. Umy-

śliłem ja sobie, żebyś miała męża statecznego, uczciwego i bogatego.

Dziewczyna drgnęła.

— Dziadziu, ja bogatego nie chcę, z twojej łaski mam dosyć.

— Czekaj, jużem takiego upatrzył.

— O mój Boże! Dlaczego, dlaczego, dziadziu, chcecie mnie z domu wyrzucić, co ja wam tu przeszkadzam, czem zawiniłam? Dziaduniu, służą wolę być u was, niż u bogatego męża żoną! Ja na niego patrzeć nie mogę.

— Dziwna rzecz — rzekł Wincenty — a mnie się zdawało, że ciebie ciągnie serce do niego.

— A o kim dziadzio mówi?

— O Janku, synu Józefowej...

Hanusia zarumieniła się jak wiśnia, tchu jej w piersiach zabrakło, zdołała tylko szepnąć:

— Alboż on bogaty?

— Bogaty, bo robotnik wielki, a chętny i nie bojący się ciężaru. Przed takimi świat otworem, a bogactwo samo do takiego idzie. Smutno mi, Hanusiu, że nie miły ci ten chłopiec. Umarłbym spokojnie, widząc cię jego

żoną... ale trudno, woli twojej łamać nie chcę i zmuszać cię nie będę.

Dziewczyna wybuchnęła wielkim płaczem.

— Ach, dziadziu kochany, dlaczego dziadzio tak przeciwnie obrócił?

— Co?

— Bo ja myślałam, że dziadzio o tamtym mówi... z folwarku, a dziadzio o Janku... a Janek, to znowu co innego; bo, widzi dziadzio... ten Janek, to już, proszę dziadzi, dawno, tylko, że on nieśmiały i boi się...

— Więc za niego wyszłabyś?

— Jeżeli dziadzio tak chce, to wam obojgu z babką do nóg upadnę i niech będzie wola wasza.

— A twoja?

— I... moja, dziadziu.

— Dzięki Bogu, kamień z serca mi spadł. Już ja Józefowej słówko rzucę, to on będzie śmiały i przyjdzie. Przyspieszyć to trzeba, niechby zapowiedzi szły zaraz, a wesele wnet po żniwach. Jak się to stanie, czekać mogę spokojnie aż Pan Jezus zawoła, bo ciebie dobremu człowiekowi zostawię, nie ukrzywdzi on cię i uszanuje. To jest, co ci, moja

wnuczko, powiedzieć chciałem. Niech Bóg błogosławi ci zawsze i we wszystkim, dla Janka pocziwa bądź i dobra, jak dla nas byłaś, a kiedy dziadek zamrze, to zmów niekiedy pacierz za jego grzeszną duszę.

Przycisnął Hanusię do siebie, ucałował ją, krzyż nad jej głową uczynił.

— No, teraz, kochanie—rzekł—idź. Tobie do życia, do słońca, a mnie do ziemi. Zostaw mnie samego. «Żywoty świętych» wezmę przed się, poczytam, pomedytuję. Idź, Hanusiu.

Dziewczyna wymknęła się z domu i przez ogrody, ścieżkami, pobiegła do chaty Dominika, do Józefowej. Przypadła do niej z pieszczotą, ręce jej do ust przyciskała, mówiąc:

— Już wy mnie nie Józefowa, nie pani, tylko matka, matusia kochana i tak was będę nazywała póki życia!

— Co ty, dziecko, co? Janek, czy słyszysz? Chodź-no!

Młody człowiek w drugiej izbie był i przybył natychmiast.

— Co, mamó?

— Ano, słuchaj i patrz, jak to mnie ta pieszczotka całuje i matką nazywa.

— Hanusiul

— O—rzekła do Józefowej—widzi mama, nie dość, że za nim ginę, jeszcze chce, że-
bym mu wszystko mówiła. Do dziadka idź!

— Do dziadka?

— Idź i proś.

— Hanusiu, o co?

— O co chcesz—odrzekła z uśmiechem—
Mój Boże, taki mężczyzna, taki duży człowiek, a nieśmiały. Idź i proś, dziadzio ci niczego nie odmówi.

Zaraz po ukończeniu żniw odbyło się wesele, na którym Dominik szeroko rozwinął temat o zacnym rodzie i pocziwem kochaniu. Było to jedno z piękniejszych jego przemówień, okraszone sentencyjami i przysłowiami, bo też zacny Paliwoda zawsze się do okoliczności stosował i stopień wymowy podnosił w miarę powagi domu i obfitości jadła i napoju, a Wincenty na wesele jedynej wnuczki pieniędzy nie żałował. Była uczta wspaniała, dużo wspanialsza, niż na osiedliny.

Na wzgórzu wykarczowanem, bujnem zbożem pokrytem, na miejscu dawnej budy, stoi ładny domek, o dużych oknach z okiennicami, z gankiem; przy domu świeżo założony ogródek, opodal wiatrak macha skrzydłami i miele ziarno, które ciągle z kolonii, z okolicznych wsi zwożą.

W domu mieszka dwoje ludzi szczęśliwych, a właściwie troje, bo i matka, która nacieszyć się synem i synową nie może.

Wincentego Pan Jezus jeszcze nie powołał do siebie. Chodzi dziadowina przygarbiony, ale rzeźki dość i przytomny. Najmilsza dla niego zabawa: pójść do wnuczki, usiąść w czyściutkiej stancyi, patrzeć na krzątanicę młodej gosposi, słuchać jej wesołego szczebiotu.

Często przychodzą starszankowie oboje, częściej on sam, bo babci nogi nie służą i kiejem się musi podpierać.

Na koloniach praca idzie zwykłym trybem i życie zwyczajną koleją; szlachta orze, siewe, zbiera, procesuje się, bo już bez tego obejść się nie może. Zawsze wynikają jakieś spory sąsiedzkie, których inaczej załatwić nie można, jak tylko przed kratką. Tak by-

ło w Sakowie, tak na nowej siedzibie, bo obyczaj łatwo odmienić się nie da, a zakorzeniony, drugą naturą człowieka się staje.

Icek Ufnal coraz lepiej się ma, choć Wątarek podwyższył mu czynsz znacznie, chcąc go może tym sposobem do ustąpienia zmusić; ale Icek nie ma chęci zmieniać miejsca pobytu, zwłaszcza, że mu się poszczęściło i że na coraz większe interesa się puszcza. Pieniądzy mu nigdy nie brak, kupuje zboże w większych partyach, do okolicznych dworów jeździ, do wielu spółek należy.

Ubiera się trochę porządniej i dostatniej, niż wprzód, a nawet w pychę urósł i okrutnie ambitnym się zrobił.

Można mu powiedzieć delikatnie, a nawet wprost, nie obwijając w bawełnę, że nie chodzi prostymi drogami, że kręci, że oszust jest; on to wytrzyma i zniesie ze spokojem, albo nawet uśmiechnie się pobłaźliwie, ale niechno kto spróbuje nazwać go szklarzem!

Wybucha wtenczas, jak wulkan, obraża się, przekleństwa miota, a nawet sądem grozi.

Psotne chłopaki, znając tę jego słabość, często przy nim «szklarza» wspominają, co Icka do ostatniej doprowadza pasyi.

Więcej zmartwień nie ma on, chyba, gdy zamierzy na czem pięć rubli zyskać, a dostanie tylko trzy i pół; to w takim razie jęczy, że półtora rubla z kapitału stracił i życzy swoim wrogom, żeby tę jego krzywdę coprędzej odchorowali.

Na dobrej drodze jest ten kapitalista, wspomina często Adama Talarowskiego, wzdycha przytem ciężko i mówi, że to był bardzo dobry panicz «do początku,» że miał rękę dziwnie lekką i szczęśliwą i że wielka szkoda, że go okolica straciła.

I straciła go rzeczywiście, wyniósł się bowiem nie wiadomo dokąd i od chwili, kiedy wraz ze Zdziebełkiem folwark opuścił, nie pokazał się wcale.

Przez jakiś czas siedzieli obadwaj w mieście gubernialnem dla przeprowadzenia formalności spadkowych, później do Warszawy wyjechali.

Po kilku miesiącach Adam powrócił, ale już sam, bez przyjaciela, kapitały po ojcu

podniósł, folwark sprzedał i nie zajrzawszy nawet do domu, nie pożegnawszy matki, pojechał w świat, nie wiadomo dokąd i po co?

Biedna matka płakała długo, nie wiedząc, co robić i gdzie się obrócić, bezradna zupełnie.

Przestraszyła się, gdy obcy jakiś człowiek do folwarku się zgłosił, mówiąc, że jest właścicielem, że kupił grunta, inwentarze i dom i całe to mienie.

Tego już nieboraczka na żaden sposób zrozumieć nie mogła i posłała po Dominika na kolonie z prośbą, aby zaraz przyjechał i ratował.

Ucieszył się szlachcic niezmiernie, sądząc, że koło wielkiej sprawy pochodzi, ale zawód go spotkał. Nowonabywca wylegitymował się dowodami, że jest w zupełnym porządku i że ma wszelkie prawa do własności.

Talarowska na żaden sposób zrozumieć tego nie mogła i wciąż zalewała się łzami. Po kilku dniach dopiero, za namową Dominika i pod jego opieką, udała się do sądu, aby odebrać pieniądze, z prawa na nią przypadające i w depozycie sądowym złożone.

Sumka była spora.

— Kup sobie pani gospodarstwo—namawiał ją Dominik.

— Gdzie mnie już do tego—odrzekła—siły nie mam. Ot, osiedliłabym się w bliskości kościoła, żeby się modlić i płakać...

— A cóż łatwiejszego, moja pani. Za te pieniądze można gdzie w miasteczku niedużym śliczny dworek z ogrodem dostać i będziesz pani siedziała sobie spokojnie, w cieple, w wygodzie...

— Nie, nie! Mój panie Dominiku, skoro zlitowałeś się nad wdową i matką nieszczęśliwą, to najmij mi tu w mieście stacyjkę jedną, jak najtaniej.

— A cóż z pieniędzmi zrobić?

— Co uważacie; złożyć gdzie, żeby były pewne i żeby je na każde zażądanie można odebrać.

— To chyba w banku na procent?

— Wszystko jedno. Zróbcie, jak proszę. Dla mnie tyle tylko zostawcie, żebym na życie miała. Mnie nie trzeba wiele, byle czem się obejść.

Tak się stało.

Wdowa w mieście mieszka, niedaleko kościoła; codzień, raniutko na pierwszą mszę idzie i modli się gorąco za duszę męża, prosi Boga o rychły powrót syna, a pieniądze nie rusza. Jej nic potem, a Adaś, panicz, jak powróci, pewnie potrzebować będzie.

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

7/2

F

1291